

Cezary Michalski

Gorsze światy

2006

trident

Przedstawiciele Prawa i ich wysłannicy są tak odstręczający, że Józef K. wydaje się przez kontrast niemal sympatyczny. W istocie jednak jest dość żalonym facetem, który byłby tak samo nieznośny jak strażnicy Prawa, gdyby tylko dano mu szansę.

Harold Boom, „Do Frenda i dalej”

GABINET KRZYWYCH LUSTER

W jednym ze swoich opowiadań Borges opisał leżące na krańcu ziemi cesarstwo, w którym przez długie lata toczyła się wojna domowa. Kiedy w końcu cesarz pokonał buntowników, zesłał ich wszystkich na drugą stronę luster, do pustego, zimnego świata o barwie rtęci.

Zapewne żyją tam do dziś dnia, przygotowując kolejną rewoltę, tryumfalny powrót do naszego świata, skąd zostali wygnani. Na razie jednak są bezsilni. Zadowolają się jedynie drobnymi aktami subwersji. Wykrzywiają wizerunki należące do nas, potomków zwycięskiego władcy. A właściwie nawet nie to; większość z nich pozwala sobie zaledwie na drobne niedokładności, umykające naszej uwadze spóźnienia, trwające ułamek sekundy zamazania ostrości i nieznaczne zaburzenia proporcji. Ten bunt, o którym nie wiemy nic na pewno, ale którego istnienie przeczuwamy, właściwie nas bawi. Czasami jego przywódcy i inspiratorzy wydawani są w nasze ręce przez współplemieńców, zdradzani przez własnych towarzyszy. Więżymy ich w naszych lunaparkach. W każdym istnieje areszt dla niepoprawnych radykałów. Nazywamy go gabinetem krzywych luster.

Michael Frühling oderwał palce od klawiatury redakcyjnego komputera. Roześmiał się bezgłośnie. Gdyby nawet śmiał się na cały głos, to i tak jego śmiech utonąłby w huku przenikającym ściany, wprowadzającym w drgania przezroczyste membrany okien. Biuro wynajęte przy aerodromie było tanie, ale miało też niedogodności. Thorn nie jest dużym miastem, jednak port powietrzny, któremu nadano imię urodzonego tu wielkiego niemieckiego astronoma, obsługuje kilka linii krajowych: do Berlina, Wiednia i Prus Wschodnich.

O tej porze lądował sterowiec ze stolicy. 15.45, jak w zegarku. Cesarskie Porty Powietrzne wciąż jeszcze pozostawały symbolem porządku i dyscypliny. Sterowce startowały i lądowały punktualnie nawet dzisiaj, w epoce postępującego rozprzężenia arystokratycznego ładu. „Liberalno-arystokratycznego”, poprawił się Michael. W tym świecie korupcji nawet najważniejsze imiona ulegały narastającemu zużyciu. Ani liberalizmu, ani arystokracji. Realny ustrój różnił się od swych założycielskich ideałów.

Gdyby było inaczej, on sam nie pracowałby przecież w tej zapomnianej przez Boga i ludzi redakcji niszowego kwartalnika „Neue Freiheit”. Nie składałby teraz swojej obrazoburczej prozy, która stanie się co najwyżej pokarmem dla pamfletistów cesarskiej prasy codziennej.

„Populista Michael Frühling”, nieudacznik, który krytykuje cesarskich literatów tylko dlatego, że zazdrości im sukcesu. Obsesyjnie obraża w swoich felietonach wybitnych publicystów berlińskiej „Kaiserische Zeitung”, bo nie może zająć ich miejsca.

Znał te słowa na pamięć, śniły mu się po nocach, na początku powtarzane przez jego wrogów, a później także przez przyjaciół. Sam nie miał już pewności, czy aby nie były prawdą. Kiedy zaczynał swoją efemeryczną karierę na łamach gazet reformistów, był całkowicie pewien własnego idealizmu. Umiarkowany demokrat, obdarzony wyrazistym stylem, zbyt wyrazistym jak na nasze czasy. A może to wcale nie była wyrazistość stylu, tylko naiwność, niewiedza, głupia wiara w wolności gwarantowane liberalnymi edyktami ostatnich cesarzy.

Dzisiaj znał już cenę pozostawiania poza liberalno-arystokratycznym salonem. Po jej zapłaceniu nie wiedział, czy jest jeszcze szlachetnym idealistą, czy już tylko resentymentalnym nieudacznikiem. Czy to wszystko, co mu się przytrafiło – zakazy druku, kłopoty ze znalezieniem pracy, rozpad wszystkich jego małżeństw – było ceną za szlachetność, czy raczej naturalnym elementem typowej biografii pozbawionego talentu pechowca. Znał takich wielu, często odrzucał teksty przynoszone przez nich do redakcji „Neue Freiheit”. Nie dlatego, że były zbyt odważne. One rzeczywiście nie nadawały się do druku. Używające wyzwisk zamiast argumentów, niegrammatyczne, nieortograficzne teksty nieudaczników.

Znowu zaczął pisać. Klawiatura redakcyjnego komputera była jedyną w tym świecie przestrzenią, nad którą mógł sprawować władzę, panować niepodzielnie. Władza, panowanie – zaskakujące słowa jak na umiarkowanego reformistę. A może ci z „Kaiserische Zeitung” mieli jednak rację? Może pozostawiony samemu sobie, nieukarany wystarczająco wcześniej, nienapiętnowany, istotnie zaczęłyby marzyć o demokratycznej rewolucji, o świecie bez kast, odrzucającym święty porządek urodzenia?

Wyobraźmy sobie świat – szukał w pamięci węzłowych punktów własnej epoki – w którym pierwszy rejsowy samolot Boeinga „Theodor Roosevelt” nie rozbija się przy starcie.

Michael stara się opanować wybuch entuzjazmu. Wraca na chwilę do rzeczywistości.

Rzecz w tym, że „Theodor Roosevelt” uległ katastrofie. Ten utrwalony na taśmie filmowej obraz, płonący kadłub ogromnego samolotu, mogącego pomieścić pięćdziesięciu pasażerów, pięćdziesiąt żywych pochodni, stał się synonimem ślepej ścieżki ewolucji. Raz na zawsze, dla całego świata. Kiedy wszyscy uświadomili sobie, że samoloty napędzane tym absurdalnym, łatwopalnym paliwem, wysokooktanową benzyną, stanowią śmiertelną pułapkę, stały się one dla wszystkich równoznaczne z zagrożeniem. I nie tylko. Zostały powszechnie

uznane za symbol klęski demokratów. Tak jak sromotnie przegrana przez wojska Ententy bitwa nad Marną, po której znowu zajęliśmy Paryż. Koniec wojny światowej, rojalistyczne powstania w Londynie i Paryżu. Kapet znowu na tronie Francji, król Jerzy rozwiązuje parlament przy entuzjazmie plebsu i lękliwej bierności City.

Tak właśnie było. Lotnictwo, zanim zdążyło na dobre wyjść z powijaków, umarło. A tymczasem sterowce cesarstwa obsługiwały już linie na kontynencie i szykowały się do rejsowych lotów przez Atlantyk. Messerschmitt skonstruował dla nich pierwsze odrzutowe silniki, Krupp wyposażył je w lekkie aluminiowe kadłuby. W ślad za tryumfem cesarskiego ładu politycznego kroczył tryumf cesarskiej technologii.

Ale wyobraźmy sobie – umysł Michaela powraca z uporem na swój ślepy tor – że „Theodor Roosevelt” nie wybucha przy starcie do pierwszego rejsowego lotu, z prezydentem Stanów Zjednoczonych i całą jego rodziną na pokładzie.

„Władze demokratycznej Ameryki osobiście gwarantują jakość demokratycznej technologii”, tak pisano wtedy w jankeskich gazetach. No i mieli tę swoją gwarancję.

Ale gdyby nie doszło do tamtej katastrofy? Gdyby zamiast pierwszego rejsowego Boeinga rozbił się przy starcie „Fryderyk-Wilhelm”, ojciec wszystkich cesarskich sterowców? *Bo zamiast helu użyto do wypełnienia jego potężnego kadłuba...* – Michael przez chwilę marszczy czoło, niepotrzebnie, alternatywny świat rozwija się już bez przeszkód w jego wyobraźni.

...bo zamiast helu – kończy rozpoczęte zdanie – użyto do wypełnienia jego przestronnego kadłuba łatwopalnego wodoru.

Katastrofa pierwszego rejsowego sterowca stała się przestrożą dla całego świata, oddała przestworza w ręce demokratów, pod panowanie ich technologii, napelniła je tysiącami skrzydlatych gigantów – samolotów.

Michael znów uśmiechnął się do samego siebie. Ostatnio zbyt często mu się to zdarzało. Mówił do siebie, zadawał sobie pytania, na które czasami sobie odpowiadał, a kiedy indziej nie znajdował żadnej odpowiedzi.

Socjologia jest jak matematyka. Jest matematyką. Z jej aksjomatów da się wyprowadzić cały spójny świat zdań opisowych. Klęska odniesiona w społecznym świecie czyni z ciebie samotnika... i mizantropa. Powoli zaczynasz tracić emocjonalny związek z własnym gatunkiem.

Uśmiechnął się znowu. Nieświadomie wystukał właśnie na klawiaturze zdanie z ostatniej powieści modnego arystokratycznego prozaika Albrechta Camusa. Nawet imię, Albrecht, ten snobistyczny gnojek przybrał sobie na wzór jakiegoś młodego księcia z dynastii Hohenzollernów, Jak się nazywała ta powieść? Jakże mógł zapomnieć! Nagroda Hegla, milionowe nakłady. Wypierał sukcesy innych z własnej pamięci jak traumę. „Obcy” – wreszcie sobie przypomniał. Historia zblazowanego potomka wysokiego rodu, który „traci emocjonalny związek z własnym gatunkiem”.

Michael lubił parodiować tego snoba, któremu w głębi duszy tak bardzo zazdrościł. Nagrody Hegla, milionowych nakładów, przekładów na wszystkie języki arystokratycznego świata. Nie chodziło o sukces, ale o możliwość komunikowania się z ludźmi.

Jeśli się pracuje w redakcji takiej „Neue Freiheit”, demokratycznej gazetki wychodzącej w nakładzie tysiąca egzemplarzy, parodia staje się powoli jedynym językiem, za pomocą którego można się skomunikować ze światem. Parodia, broń pokonanych, wiecznych marzycieli, jedyna, jaką mieli. Czy nie mogłaby się kiedyś okazać skuteczna?

Opisując fantastyczną walkę samolotów ze sterowcami o władzę nad niebem, Michael Frühling zastosował ketman, unik, szyfr, jedyne figury retoryczne, na jakie mógł sobie pozwolić w swojej niszowej gazecie. Nawet jeśli opisałby na jej łamach aferę na miarę Watergate, która doprowadziła do zrzeczenia się tronu przez ostatniego z Habsburgów, nie zacytuje go przecież żadne radio, żadna telewizja.

Zamiast cenzury wepchnięcie do niszy, obejście szerokim łukiem. Kto ulituje się nad takim męczeństwem, nad jego męczeństwem na pluszowym krzyżu? Publikuje w małych nakładach, bo nie ma talentu. Przecież cenzurę zniesiono prawie sto lat temu, zaraz po zakończeniu Epoki Wielkich Niepokojów, w 1933 roku. Każdy cesarski literat zna tę datę na pamięć. Stanowi jego akt nobilitacji, czyni go tryumfotorem w świecie nieskrępowanej wolności druku i wypowiedzi.

Po zniesieniu cenzury pozostał tylko snobizm. On załatwił resztę. Snobizm redaktorów, pisarzy, a także, *last but not least* (pozwólmy sobie na tę szczyptę anglosaskiego barbarzyństwa), snobizm czytelników. W latach pięćdziesiątych każdy proletariusz z Zagłębia Ruhry wolał czytać kolejne powieści o losach cesarzowej Sisi niż prozę nowego realizmu.

Czy ktoś poza Michaeliem Frühlingiem pamięta jeszcze prozę nowego realizmu? Pojawiła się na krótko, zaraz po zniesieniu cenzury, i równie szybko obumarła z braku zainteresowania. Dlaczego mieszkańcy robotniczych dzielnic mieliby czytać książki o tym, co tak dobrze znali, o brudnych podwórkach śmierdzących kapustą i o małych tragediach, spowodowanych przez utratę pracy albo niechcianą ciążę?

Zresztą zaczynała się epoka Cesarskiej Solidarności Społecznej. Bezrobocie przestało być problemem, a w każdym razie przestało być jako problem dostrzegane. Nawet mieszkańcy robotniczych dzielnic woleli czytać, a potem oglądać sagę o cesarzowej Sisi. To dało do myślenia członkom Cesarskiego Związku Literatów. Pojawiła się nowa literatura i ona właśnie odniosła oszałamiający sukces.

Teraz obowiązywały jedynie prawa rynku i dobrego smaku. Liczył się tylko snobizm, każący dziesiątkom redaktorów w dziesiątkach wysokonakładowych gazet i ilustrowanych magazynów dla pań zamawiać i drukować to samo. Historie z życia wyższych sfer albo podobne do siebie jak dwie krople wody, wygładzone reportaże opisujące przykłady heroicznego awansu. Córka robotniczej rodziny z Zwickau trafia na cesarski dwór, gdzie po

latach wyrzeczeń i upokorzeń spotyka ją nagroda. Odkryta przez najmłodszego i najpiękniejszego z cesarskich synów, staje się jego osobistą sekretarką.

Raczej nałożnicą – zdusił w sobie odruch purytanizmu, który demaskował jego radykalnie demokratyczne poglądy. Gdyby redaktor „Kaiserische Zeitung” mógł znać jego myśli. I tak je znał. Myśli nieudacznika dawały się zrekonstruować z matematyczną precyzją.

Taką historyjkę mógłby napisać z zamkniętymi oczami, w wersji robotniczej i chłopskiej, męskiej i kobiecej. Bez problemu wydrukowano by ją w miesięczniku „Edelmann” albo w jednym z ilustrowanych magazynów holdingu wydawniczego „Liebe Frau”. Gdyby oczywiście nie była podpisana jego zbyt znanym nazwiskiem, oszołoma, radykalnego demokrata, którym przecież nie był. Radykalni demokraci zamieszkiwali domy zdrowia, przebywali na oddziałach zamkniętych lub dziennych, z obowiązkiem regularnego pobierania lekarstw.

Tymczasem Michael nie chciał rewolucji, marzyła mu się tylko ostrożna reforma monarchii, odnowa jej liberalno-arystokratycznych ideałów. Ale kiedy to było. I co zostało z tamtej jego naiwności. Dzisiaj, pisząc o alternatywnej historii awiacji, świadomie omijał prawdziwe punkty węzłowe własnej epoki.

Na przykład bitwa nad Marna. Gdyby Francuzi nas tam zatrzymali... Francuzi, cioty i dandysi, przeżarci przez syfilis i pacyfizm? Przecież nie mogli pokonać naszych mężnych junkrów i lojalnych feldfeblów, całej dziarskiej armii naszego Cesarza.

Te wszystkie rozmyślenia na temat alternatywnej historii nie miały żadnego sensu. Historia jest przecież tylko jedna. Hegłowska nauka o jej bezalternatywności była świętą wiedzą, fundamentem monarchii i państwa. Historia i socjologia. Hegel i „stary Weber”, bo był także „młody”. Wyklęty, nazbyt liberalny, którego nie nauczano na teologiczno-historycznych wydziałach cesarskich uniwersytetów.

Nasza ofensywa załamuje się niespodziewanie nad Marną i zamiast Blitzkriegu wikłamy się w trwający rok, a może dwa lata konflikt. Nie byliśmy przygotowani, żeby walczyć tak długo. To nie w Paryżu i Londynie, ale w Berlinie i Wiedniu wybuchają bunty... nie, nie bunty, demokratyczne rewolucje.

Doskonale wiedział, że w swoim opowiadaniu SPh, Soziologische Phantasie, w modnym ostatnio gatunku, wyjątkowo cenionym przez młodych, nie wspomni o bitwie nad Marną, nie mówiąc już o demokratycznej rewolucji w Berlinie. Poprzestanie na alternatywnej historii awiacji. Jego czytelnicy, ci najbystrzejsi, zrozumieją sens tego odwrócenia. Tylko ilu ich będzie? Czy w ogóle będą jacyś?

Mniej uważni towarzysze po raz kolejny zarzucą mu zdradę. Grę ze snobizmem, ketman. Sam nauczył ich kiedyś tych słów, tych pojęć, tej swojej strategii.

Zamyślił się znowu, po czym jego palce zatańczyły na klawiaturze starego Fritza (zaledwie dwójka, z powiększoną pamięcią operacyjną, ale bez dobrej karty graficznej, nie

pogra sobie na nim w „Wir gehen gegen Frankreich”, najlepszą ze strategii, w którą można zagrać tak, żeby przegrały Niemcy).

Od ilu już pokoleń mieszkamy wewnątrz luster, na naszym zesłaniu. My, przechowujący w sobie marzenie o równości.

Kolejne zdania do kosza. Doskonale wiedział, czego jeszcze nie napisze, do jakiego punktu węzłowego historii własnego świata nawet się nie zbliży.

Znowu huk startującego sterowca. 16.15 – Königsberg z międzylądowaniem w Danzig.

Rękopisy nie płoną...

Ale w epoce komputerów nie ma rękopisów. Poczucie odpowiedzialności pojawia się na wcześniejszym etapie produkcji. Jedno wciśnięcie klawisza „Löschen” unicestwia raz na zawsze każdy nieprawomyślny tekst, każdą niecenzuralną myśl, jakie rodzą się, jakie mogłyby się narodzić po tej stronie luster. W świecie zamieszkiwanym przez spadkobierców zwycięskiego Cesarza, przez potomków dynastii, które pozakładali ludzie należący do jego pałacowej gwardii...

Michael rozkoszuje się przez krótką chwilę odwagą własnych zdań, po czym zaznacza cały fragment tekstu. Podziwia łatwość, z jaką czarne litery stają się białe, a białe, podświetlone tło staje się czarne jak szkolna tablica.

Ale dość tych rozkoszy, niezrozumiałych dla nikogo poza nim samym, dość manipulacji sensem, odwracania symetrii, czy raczej asymetrii świata, który przyszło mu zamieszkiwać. Wcisną „Löschen” i cały ostatni fragment przestaje istnieć. Przynajmniej po tej stronie luster. Może w tej samej chwili – pociesza sam siebie – ten sam kawałek tekstu pojawia się po tamtej ich stronie, zasilając opór nieznanych towarzyszy, dostarczając im nowych metafor. Ale prawdziwe pocieszenie przynoszą mu dopiero kolejne napisane zdania. Prawdziwe pocieszenie w świecie niemającym alternatywy mogą sobie dać tylko jego mieszkańcy. Zdani na samych sobie, w świecie pełnej immanencji, gdzie Bóg nawet nie stworzył historii, ale po prostu nią jest.

Po pierwszej katastrofie przyszły następne. Samoloty nigdy nie doścignęły sterowców rozmiarem, ale już wkrótce miały okazać się szybsze. Największe z nich zabierają dzisiaj do stu pasażerów...

Zamyśla się przez chwilę, po czym kasuje ostatnie słowa i pisze:

...do trzystu pasażerów.

W końcu to tylko SPh, Soziologische Phantasie. Ostatnio powstaje tego coraz więcej i zajmują się tym coraz lepsi pisarze, nie tylko nieudacznicy tacy jak on. Socjologiczna Fantazja jako powikłany labirynt, najdłuższa z możliwych dróg, którą literatura Cesarstwa powraca do... realizmu? Czy to nie kolejny znak wyczerpywania się wątych rezerw wolności, jakimi dysponuje nasz liberalno-arystokratyczny porządek? „Liberalno-arystokratyczny”. Za każdym razem, kiedy ten napis rozjarza się w przepelniającym go mroku, znowu narasta w

nim bunt. Ten porządek nie jest ani liberalny, skoro wolność została tutaj wtłoczona w wąskie ramy snobizmu, ani arystokratyczny.

Aristoi – najdzielniejsi. Czy można tak powiedzieć o potomkach wysokich rodów? Te wszystkie odmóżdzone przez endogamię ludzkie jarzyny noszące dumne nazwiska Habsburgów, Hohenzollernów, Kapetów, a tutaj, na ziemiach prowincji polskiej, Czartoryskich, Potockich, Leszczyńskich?

Gdyby nie uszlachcanie i łatwa zgoda na mezalianse, arystokracja już by nie istniała. Umiała jednak opamiętać się w porę. Liberalne reformy Wilhelma VI, metysi zapelniający powoli wszystkie urzędy cesarstwa. Krzyżówki dzieci najlepszych rodzin z potomkami prawników, lekarzy, kupców, a ostatnio nawet inżynierów.

W sto lat od wprowadzenia premii spadkowej całe Cesarstwo trzyma się wyłącznie dzięki mezaliansom.

Właśnie, premia spadkowa, kolejny prawdziwy węzeł naszej historii. Także o nim Michael Frühling nie wspomni w swojej alternatywnej historii awiacji.

Po przegranej wojnie światowej cesarstwo upada. Maks Weber, wybitny socjolog, który ma już na swoim koncie pierwsze dzieła utrzymane w liberalnym duchu, umiera na grype...

Nie, to będzie zbyt banalna choroba.

...Umiera na tyfus, osłabiony głodem panującym w czasie powojennych zamieszek. Nigdy nie napisze swego ostatniego dzieła, zatytułowanego „Arystokracja jako zawód i powołanie”. Nigdy nie stworzy teorii „premi spadkowej” i nie opisz jej wpływu na kształt ustroju społecznego.

W świecie, w którym panuje równość, a skrzydlate niebo przecinają wielkie samoloty, w takim świecie, u jego początków, nie ma premii spadkowej. Jest to, o czym marzyli najwięksi szaleńcy, męczennicy Epoki Wielkich Niepokojów. W takim świecie istnieje... podatek od spadków!

Michael układa zdania, o których wie, że już za chwilę zginą w bezgłośnie katastrofie „Löschchen”.

W kraju takim jak... Chiny, w tej... – waha się przez chwilę... – ojczyźnie równości, podatek od spadków osiągnął zaraz po rewolucji po prostu sto procent. Zniesiono całe to święte prawo dziedziczenia. Straż...

Znów się zastanawia. W tamtym świecie, po drugiej stronie luster, nie ma żadnej Straży, nigdy nie istniała, nie była potrzebna. Straż Monarchii, SM, koszmar ludzi, których budzono o świecie, przeszukiwano ich mieszkania i głowy w poszukiwaniu nieprawomyślnych słów i niecenzuralnych myśli.

W tamtym świecie nie istnieje nic takiego jak Straż. Porządek akceptowany przez lud jest także przez lud strzeżony. Zamiast Straży jest...

Michael ma to słowo na końcu języka...*Milicja. Milicja Obywateli.* Znalazł kiedyś tę nazwę w powieści pochodzącej jeszcze sprzed Epoki Wielkich Niepokojów. Jego liberalny

profesor podpisywał mu kolejne zgody na dostęp do czytelni mikrofilmów, chociaż wiedział doskonale, że z Michaela nigdy nie będzie dobry historyk literatury. Za mało samodyscypliny, za dużo emocji i potrzeby natychmiastowego spełnienia...

Zamiast wypisów do pracy magisterskiej poświęconej „wczesnej poezji arystokratycznej” całe dnie spędzał nad powieściami Jacka Londona. „Żelazna Stopa”, książka, której nie wznawiano od lat. Kiedyś z powodu braku cesarskiego imprimatur. A dzisiaj...?

Kto by to czytał? Ten odwieczny leitmotiv wszystkich rozmów z wydawcami. Dzieci robotniczych dynastii rozjeżdżające się swoimi volkswagenami, malujące na ich drzwiczkach herby swoich, pożałuj Boże, rodów? Sto lat po wprowadzeniu premii spadkowej, po zwycięstwie „arystokracji masowej” każda szanująca się proletariacka rodzina ma własny herb rodowy, nawet jeśli jej drzewo genealogiczne, jej pamięć, liczy sobie co najwyżej dwa, trzy pokolenia.

Pogarda Michaela Frühlinga wobec młodych *hooligans* – kolejne anglosaskie słowo, jedno z wielu używanych na określenie coraz częstszych przejawów barbarzyństwa – zdradza jego własne pochodzenie. Drobną inteligencją, sześć pokoleń przodków odnotowanych w Karcie Poddanego.

„KP, podaj numer swojej KP, kartę proszę, a gdzie mamy naszą karteczkę...”, chamskie i poufale odezwania oficerów Straży. Kiedyś legitymowano go kilka razy dziennie, nosił wtedy trochę dłuższe włosy, a nawet raz czy drugi zdarzyło mu się, jak wszystkim młodym radykałom, próbować kofeiny.

„Bez przetykania”. Ten dowcip, nieco już z brodą, krążył od czasów, kiedy pewien zidiociały Pretendent, bodajże do stanowiska Wielkiego Koniuszego Cesarstwa, zapytany podczas publicznego przesłuchania o to, czy pił kiedyś kawę albo brał jakiś inny narkotyk w takiej czy innej postaci, odpowiedział, że brał ją do ust, smakował, ale... bez przetykania.

Zresztą sama anegdota, to, że powtarzano ją głośno, wskazywała, że nadchodzi nowe.

O tym wszystkim także nie napisał. Albo inaczej, pisał, po czym za pomocą „Löschen” przesyłał kolejne paragrafy swoim nieznanym sprzymierzeńcom, na drugą stronę luster.

W wersji przeznaczony do druku poprzestał na brawurowej historii alternatywnej awiacji: niebo opanowane przez samoloty, sterowce zepchnięte do roli balonów meteorologicznych i muzealnych eksponatów.

Tylko w zakończeniu pozostawił kilka zaskakujących zdań. Nie dotyczyły awiacji. Były właściwie zupełnie oderwane od treści opowiadania.

W większości tradycji religijnych przestrzega się przed niebezpieczeństwami wynikającymi ze zgłębiania tajemnicy zła. Ponieważ są to zwykle religie dalekie od ontofobii, szanujące akt kreacji i samo istnienie, zło jest w nich utożsamiane z brakiem istnienia, z niebytem. Jeśli owe ostrzeżenia zawierają choćby cień prawdy, ogromne niebezpieczeństwo niesie ze sobą zgłębianie tajemnicy nicości, a także wszystkie pochodne rodzaje refleksji: zgłębianie tajemnicy klęski, wykluczenia z istnienia, losu ofiar, ślepych ścieżek ewolucji...

Człowiek starający się zrozumieć tajemnicę nieistnienia, przyczynę czyjejs klęski sam ryzykuje swój byt. Angażując własne życie w badanie światów, które nie potrafiły zaistnieć, traci je. Traci jego istotną część. Sam przestaje do pewnego stopnia istnieć.

A ty, czy chcesz zaryzykować taki los? Czy jesteś świadom ceny, jaką będziesz musiał za to zapłacić? Za opiekowanie się dalszym losem tych, którzy okazali się ślepą ścieżką ewolucji?

To zabawne, ale właśnie ten odważny i z pozoru niezrozumiały formalny eksperyment zapewnił „Skrzydlatemu niebu” sukces. Czytelnicy docenili, że narrator zwraca się bezpośrednio do nich. Zrozumieli ukryty sens tego bezwzględного ataku na najważniejsze tabu cesarskiej literatury, neutralną, trzecioosobową narrację pozwalającą bez końca snuć opowieści o szczęśliwych i nieszczęśliwych romansach cesarzowej Sisi. Michael Frühling zaczął być czytany – pierwszy autor demokratycznej odwilży wczesnych lat dwudziestych. U schyłku życia został nawet przyjęty do Cesarskiego Związku Literatów. A później... wiele lat później jego opowiadanie stało się zarzewiem demokratycznej rewolucji. Organizacja, która dokonała zamachu na Wilhelma VII i obaliła monarchię, przybrała nawet za swój kryptonim tytuł jego opowiadania – „Skrzydlate Niebo”. Z takim podpisem ukazywały się dekrety nowej, demokratycznej władzy. Także ten znoszący premię spadkową, a później kolejny, wprowadzający podatek od spadków.

W ten sposób Michael Frühling stał się Janem Chrzcicielem wielkiego przełomu. Zapamiętano nawet jego ostatnie dziwactwo – kazał się złożyć do grobu w stroju cechowym Cesarskich Robotników Stoczniowych.

Autor „Skrzydlatego nieba” nie dożył tryumfu swojej rewolucji. Może to i lepiej. Świat, który narodził się w jej wyniku, mógłby zupełnie nie przypaść mu do gustu.

Nazwy urzędów, funkcji publicznych, a także pozostałe Wyrazy Dogmatyczne, piszemy zawsze z dużej litery.

Słownik współczesnego języka danońskiego

CELA ŚMIECHU¹

Człowiek, który stworzył graficzny symbol Ruchu

Styl to samotność, może dlatego tak długo nie chciałem się go „dopracować”. Dopiero teraz, w zasadzie za późno... Doktryna Wolności uczy nas, że „nigdy nie jest za późno ani za wcześnie, zawsze jest właściwy moment, aby żyć” (Dogmat XXIV). Nie sposób odmówić racji temu twierdzeniu. W dodatku moje najnowsze prace, „kot grający na perkusji” czy „pancerniki”, znalazły wreszcie uznanie w oczach krytyków sztuki. „Pancerniki” zostały nawet wyróżnione na ostatnim biennale w Czakraniu, historycznej stolicy Danonii, która dzisiaj pozostała już tylko nieformalną stolicą danońskich Sztuk Pięknych.

Danonia, Rzeczpospolita Danonii, wcześniej jedna z bakomskich republik, a jeszcze wcześniej Święte Królestwo Danonów. Pośród tych wszystkich imion przechadza się wspaniałe zwierzę świata. Próbuję uwiecznić je w mojej sztuce, szczególnie od czasu, kiedy przestałem portretować w niej dawnych przyjaciół. Nie warto uwieczniać tego, co należy już do historii. A oni do niej należą, podobnie jak ja.

Tylko wspaniałe zwierzę świata nigdy nie będzie należało do nikogo. Przechadza się dostojnie pośród swoich imion jak pośród ruin klatki, w której bezskutecznie próbujemy je zamknąć. Mogę je teraz dotykać i staram się znajdować ku temu jak najwięcej okazji. Kiedy nikt nie patrzy, przyklekam, żeby pogłodzić sierść osiedlowych trawników. Przemykając pod ścianami domów, wodzę palcami po grubej, chropowatej skórze tynków. Jestem prawie szczęśliwy, prawie, bo ostatnią przeszkodą na drodze do mego osobistego szczęścia pozostaje niezakończona rewolucja Algiego.

Obojętnie, co mówilby mój Nadzorca, dobrze wiem, że tego akurat nie zapomną mi nigdy. To ja stworzyłem przecież graficzny symbol Ruchu, „bohatera o jednym skrzydle”. W

¹ Tekst „Cela Śmiechu” pochodzi z Teczek Zakładników Rzeczypospolitej Danonii. Po raz pierwszy opublikowano go w „Przeglądzie prozy populistycznej”, nieregularnym kwartalniku wychodzącym w City, stolicy Danonii, w latach 2066-2069, podczas tzw. trzeciej odwilży. Ukazał się w dziale zatytułowanym „Populizm inteligencki”.

dniach samoograniczającej się rewolucji moje dzieło, pojawiające się na murach campusu i robotniczych przedmieść City, było co najmniej tak samo popularne jak sto lat wcześniej czerwony pentagram albo połamany krzyż. Ciekawe, jacy ludzie stworzyli tamte symbole? I jak wyglądało ich życie, kiedy używające tych symboli rewolucje także stały się tylko historią.

Samoograniczająca się rewolucja jest historią już od sześciu lat. Podobnie jak Wojna Prewencyjna czy krótka epoka indywidualnego terroru. A jednak moja wina nie zostanie zapomniana dopóty, dopóki Nadzorcy nie złamią Algernona.

Problem w tym, że Algiego nie uda się złamać. Nie był przecież twardy ani prosty jak choćby Biskup Jansen. Biskup miał swoją wiarę, prostą i twardą, która w końcu stała się przyczyną jego upadku. Podczas gdy Algiego? „Nie sposób złamać tego, co nigdy nie stało się twarde ani proste”, mówił. Nie rozumiałem go wtedy i tak pozostało do dziś. Ale teraz przynajmniej wiem, dlaczego jeszcze długo pozostanę Zakładnikiem, ofiarą ułomnej niezłomności Algiego.

W przeciwieństwie do nas Nadzorcy niczego nie zapominają. Oni jedyni mają prawo do zachowania pamięci, jakby nie dotykał ich miękki reset porannej gazety. I nie przebaczą, „przebaczać mogą tylko ofiary” (Dogmat XXXIV). Rzecz w tym, że nasze ofiary nie mogą nam niczego przebaczyć, były przecież tylko potencjalne. Nie zdołaliśmy przejąć władzy, naszą samoograniczającą się rewolucję zdławiono, zanim uświadomiliśmy sobie, że już trwa.

To dzięki nam znakiem firmowym tych czasów stała się Wojna Prewencyjna. Teraz, sześć lat po jej rozpoczęciu i zakończeniu (okazała się przecież blitzkriegiem), wiem, że była wojną sprawiedliwą. Nie zawsze tak myślałem, w końcu to my byliśmy jej ofiarami.

* * *

Dobiega końca dzień moich urodzin. Patrzę w lustro i widzę monstrum, którym jestem dla innych. Apatycznie wlepia we mnie swoje zmętniałe niebieskie ślepie, które zdążyły zająć już nieco bielmem świata. Jak powiada prorok Ezechiel we fragmencie Pisma, które umknęło spod nożyczek troskliwych Nadzorców? „Nienagannym byłeś w postępowaniu swoim od dnia, kiedy zostałeś stworzony, aż dotąd, gdy odkryto u ciebie niegodziwość. Przy rozległym swym handlu napełniłeś swoje wnętrze gwałtem i zgrzeszyłeś”.

Ja przez prawie całą dekadę, a dokładnie: od dwudziestego czwartego do trzydziestego trzeciego roku życia, prowadziłem ze światem tak rozległy handel, że musiałem napełnić swoje wnętrze gwałtem i w końcu zgrzeszyć.

„Nie wystarczyła wam Teraźniejszość, a Doktrynę Wolności przedstawialiście sobie i innym jako możliwe źródło zniewolenia”. Tak powiedział Sędzia na naszym procesie, w uzasadnieniu wyroku. „Chcieliście więcej niż ktokolwiek z nas, więcej, niż wam się należało,

więcej, niż mogliśmy wam dać. Nie obchodziło was wcale, że przez wasze zachcianki cały świat mógł się cofnąć prosto do Epoki Wielkich Niepokojów”.

„Epoka Wielkich Niepokojów”, dawno minione czasy nieustającej eksterminacji. Na zmianę przeprowadzali ją na sobie Reakcyjniści i Postępowcy, zwolennicy Świetlanej Przyszłości i Nieskalanej Przeszłości. Czy naprawdę chcieliśmy tam wrócić? Może chciał tego Biskup Jansen i jego uczniowie. To akurat wiem, bo przez jakiś czas byłem jednym z nich. Uwielbialiśmy epatować siebie i innych rytualnym wspominaniem Czasów Pierwszych Apostołów. Łamaniem chleba, nieustającym dzieleniem się tajemnicami swojej prywatności... Później Biskup Jansen musiał podzielić się nimi z całym światem. Do tego przecież służy Cela Śmiechu.

A Algie? On zdecydowanie nie chciał opuszczać Teraźniejszości ani zresztą jej zamieszkiwać. Mówił, że zależy mu wyłącznie na własnej wolności. Pragnąc wolności w świecie, w którym jest ona doktrynalnie zagwarantowana? Już samo to wystarczało, żeby zasłużyć sobie na zainteresowanie Nadzoru.

Nie chcę nikogo zamećzać biografią Algernona, a już tym bardziej własną czy historią samoograniczającej się rewolucji. Wszystko to jest dla mnie ważne nie bardziej niż stołek dla wisielca. Trzeba się w końcu od czegoś odepchnąć przed skokiem, jednak nieporównanie ważniejsze jest to, co następuje później.

Na złą drogę pozasystemowej kontestacji sprowadził mnie Biskup Jansen, ale do jej kresu doprowadził mnie Algie. Przeszłość i Przyszłość – po Epoce Wielkich Niepokojów oba te kierunki stały się nielegalne. Dostyc zapłaciliśmy za marzenia o nowym czy starym wspaniałym świecie, a przecież „człowiek jest zwierzęciem, które się uczy” (Dogmat XVI). Ten sam Dogmat w wersji XVIa, do użytku wewnętrznego, wykładanej Nadzorcom w Szkołach Administracji Publicznej, jest bardziej jednoznaczny i kończy się słowami: „...które trzeba uczyć”. Wiem, jak brzmi Dogmat XVIa, bo kiedyś ujawniliśmy go wszystkim Danonom. Pokazaliśmy naszym rodakom drugie, zwrócone do wewnątrz oblicze Doktryny Wolności. Pomógł nam Juda, zbuntowany Nadzorca.

W apogeum samoograniczającej się rewolucji, na parę tygodni przed ogłoszeniem Wojny Prewencyjnej, odstępstwa wśród Nadzorców nie były znów takie rzadkie. W jednym z Województw, tym, którego stolicą jest Miasto Astronomów, powstały nawet „struktury poziome”, założone przez zbuntowanych Nadzorców. W pierwszych minutach Wojny Prewencyjnej ich szef trafił do Celi Śmiechu razem z Judą Odstępcą i Biskupem Jansenem. Trudno sobie wyobrazić dziwniejszą mieszankę. Po kilku tygodniach epoki indywidualnego terroru (w tamtych czasach kilka tygodni potrafiło pomieścić w sobie całą epokę) dołączył do nich Algie.

„Zwierzę, które trzeba uczyć”, oto definicja naszego gatunku wypracowana przez Nadzorców. Dlatego nie pozwalają nam już na podróże w czasie, a używane do tego celu ideologie reakcji i postępu zostały przez nich unicestwione. Potencjalnych podróżników

zniechęca się skutecznie jeszcze na etapie gimnazjum, ludzkie zwierzę najłatwiej jest wtedy czegoś nauczyć. Prewencja to rzeczywiście znak firmowy naszej epoki.

„Za każdą próbę powtórki starych tragedii zapłaci się farsą, publicznym męczeństwem na pluszowym krzyżu” (Dogmat XXIII). Biskup Jansen, tak jak Algernon i tylu innych, wcześniej albo później mają do odegrania w Celi Śmiechu swoją indywidualną komedię. Wraz z nimi jej własną, mniej nagłośnioną wersję musimy odegrać my, ich dawni uczniowie. Zakładnicy.

Biskup Jansen odegrał już swoją farsę do końca, dzięki czemu jego zwolennicy odzyskali wolność gwarantowaną im przez Doktrynę. Przestali być Zakładnikami niezłomności swego nauczyciela. Ja także mógłbym być wolny, gdybym pozostał mu wierny. Niestety, uległem kuszeniu Algiego, który odwiódł mnie od prostej wiary Biskupa, tak jak ten odwiódł mnie wcześniej od prostego przesłania Doktryny Wolności.

A występ mego Przewodnika jeszcze się nie skończył. Właściwie jego męczeństwo na pluszowym krzyżu nawet się nie rozpoczęło. Od sześciu lat, od momentu Osadzenia, satelity żadnej z Wytwórni nie wyemitowały nawet minuty transmisji z Celi Śmiechu Algernona. Widocznie Algie pozostaje tym, kim był w dniu Osadzenia. A my wciąż jesteśmy Zakładnikami.

Kim są Zakładnicy? Wystarczy zajrzeć do Doktryny Wolności, tam wszystko jest jasno wyłożone. Trzy pokolenia Nadzorców pracowały nad tym, żeby stała się prosta. „Zakładników bierze Państwo, wybiera ich spośród obywateli, którzy stanowią jakąkolwiek wartość dla terrorystów indywidualnych” (Dogmat LXVI). Dogmaty powyżej numeru LX pochodzą z naszych czasów. Zostały opracowane w ciągu ostatnich kilku lat przez funkcjonariuszy Nadzoru i zawierają zasady prowadzenia Wojny Prewencyjnej.

Wciąż nie wiem, na czym polega tajemnica Celi Śmiechu, co robią tam z ludźmi, że po tygodniu, najwyżej miesiącu stają się oni swoim własnym przeciwieństwem?

A może nie ma w tym żadnej tajemnicy, może wystarczą włączone przez dwadzieścia cztery godziny na dobę kamery i świadomość, że każdy obsceniczny gest, każde potknięcie Osadzonego zostanie natychmiast pokazane wszystkim obywatelom Danonii? Jego dawni uczniowie też je zaraz zobaczą za pośrednictwem satelitów Wytwórni wiszących jak drapieżne ptaki na okoziemskiej orbicie.

Miasto i świat czekają na kompromitację Osadzonych, ale szczególnie niecierpliwą się ich dawni uczniowie. Przecież tylko w ten sposób mogą przestać być Zakładnikami. Trudno pozostać obojętnym na takie czekanie. Nikt wcześniej tego nie potrafił, dopiero Algie...

„Porzućcie wszelką Prywatność, wy, którzy tu wchodziecie”, takie słowa powinny być wypisane na drzwiach Celi Śmiechu zamiast sakramentalnych „Non Stop” i „Na Żywo”. Wszyscy przecież wiedzą, że relacje „na żywo” z Celi Śmiechu są montowane. Nie chodzi tu o żadną manipulację, po prostu inaczej nie dałoby się ich oglądać.

Prywatność, podobnie jak Wolność, jest gwarantowana przez Doktrynę wszystkim poza Osadzonymi. Ale czy oni sami nie przekonywali wcześniej siebie i innych, że Doktryna Wolności to możliwe źródło zniewolenia?

* * *

Algie zakazywał składania sobie hołdów. Nawet na cytowanie własnych słów zgadzał się wyłącznie pod pewnymi warunkami. Trzeba je było najpierw zrozumieć. Zrozumieć jego słowa? Chyba nie było to możliwe. Ja jednak je cytuję, nie rozumiejąc. Świadomie bluźnię przeciw niemu.

Tyle że on na to pozwalał, a nawet zachęcał. „Bluźnij przeciwko mnie...”, powiedział mi kiedyś, „bluźnij ile wlezie. Kto wie, może ja wcale nie zasługuję na wierność”.

Tam gdzie Nadzorcy nauczali: „Bądźcie piękni i prości” (Przykazanie VII), a Biskup Jansen mówił: „Bądźcie piękni i prości naprawdę, nie tak jak pełni hipokryzji Nadzorcy”, Algie szeptał nam do ucha: „Bądźcie krzywi i brzydcy”. Nie był hipokrytą. Każdy mógł przecież zobaczyć jego garb. „Każdą swoją myśl trzeba umieć przepchnąć przez ciało, nawet tę najbardziej powikłaną”. On jeden potrafił to zrobić, „bohater o jednym skrzydle” był jego portretem.

Garb Algernona, pewnie nadal go dźwiga. W Celi Śmiechu poprzez męczeństwo na pluszowym krzyżu wyprostują mu może umysł, ale z jego ciałem na pewno im się nie uda. Kręgosłup powykrzywiany jak nadmorska sosna, lewa łopatka wywleczona na zewnątrz, wklęsła klatka piersiowa, w której mieścił się tylko jego płytki, świszczący oddech. Tak właśnie wyglądało ciało, przez które „przepychał” swoje powikłane myśli. Był wiecznym znakiem sprzeciwu, chodzącą, a właściwie kuśtykającą po ulicach City ewangelią subwersji.

„Wiecznym”? Napisałem „wiecznym znakiem sprzeciwu”? Nie ma chyba słowa, do którego Algie czułby większą odrazę niż do słowa „wieczność” i wszystkich jego pochodnych. „Wieczność to już historia”, powiedział podczas pierwszej publicznej debaty z Biskupem Jansenem. Pamiętam z niej każde zdanie. „Przynoszę wam Wieczność”, tokował Biskup, „tę samą, którą żyliśmy w Czasach Pierwszych Apostołów”. On także, podobnie jak Nadzorcy, lubił nadużywać wielkich liter, po których rozpoznajemy Wyrazy Dogmatyczne.

„Tokował”? Napisałem, że Jansen „tokował”? A co w tym dziwnego, przecież wyparłem się go już dawno. Jak to mawiał Algie? „Dopóki żyjemy, potrafimy znaleźć winnego każdej niedogodności własnego losu”. Tylko że do niego nie czuję niechęci, mimo że stał się przyczyną największych niedogodności mego losu. Czyżbym był już martwy? Jednak nie, przecież odczuwam niechęć wobec Biskupa Jansena, to ona przywraca mnie każdego ranka do życia.

„Wieczność to już historia”, odciął się krótko Algie, kiedy po raz pierwszy jego przeciwnik wypowiedział przy nim to słowo. Upolował dwa ptaszki za pomocą jednego

kamienia. Wypowiedział jednocześnie bluźnierstwo przeciwko swemu adwersarzowi i przeciw Doktrynie Wolności, której Biskup był najgorliwszym wrogiem. Pamiętam, że właśnie ta lakoniczność wywarła największe wrażenie na nas, świadkach tamtej debaty.

Uczniowie Jansena opiewali Wieczne Wczoraj, Nadzorcy głosili chwałę Wiecznego Dzisiaj, a ten garbus znalazł wspólny mianownik obu tych „wieczności” – była nim „historia”.

Biskup Jansen był przeciwieństwem Algiego. Nigdy bym nie uwierzył, że obaj skończą w Celi Śmiechu. Owszem, w pewnym momencie stanęli razem na jednej i tej samej barykadzie samoograniczającej się rewolucji. Razem z nimi znaleźliśmy się nie niej także my, bojownicy obu Ruchów, uczniowie dwóch tak różnych nauczycieli.

Trzeba od razu powiedzieć, że nie udało się nam pozostać tam nazbyt długo. Różnica technologiczna pomiędzy rządzącymi i rządzonymi jest już dzisiaj zbyt wielka. Sprawia, że wojny pomiędzy nimi nie trwają dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. No chyba że ktoś, tak jak Algie, ucieknie się do indywidualnego terroru. Wtedy od razu ma przed sobą całą epokę, nawet jeśli trwa ona tylko cztery tygodnie.

Jakże oni się różnili. Jansen „piękny i prosty”. Wysoki, metr dziewięćdziesiąt pięć, blondyn o jasnych oczach i bujnych, zmierzwionych lokach. Zawsze w wypastowanych czarnych butach na słoninie. I Algernon, też blondyn, jednak ani piękny, ani prosty.

Jego jasne włosy „mierzwiły się” tylko pośrodku czoła, pomiędzy dwoma głębokimi zakolami. Był prawie łysy, i to pomimo stosunkowo młodego wieku. Kiedy go poznałem, miał zaledwie dwadzieścia siedem lat, tyle samo co ja, choć był jednak ode mnie bez porównania dojrzałszy. Pamiętam siebie z tamtych czasów. „Bądźcie jako dzieci”, „Nie podejrzewajcie nikogo o nic”, w wyniku ortodoksyjnego stosowania się do wskazówek Biskupa Jansena, dobiegając trzydziestki, zachowywałem się jak pięciolatek.

* * *

Znów spoglądam w lustro, za mną dopalają się świeczki na urodzinowym torcie. Jest ich trzydzieści dziewięć, moja przygoda z Algiem trwała sześć lat i skończyła się dokładnie sześć lat temu, w dniu moich trzydziestych trzecich urodzin. Tak się składa, że jest to również jego dzień urodzin. Obaj przyszliśmy na świat 06.06.2006 roku.

Szóstka, złowroga liczba, pasuje w sam raz do subwersywnej numerologii Algernona.

Mój pierwszy nauczyciel wierzył w Nieskalaną Przeszłość. I w Wieczność, która narodziła się gdzieś na jej początku. Drugi stale szydził z takiego datowania. Mawiał, że jego własny nieskalany świat znajduje się nigdy i nigdzie, a już na pewno nie wczoraj. Obaj byli Odstępcami. Zrealizowana Utopia znajduje się przecież gdzie indziej i jest to miejsce nadzwyczaj konkretne. Utopia znajduje się dokładnie tu i teraz, w bezalternatywnej krainie

Teraźniejszości, która rozpoczęła się w pierwszej sekundzie po Końcu Historii jednogłośnie orzeczoną przez Globalny Synod.

To właśnie tu i teraz pod troskliwą opieką Nadzorców przemija całe nasze życie, podobnie jak Teraźniejszość pozbawione wszelkiej alternatywy. Upływa w Klimacie Wolności, która jest przecież „uświadomioną koniecznością” (Dogmat XVIII). Nadzorcy są właśnie po to, by nam ją uświadomić.

„Nie będziesz czynił sobie wizerunków dnia wczorajszego ani jutrzejszego” (Przykazanie II), „Życie każdego z nas bez reszty spełnia się w Teraźniejszości” (Przykazanie I). Znam na pamięć także pozostałe osiemnaście Przykazań, powtarzają się w dźwiękach rozpoczynających i kończących każdą transmisję z Celi Śmiechu. Pokrywają także jej ściany, to pomiędzy nimi Osadzeni wydrapują swoje pierwsze, kompromitujące inskrypcje.

„Dupa, dupa, dupa, pieprzyć, pieprzyć”, to były pierwsze słowa wydrapane przez Biskupa Jansena, namacalny dowód upadku, który dostarczył nam po czterdziestu dniach i nocach swego Osadzenia. Kompromitacja Osadzonych zawsze następuje nocą, jakby zapominali, że rejestrujące ich zachowanie przez 24 godziny na dobę kamery mają noktowizyjne nakładki.

„Czterdzieści dni”, pomimo całej mojej niechęci do Biskupa muszę przyznać, że wytrzymał długo. Pewien osadzony niedawno Jezuita zaczął drapać na ścianach Celi Śmiechu swoje świńskie wierszyki już trzeciej nocy po rozpoczęciu Terapii. A nie był przecież tak zupełnie pozbawiony charyzmy, porwał za sobą prawie całe Południowe Biuro swego Zgromadzenia. Do buntu przeciwko Doktrynie Wolności popchnęły go erotyczne zahamowania. Złamał reguły Konkordatu i publicznie potępił Nadzorców za to, że obniżyli granicę wieku świadomej i dobrowolnej zgody na seks z czternastu do jedenastu lat.

Nieraz mam wrażenie, że Reformy naszych Nadzorców służą im wyłącznie do testowania posłuszeństwa Danonów. Sami Nadzorcy są przecież purytanami, wątpię, żeby sypiali z jedenastoletnimi chłopcami czy dziewczynkami. Czasami nawet myślę, że nie sypiają wcale.

Biedny Jezuita, szybko się wydało, jak bardzo sam przepełniony jest „sprośnością”, której jeszcze trzy dni wcześniej obiecywał „stawić opór”.

Terapii w Celi Śmiechu szczególnie szybko ulegają ci, którzy wcześniej szczylic się posiadaniem „punktu oparcia”. Może dlatego Algie trzyma się tak długo, był w końcu wrogiem wszelkich „punktów oparcia”. Podczas pamiętnej publicznej debaty boleśnie potraktował pierwsze przykazanie Biskupa Jansena, które głosiło: „Opór jest oparciem”. „Oparciem może być tylko życie”, powiedział. I dodał: „Opór jest co najwyżej reakcją, a jak się będziesz próbował oprzeć na reakcji, to szybko zlecisz na pysk”. Po zakończeniu debaty sześciu uczniów Biskupa przeszło do Algiego, a tylko jeden jego uczeń przebył tę samą drogę w odwrotnym kierunku. Ja byłem jednym z tamtych sześciu, a jedynym podążającym w drugą stronę był Angelus, mały, tłusty chłopiec, który później wydał Jansena w ręce Nadzorców, zaraz w pierwszych minutach Wojny Prewencyjnej.

Od sześciu już lat Algie, niepokromiony piewca życia, jest tego życia żyjącym przeciwieństwem. A wraz z nim także my, dawni jego uczniowie, Zakładnicy.

Pamiętam, jakim odkryciem były dla mnie jego słowa o „władzy przezroczystej”. „Przez całą historię naszego gatunku”, mówił, „tworzyliśmy różne formy władzy, które później próbowaliśmy kontrolować. Teraz jednak powołaliśmy do istnienia władzę przezroczystą, która realizuje jedynie Doktrynę Wolności. I to właśnie ona wymknęła się spod naszej kontroli”.

My przynajmniej próbowaliśmy. Właśnie po to, żeby ograniczyć „przezroczystą władzę”, rozpoczęliśmy samoograniczającą się rewolucję. Ale nie daliśmy rady, technologiczna różnica pomiędzy rządzącymi a rządzonymi była już zbyt wielka.

Buciki dla Action Mana

Przez sześć ostatnich lat pozostaję Zakładnikiem Algernona. A wraz ze mną moja żona Małgorzata i Lorie, mój sześćioletni syn.

„Nic bardziej nie skłania do praktykowania Osobistych Cnót niż klęska poniesiona w życiu publicznym”. W tym jednym Biskup Jansen miał rację i może właśnie dlatego tak bardzo go teraz nie lubię. Fakt, że się nie mylił, zatruwa mi radość płynącą z praktykowania Osobistych Cnót. Zawsze, kiedy po nocy wypełnionej koszmarami budzę się u boku Małgorzaty i przytulam do siebie Loriego, który przybiega o świcie do naszej sypialni, znów uświadamiam sobie, jak wiele ważnych rzeczy w moim nowym życiu robię zamiast...

Po wypełnieniu zawodowych obowiązków (projektuję okładki na DVD z filmami Wytwórni), zanim przyjdzie noc, a wraz z nią pojawią się wszystkie moje zwierzęta, oddaję się usilnie życiu rodzinnemu. Teraz właśnie zbliża się noc, a ja kończę szyć buciki dla wielkiej plastikowej lalki Action Mana. Poprosił mnie o to Lorie, Action Man to najbardziej przez niego oczekiwany urodzinowy prezent. Mój syn obchodzi urodziny tego samego dnia co ja, on także przyszedł na świat 06.06., tyle że trzydzieści trzy lata później ode mnie, dokładnie 06.06.2039 roku.

Lorie był przenoszonym dzieckiem. Położna powiedziała, że urodzi się w maju, a on wytrzymał w brzuchu matki dokładnie do dnia moich urodzin. I to pomimo chemicznych kopniaków, jakimi go częstowano przez cztery ostatnie tygodnie przedłużonej ciąży.

Dziewiątka w dacie jego urodzin to tylko odwrócona szóstka.

Action Man jest bohaterem kreskówki opowiadającej o niezwykłych wyczynach Nadzorców. Każdy świat ma swoje czarne charaktery i swoich idoli. Ja jestem jednym z czarnych charakterów tego świata, ale nauczyłem się przynajmniej wybaczać kreskówkom. To kolejna mądrość, którą zawdzięczam Algiemu. „Wybaczej przynajmniej kreskówkom”,

mówił, „one nie mają tutaj nic do rzeczy”. Wcześniej, kiedy byłem jeszcze uczniem Biskupa Jansena, potrafiłem oceniać kreskówki pod kątem ich pozytywnego lub negatywnego oddziaływania na dusze małych konsumentów. Nazywaliśmy to „skalą zepsucia”, a Action Man dostał od nas minus dziewięć. Minus dziesięć wyznaczało dolny koniec skali, zajmowały go Pokemony.

Każdy ma takich wrogów, na jakich zasłużył. Wrogami Biskupa Jansena i nas, jego uczniów, były Pokemony.

Lorie i Małgorzata przedstawiają dla mnie sporą wartość, a ja przedstawiam sporą wartość dla Algernona. Wartość Zakładników jest zgodnie z regułami prowadzenia Wojny Prewencyjnej wartością przechodnią. Mój syn zdążył się już dowiedzieć, że jest Zakładnikiem. Powiedziano mu to w jego bardzo demokratycznym przedszkolu. Chodzą do niego dzieci Nadzorców, Zakładników, a także zwykłych Danonów, takich, którym wystarcza wolność gwarantowana przez Doktrynę.

Gładzę włosy Loriego, są jasne jak gęste loki Biskupa Jansena albo jak samotny kosmyk ozdabiający czoło Algiego. Jasne włosy i niebieskie oczy, „piętno waszej rasy”, jak mówi Nadzorca, chociaż akurat do „rasy”, jeszcze jednego przekleństwa Epoki Wielkich Niepokojów, żaden z moich nauczycieli nigdy się nie odwoływał.

Biskup był uniwersalistą, tyle że jego uniwersum zagłębiało się niepokojąco w przeszłość. Algernon pozostawał indywidualistą, dokładnie tak, jak zachęca do tego Doktryna Wolności. Właściwie nie miał nawet nic przeciwko Teraźniejszości. Z Nadzorcami poróżniło go tylko to, że nienawidził ich władzy nad sobą. Nie władzy w ogóle, „władza w ogóle interesuje mnie równie mało co uniwersalna wolność”. To znowu jego słowa, z tej samej publicznej debaty, podczas której ja zmieniłem kierunek mojej antysystemowej kontestacji. „Prawda was wyzwoli, tylko ona wyzwoli was spod tyranii Doktryny Wolności”, dostojnie wypowiedział swoją kwestię Biskup Jansen. „Co to jest prawda?”, odpowiedział mu pytaniem Algie i wtedy dwóch pierwszych uczniów Jansena odstało od niego, przekraczając wyrysowaną na asfalcie kredową linię.

Debatę urządziliśmy na boisku do koszykówki, na jednym z podwórek robotniczej dzielnicy City.

Robotnicza dzielnica to taka, w której osiemdziesiąt procent rodzin żyje z zasiłku. Nie wiem, dlaczego Nadzorcy unikają słowa „bezrobotni”. Jakich to nazw nie wymyślano już dla nich przez ostatnie sto lat burzliwej historii Danonii. Od „pasożyta” po „niezatrudnionego”, od „ciemnogrodu” po „proletariuszy”, w zależności od ustroju, nastroju i od tego, czy ich akurat ścigano, czy gwarantowano im socjalne zasiłki.

Bezrobocie jest nieuchronną konsekwencją technologicznego postępu. „Bezrobocie” złe, „postęp” dobry, trudno się w tym połapać, skoro jedno wynika z drugiego. Ale jeśli szczęściarz, który znajduje jeszcze zatrudnienie w Wytwórniach, może wyprodukować w ciągu godziny pełnokalorycznego zarcia dla miliona ludzi, płyt kompaktowych dla stu

tysięcy, a DVD dla co najmniej dziesięciu, to rzeczywiście trudno marzyć o pełnym zatrudnieniu. Wszyscy pozostali musieliby sprzedawać hamburgery.

„Gdyby w tym samym tempie co produkcja przedmiotów i wizerunków przyrastała w naszym świecie wolność i partycypacja, nasza samoograniczająca się rewolucja nie byłaby nikomu do niczego potrzebna”. Algie to jednak miał gadane. Nie tylko podczas debat. Te słowa wygłosił przed Trybunałem, podczas Procesu, który kończył epokę indywidualnego terroru.

Tamtą publiczną debatę zorganizowało potajemnie nasze małe studenckie podziemie. Podczas procesu okazało się jednak, że Nadzorcy dysponują pełnym jej zapisem. Właściwie to powinniśmy się tego spodziewać. Dziwne, że nie pomyśleliśmy o satelitach Wytwórni, które wychwytyują kody i potrafią namierzyć pirackie wykonanie każdego legalnie wyprodukowanego filmu czy muzycznego kawałka. A tak przy okazji rejestrują również oryginalne wykonania. Takie jak to nasze.

Przestrzeń wokół Ziemi pełna jest satelitów Wytwórni. Zdarza się, że któryś z nich opuszcza orbitę, nie są najlepszej jakości, a jego resztki spadają na powierzchnię planety, czasem nawet na zaludnione przedmieścia City. Ale i tak krąży ich dosyć, żeby każdy kawałek Danonii mógł być zeskanowany po sto razy albo i więcej.

Wytwórnie to, mówiąc dokładnie, dwie konkurujące ze sobą globalne korporacje, Virgin i Bracia Warnerowie. Obie powstały kiedyś w Jogobelli, ojczyźnie Doktryny Wolności, tam gdzie jako pierwsza została ona w pełni zrealizowana. To właśnie dzięki Doktrynie Wolności, no i dzięki prężności obu tamtejszych Wytwórni, Jogobellianie stali się w połowie ubiegłego wieku najbardziej rozwiniętym społeczeństwem świata.

Po ogłoszeniu przez Globalny Synod Końca Historii szybko opanowały Wyzwolony Rynek podupadłej Bakomy, niegdyś głównego konkurenta Jogobelli w walce o panowanie nad światem. Są też obecne w Danonii i w pozostałych sześćdziesięciu pięciu Małych Zrzeszonych Krajach Naszego Kontynentu. Właściwie to tylko one tutaj działają. Podzieliły między siebie nasz Wyzwolony Rynek bez reszty, nie zostawiły nawet najmniejszej okruszynki jakiegokolwiek firmie, która nie byłaby podwykonawcą którejś z nich.

Konkurencja i Wyzwolony Rynek zostały zagwarantowane odpowiednio w trzecim i czwartym Przykazaniu Doktryny Wolności. Własność Prywatna, której poświęcono dwa kolejne, nie mówiąc o kilkunastu Dogmatach, również jest nienaruszalnym fundamentem Teraźniejszości. Ale kto tak naprawdę jest prywatnym właścicielem Wytwórni, tego nie wiedzą chyba nawet Nadzorcy. Braci Warnerów nikt nie zna, może istnieli kiedyś, bo teraz są już obecni wyłącznie w nazwie Wytwórni.

Do Wytwórni należy wszystko, od naszej pracy do czasu wolnego, od religii do polityki, od jawy po sny. Virgin, jak sama nazwa wskazuje, jest trochę bardziej konserwatywna. Oczywiście nie tak radykalnie, żeby podawać w wątpliwość samą Doktrynę Wolności. Preferuje jednak muzykę symfoniczną i miękkie przeróbki popowych przebojów, najlepiej w

perfekcyjnych wykonaniach dwunastu sopranów. Do tego dochodzi promocja bardziej restrykcyjnej polityki karnej, no i w końcu konserwatywna teologia, czyli szeroki sponsoring badań nad grzechem pierworodnym.

Bracia Warnerowie to w porównaniu z Virgin prawdziwi lewacy. Jeśli muzyka to tylko cyber-hop-punk, w polityce związani z nimi artyści popierają wigilijne moratorium na wykonywanie kary śmierci. Także w kwestiach wiary zajmują wyraziste stanowisko, sponsorują badania nad projektem „Apokatastasis”, zwanym przez nich czasami „radosną tajemnicą pustych piekieł”.

Gdyby pozwolić Wytwórniom całkiem swobodnie ze sobą konkurować, nasz świat znów pograżyłyby się w chaosie, tak jak w czasach Naszych Przodków. Żeby temu zapobiec, powołano Nadzór, czyli Państwo, i oczywiście Nadzorców, czyli Urzędników Państwowych, bezpartyjny korpus administrujący polityką, religią i literaturą, który nie pozwala stoczyć się naszemu światu w otchłań partyjniactwa.

Obecnie na danońskim Wyzwolonym Rynku dominują Bracia W., ale jeszcze dziesięć lat temu górą była Virgin i dużo mówiło się tutaj o „konserwatywnej rewolucji”. To jej wytworem był Biskup Jansen, no i my, jego uczniowie.

Podczas gdy Jansen skupił w swoim Ruchu klientów Wytwórni Virgin, tak reakcyjnych, że zerwali się w końcu z łańcucha Doktryny, do Algiego trafiali najbardziej radykalni konsumenci psychospołecznych produktów Braci Warnerów. Ja stanowiłem wyjątek. Będąc naturalnym konsumentem progresywnej oferty Braci W., zawędrowałem niespodziewanie w szeregi uczniów Biskupa Jansena. I pozostałem tam przez całe trzy lata, do dnia sławetnej publicznej debaty.

W epoce „przezroczystej władzy” nawet najbardziej radykalni buntownicy potrafią jedynie parodiować panujący język. Takie są nieubłagane prawa hegemonii. Algie nieraz nam powtarzał: „Jeśli was przycisną, przyznajcie się do wszystkich zarzucanych wam win, tylko sami nigdy nie czujcie się winni”. Tu Algie trochę się pomylił. Racja leży raczej po stronie Nadzorców, kiedy mówią, że „człowiek jest zwierzęciem społecznym” (Dogmat XXXII). Gdybyśmy przestali zwracać uwagę na to, co sądzą o nas inni, stalibyśmy się zwierzętami *tout court*.

W czasie Procesu przyznaliśmy się wszyscy, tak jak nam radził. Robiliśmy to trochę ze strachu, a trochę dla hecy, w końcu wielu z nas pochodziło z Dobrych Rodzin. Sam do dziś pamiętam, jaką miałem frajdę, kiedy zaraz po ogłoszeniu wyroku wygłaszałem przed kamerami prowokacyjną formułę uznania swej winy, jaką uzgodniliśmy między sobą w śledztwie. „To prawda, że Doktrynę Wolności przedstawiałem sobie i innym jako możliwe źródło zniewolenia”.

Dopiero kiedy poznałem już wszystkie uroki codziennego życia Zakładników, naprawdę poczułem na sobie brzemię tamtej winy, do której przyznałem się nieopatrznie, w akcie naiwnej młodzieńczej przebiegłości.

Czy można „mieć frajdę”, przyznając się do winy? Tak, jeśli dookoła znajdują się przedstawiciele mediów. Jednak to nie ten krótki występ przed kamerami, lecz Cela Śmiechu jest prawdziwym zwieńczeniem medialnej kariery. Osadzeni są bardziej znani niż odtwórcy głównych ról w soapach Wytwórni. Co z tego, że grają potwory, czy Maurice Harlow jest mniej popularny dlatego, że grywa wyłącznie monstra, czy jego gaże są z tego powodu niższe?

Mieszczkańskie matrony straszą losem Osadzonych niesforne dzieci i potencjalnie niesfornych małżonków. W undergroundowych klubach chudzi chłopcy i piersiaste dziewczęta noszą T-shirty ozdobione szablonami ich twarzy. W godzinach wieczornej emisji „The best of” pustoszeją ulice. W porównaniu z Osadzonym Zakładnik to prawdziwy parias, jego jedyną nagrodą jest Ostatnie Słowo.

Właśnie dlatego pomiędzy Zakładnikami i Osadzonymi nie ma solidarności. To my płacimy za ich popularność, podczas gdy sami dostajemy z tego tyle co nic. Może z tego powodu tak niecierpliwie wyczekujemy później ich upadku.

Szczęśliwe dni

Mam ostatnio wrażenie, że to wszystko tylko mi się przyśniło: Biskup Jansen, Algernon, samoograniczająca się rewolucja. Może cała moja młodość była jedynie krótkim koszmarem, który zakończył się przebudzeniem, dziwnym, bo trwającym już całe sześć lat i wypełnionym nieprzerwanym krzykiem. „Krzyk jest najciekawszym ze słów”, tak nas uczył Algie. Ale nie miał racji, nie tylko zresztą w tym jednym przypadku.

Na przykład „Nadzorczy”, z początku tylko on ich tak nazywał. I wszędzie dostrzegał ich niepokojącą obecność. Dla normalnych obywateli Danonii byli to zwykli Urzędnicy Państwowi, korpus funkcjonariuszy zatrudnianych zgodnie z Przykazaniem IX w ministerstwach, samorządach, redakcjach najważniejszych gazet. Tylko Algernon widział ich wszędzie, tak jak Biskup Jansen swojego Szatana.

W końcu i Biskup dostrzegł tych, których wzorem swego rywala zaczął nazywać Nadzorcami. Ale to stało się później, w apogeum samoograniczającej się rewolucji, kiedy obaj przestali ze sobą konkurować, a nawet trochę się do siebie zbliżyli.

Z kolei Algie nie dostrzegał nigdzie obecności Szatana, a w każdym razie nic nam o tym nie mówił. Czy znaczy to, że jego paranoja była bliższa prawdy? „Paranoja to końskie okulary, które zakładamy na nos, żeby nasz wzrok mógł osiągnąć nieco większą precyzję, skupić się na jednym celu. Choćby nawet inni mówili, że to, w co się wpatrujemy, nie istnieje naprawdę albo nie zajmuje w naszym świecie centralnego miejsca”. Tak mówił, ale czy było to prawdą?

Ostatnio coraz częściej przestaję być tego pewny. Nic dziwnego, jestem przecież Zakładnikiem, a moim obowiązkiem jest dystansowanie się do słów skompromitowanego mistrza. Albo obu, jeśli, tak jak ja, miało się ich aż dwóch i obaj zdołali się skompromitować. Dopiero kiedy odzyskam wolność, tę gwarantowaną przez Doktrynę, będę mógł o wszystkim tak po prostu zapomnieć.

Dopiero niedawno zacząłem podejrzewać, że moje wątpliwości nie wynikają jedynie z obowiązków Zakładnika. No dobrze, szczerść Nawrócenia, Klimat Wolności, w jakim powinno dojrzewać. Wszystkie te skodyfikowane symptomy zwiastują przybliżające się przejście na Najwyższy Poziom Terapii. Tyle że ja osiągnąłem Najwyższy Poziom już trzy lata temu, a mimo to nadal nie wiem, w jakim właściwie świecie żyję.

Z pozoru całkowicie wystarcza mi wolność gwarantowana przez Doktrynę, bogata oferta pięciuset pięćdziesięciu stacji telewizyjnych utrzymywanych przez Wytwórnę, pełne supermarkety i strzeżony przez Nadzorców porządek. Ale wystarczy, że na chwilę oderwę dłoń od sierści wspaniałego zwierzęcia świata, a zaraz powracają do mnie tamte głosy. Biskup Jansen syczy jak wąż o zepsuciu, a Algernon majaczy coś o przezroczystej władzy.

Zakładnikowi bardzo trudno przekonać samego siebie, że naprawdę odstąpił od skompromitowanego nauczyciela. Właśnie to czyni Terapię tak pociągającą także dla prowadzącego ją Nadzorczy. On, podobnie jak jego podopieczny, nigdy nie uwierzy do końca w szczerść Nawrócenia.

* * *

Algie i jego obsesja szóstek. Teraz, równo sześć lat po rozpoczęciu i prawie natychmiastowym zakończeniu Wojny Prewencyjnej, stała się dla mnie bardziej zrozumiała niż wtedy, w dniach samoograniczającej się rewolucji.

Opiekunem pokonanych zawsze bywa Zły, szczególnie, kiedy nie mamy do czynienia z czystym przypadkiem męczeństwa. A gdzie dzisiaj znaleźć doskonałego męczennika? Zawsze przytrafi się w naszej biografii, naszej albo naszego przodka, chwila, w której on albo my nie zostaliśmy jeszcze pokonani, kiedy wydawało się, że możemy zwyciężyć, nawet zachowywaliśmy się już trochę jak zwycięzcy. Jeśli taka przygoda rzeczywiście się przydarzyła, aktualni zwycięzcy, zwycięzcy nad nami, wyciągną ją z naszej przeszłości i podetkną przed oczy. „Taki z ciebie gnostyk?”, powiedzą. „To sobie popatrz, przecież ty także układałeś się kiedyś ze światem”.

Ja także układałem się kiedyś ze światem. Dowody na to można znaleźć w Teczce Nadzoru.

„Układałem się ze światem”? Wtedy, w dniach samoograniczającej się rewolucji, wszyscy układaliśmy się ze wszystkimi. Biskup Jansen z Algiem, my, ich uczniowie, pomiędzy sobą. Odstępcy, niedoszli reformatorzy Nadzoru, układali się z nami pomimo stale

wiszącej nad nimi groźby Wykluczenia. Przez te kilka miesięcy mogło się wydawać, że czas panowania przezroczystej władzy dobiega już końca. „Dobiega końca”? Jakby coś innego mogło ją zastąpić. Co by to miało być, Nieskalane Wczoraj czy Świetlane Jutro? Nadzór Zreformowany, czy może Mali Krzyżowcy, kolejne pokolenie uczniów Biskupa Jansena? Życie społeczne Danonii było wtedy prawdziwym śmietnikiem, śmietnikiem przeszłości i przyszłości, tak jak podczas każdej rewolucji.

Ale na tym śmietniku kwitło jakieś życie, panowała wolność, która, jak uparcie powtarzał Algernon, wciąż na przekór Doktrynie, „jest tylko nieświadomą koniecznością”. Pierwsze minuty Wojny Prewencyjnej miały nam ją znów uświadomić.

Jak w ogóle udało się przekonać Danonów do buntu? Czy można się zbuntować, skoro każde nasze słowo zostaje natychmiast wysłuchane, a przynajmniej usłyszane? Niekoniecznie przez tych, do których było skierowane, no chyba że od początku jego przeznaczeniem było wszechobecne ucho Nadzoru.

Od kiedy wprowadzono Kod Odtworzenia, Pełne Skanowanie Powierzchni Planety stało się możliwe, a nawet konieczne.

Dlaczego? No przecież trudno jest pochwalać piractwo, kradzież, naruszanie prywatnej własności. Tuż przed zainicjowaniem Pełnego Skanowania Powierzchni Planety ponad połowa dystrybuowanych na planecie DVD i programów pochodziła z pirackiego obiegu. W Jogobelli było z tym trochę lepiej, ale u nas, w Danonii, wskaźnik pirackiej dystrybucji przekroczył osiemdziesiąt procent. Okradano Artystów, Wytwórnice, no i Robotników zatrudnionych przy Produkcji Nośników Arcydzieł. Czasem robili to hakerzy, rewolucjoniści, ale o wiele częściej z luki w technologii korzystali zwyczajni złodzieje.

Globalny Kod Odtworzenia wprowadzono po to, aby skończyć z haniebnym procederem piractwa. W tym zbożnym celu Wytwórnice umieściły na orbitach swoje satelity i rozpoczęły Pełne Skanowanie.

Globalny Kod Odtworzenia to sekwencja kilku tysięcy liczb ukryta pośród milionów innych, kodujących obrazy, dźwięki i znaki graficzne. Jego zastosowanie stało się możliwe, od kiedy wszystkie dzieła sztuki, utwory muzyczne, filmy, a nawet książki i reprodukcje zaczęły trafiać do konsumentów wyłącznie w postaci cyfrowej. Kod Odtworzenia był emitowany przez utwór muzyczny, film lub jakieś wielkie dzieło literackie za każdym razem, kiedy się go słuchało, oglądało albo próbowało przeczytać. Był niczym piętno bestii, nie dawało się go wydrapać, ani nawet odnaleźć. W ten sposób każde wykonanie Dzieła rejestrowały satelity Wytwórnicy, której to Dzieło pozostawało własnością. Po zarejestrowaniu przez satelitę Faktu Odtworzenia Wytwórnica pobierała z konta bankowego konsumenta lub zbiorowego dystrybutora należną jej sumę. Obowiązujące stawki nie były wysokie, stawały się jeszcze niższe, jeśli ktoś zarejestrował się w jednej z Wytwórnicy jako Stały Detaliczny Konsument jej Produkcji. Ograniczało to wybór, ale zbijало cenę prawie o połowę. Zresztą po upływie roku można było rozwiązać umowę i zarejestrować się u konkurencji.

Także dzisiaj nikt nie potrafi złamać Globalnego Kodu Odtworzenia, ani nawet nie stara się tego zrobić. Jedynym historycznym wyjątkiem okazał się Algie. To on zaraz w pierwszych dniach samoograniczającej się rewolucji znalazł sposób na łamanie Kodu. W ten sposób udało mu się upowszechnić standard, obniżyć jego koszty praktycznie do zera.

Ale złamanie Kodu oznaczało nieuchronny powrót piractwa. I to właśnie stało się oficjalną przyczyną rozpoczęcia Wojny Prewencyjnej. Jak powiedział w swoim przemówieniu Pierwszy Nadzorca, „nasze Państwo niezłomnie stoi na straży Własności”. Stoi niezłomnie na straży nawet wtedy, kiedy ta Własność przestała już należeć do konkretnej osoby. Istnieją oczywiście mityczni akcjonariusze Wytwórni, wszyscy nimi jesteśmy. Każdy mieszkaniec planety posiada przynajmniej jedną akcję Virgin albo Warner Bros, większość z nas posiada zresztą tylko jedną. Co roku w Wigilię Bożego Narodzenia Management Wytwórni wypłaca nam od niej ustaloną podczas Walnego Zgromadzenia dywidendę. Jej wysokość ogłaszają w Wieczornych Wiadomościach, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dzieci rozpakowują świąteczne prezenty.

Od czasu wprowadzenia Globalnego Kodu Odtworzenia, to znaczy od blisko pół wieku, Pierwszy Nadzorca Jogobelli nosi w czarnej walizeczce programy kodujące obydwu Wytwórni. Zmienia konfigurację każdego poranka, dokładnie o czwartej czterdzieści pięć, zanim jeszcze robotnicy i niezatrudnieni obudzą się ze snu, żeby niepewną ręką sięgnąć po swoje zapery. Porzućcie wszelką nadzieję, hakerzy pracujący nocą.

Żegnając się z Urzędem po jednej albo dwóch Kadencjach, Pierwszy Nadzorca Jogobelli przekazuje czarną walizeczkę swojemu Następcy. Przekazanie odbywa się na oczach tłumów zgromadzonych na ulicach i placach Agory, która jest administracyjną stolicą Jogobelli. Za pośrednictwem satelitów Wytwórni ceremonię Przekazania oglądają miliardy ludzi na całym świecie. Położona na Wschodnim Wybrzeżu Jogobelli Agora to ostatni na naszej planecie ośrodek realnej władzy. W innych Stolicach Administracyjnych, na przykład w naszym City, mamy co prawda Pierwszego Nadzorcę i Prezesów Narodowych Filii obydwu Wytwórni, ale nawet najgorzej poinformowani obywatele nie myślą tych stanowisk z jakąkolwiek władzą. „Należy odróżnić Władzę od Zarządzania” (Dogmat XII). Obywatele Rzeczypospolitej Danonii już dawno zrozumieli sens tego rozróżnienia.

Ceremonia Przekazania walizeczki z Kodem ma w sobie powagę, jakiej nie posiadały dawne koronacje.

Program Pełnego Skanowania Powierzchni Planety pozwolił zlikwidować także inną niebezpieczną plagę, jaką był kiedyś terroryzm. Terroryzm zaczął przybierać na sile zaraz po Końcu Historii, to znaczy po ogłoszeniu Końca Historii przez Globalny Synod, kiedy to wszelkie partie i ruchy utraciły możliwości wywierania nacisku na władzę. Doszło do tego, że przeciętny obywatel przestał wychodzić nawet do hipermarketu w obawie przed zamachami Brygad Męczennika Hermana czy Radykalnej Ligi Obrońców Dziecięcej Czystości.

To Judolf Rudziani dostrzegł jako pierwszy możliwość zastosowania Pełnego Skanowania Powierzchni Planety w walce z globalnym terroryzmem. Pełnił funkcję Pierwszego Nadzorcy Jogobelli w czasach, kiedy Pierwszego Nadzorcę nazywano jeszcze Prezydentem. Może zresztą nazywa się go tak również dzisiaj i tylko my, Zakładnicy Algiego, mówimy o nim, a przynajmniej myślimy jako o „Pierwszym Nadzorcy”.

Tak czy inaczej, od czasów Rudzianiego zachowanie każdego obywatela jest skanowane i archiwizowane. Dzięki nakładkom encefaloskanicznym czasami, ale tylko w naprawdę uzasadnionych przypadkach, archiwizowane są także jego myśli. Dzieje się tak wyłącznie w przypadku Osadzonych albo Zakładników. Wobec zwykłych obywateli archiwizowanie myśli praktykuje się tylko wówczas, kiedy przeciwko nim prowadzone jest Śledztwo. Tajemnica Nadzoru jest przestrzegana bardziej niż Tajemnica Spowiedzi. Pozbawienie kogoś jego Prywatności oznaczałoby złamanie zasad wynikających z Doktryny Wolności.

Co innego, jeżeli ktoś sam uchyla się od obowiązków wynikających z Doktryny. Wtedy wyklucza się także spod jej opieki, a jego Prywatność przestaje istnieć.

Algernon poprowadził nas jednak do buntu, tak jak przed nim robił to Biskup Jansen. Nawet jeśli wektor każdego z tych ruchów był skierowany przeciwnie, oba prawie natychmiast zderzały się z Zasadą Rzeczywistości. W dodatku oba okazały się na swój sposób skuteczne.

Czy można mówić o skuteczności buntu, który poniósł klęskę? W starciu z Zasadą Rzeczywistości wszyscy ją ponosimy. Liczy się tylko czas, jaki upływa pomiędzy wystąpieniem, rzuceniem hasła, stworzeniem graficznego symbolu Ruchu a rozpoczęciem Wojny Prewencyjnej. Nigdy nie ma go zbyt wiele, ale nieraz udaje się w nim zmieścić całe życie. Mnie udało się tam zmieścić dziewięć lat mojego. Z czego trzy spędzone w szeregach zdyscyplinowanych uczniów Biskupa Jansena, a sześć w anarchicznej komunie Algiego.

Rozróżniam te dwa okresy mojej młodości z taką precyzją, jakbym rzeczywiście uważał, że trzy lata spędzone z Jansenem były poważniejszym błędem od pozostałych sześciu. Tymczasem te dziewięć lat to jedna wielka omyłka, zresztą dziewiątka to przecież tylko odwrócona szóstka.

W jaki sposób Algernonowi aż tak się udało rozciągnąć czas pomiędzy rzuceniem hasła i ostateczną klęską? Nauczył się zacierać Trop Konsumenta. W ten sposób udało mu się upowszechnić standard i wykorzystać go do „masowego zacierania śladów”. Tak przynajmniej nazywali to Nadzorcy i naprawdę tego nie lubili.

Żeby wytłumaczyć ideę standardu, trzeba najpierw przypomnieć, czym jest Trop Konsumenta. Na Trop Konsumenta składa się wszystko, całe nasze życie. To znaczy ta jego część, która się liczy, czyli Konsumpcja. Możesz zmienić twarz, odciski palców, ślad DNA, rytm bicia serca, a nawet zarejestrowaną przez encefaloskany satelitów Wytwórni aktywność twojego mózgu, ale nie zmienisz swoich konsumpcyjnych upodobań. Zdradzi cię menu w uniwersyteckiej kafejce, gatunek płatków śniadaniowych, sekwencja portali, które

odwiedzasz co rano, ulubione rozgłośnie radiowe i telewizyjne stacje. Możesz przemienić swoje ciało i pozostawić za sobą ślad fałszywego DNA, ale nie zatrzesz znaków, które rozsiewasz jako Konsument. Właśnie to Nadzorcy nazywają Tropem, nad tym prowadzą niekończące się badania. Ślady pozostawiane na powierzchni planety przez miliardy Konsumentów wypełniają gigantyczne pamięci komputerów Nadzoru.

Zniknąć z Elektronicznej Tablicy Rozdzielczej Nadzoru, na której jak w Księdze Żywota zarejestrowany został los każdej Jednostki, jest jeszcze trudniej. Nawet jeśli jakimś cudem uda się zatrzeć własny Trop, to podszyć się pod kogoś innego jest prawie niemożliwe. Człowieka, którego Trop Konsumentki uległ zakłóceniu, skanujące satelity jednej z Wytwórni, w zależności od tego, w której katalogu jest zarejestrowany, definiują jako Anonimowego Uciekiniera i doprowadzają do niego psy. „Psy”, tak mówiło się na tajnych agentów chyba jeszcze w czasach, kiedy spragnieni wolności Danonowie żyli pod jarzmem totalitarnej Bakomy. Zabawne, panuje Wolność, a ta nazwa ciągle pozostaje w użyciu.

Najczęściej chodzi o zwyczajne nieporozumienie. Między trzydziestym i czterdziestym rokiem życia Trop Konsumentki większości Danonów zaczyna się zmieniać. Spokojniejsza muzyka, mniej brutalne filmy, garnitury od Gucciego zamiast undergroundowych T-shirtów. W końcu nawet zabawne komiksy Marvela zostają zastąpione w twojej bibliotece przez monumentalne sagi Stefanusa Stilenachta, które w epickiej formie opowiadają o życiu rodzinnym Action Mana. Wiąże się to wszystko ze zmianą stratyfikacji społecznej, miejsca w szeregu, a czasami także ze zmianą samego szeregu.

W połowie drogi pomiędzy trzydziestką i czterdziestką (Danonowie dojrzewają późno) ekologiczne syntetyki zostają w garderobach tutejszych dziewcząt zastąpione przez naturalne futra z fok. Przedstawiciele zagrożonych gatunków klonuje się dzisiaj na tak wielką skalę, że ich ochrona przestała być konieczna. Jest tylko ideową deklaracją, która już dawno utraciła całą swoją treść. Mniej więcej w tym samym wieku danońscy chłopcy przesiadają się ze swoich superlekkich ekologicznych górskich rowerów za kierownice rodzinnych limuzyn z napędem na wszystkie sześć kół.

Takie nieporozumienia wyjaśniane są grzecznie i szybko. Związana z dojrzwaniem zmiana Tropu Konsumentki jest jednym z najlepiej opisanych fenomenów Konsumpcji. Co innego świadomie podejmowane próby zatarcia Tropu, one są najcięższą zbrodnią spośród tych, które zapisano w Kodeksie Karnym Rzeczypospolitej Danonii.

Jak poradził sobie z tym wszystkim Algie? „Ja z niczym sobie nie radzę, używam wyłącznie gotowych energii, płynę niesiony przez wysoką falę życia”. W tym przypadku chodziło o falę globalnej kontrkultury. To jej częścią był standard, a Algernon zaczął z niego korzystać bardzo wcześnie, już w początkach samoograniczającej się rewolucji. Rozwijał go, pogłębiał, jakby doskonale wiedział, że skuteczna osłona będzie mu potrzebna w epoce indywidualnego terroru.

Wcześniej kontrkultura nie dawała nikomu żadnej osłony. Wręcz przeciwnie, każdy szanujący się kontrkulturowiec miał swój Trop Konsumencki, nie mniej wyraźny niż Trop playboya wynajmującego luksusowe studio w dawnych dokach City. Dopiero Algie podkreślił standard i zmienił go w prawdziwą gumkę do wycierania śladów.

Jeden rodzaj kawy, płatków i T-shirtów. Te same stacje wybierane według identycznej siatki godzin. Zestandardyzowani byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Przynajmniej jako Konsumenci, bo jako osoby mogli się od siebie bardzo różnić. Rzecz w tym, że satelity Wytwórni nie rozróżniały osób. Zostały zaprogramowane tak, aby rejestrować wyłącznie Konsumentów.

Standardyzacja była męcząca. W pełnym standardzie, takim, który był nie do rozgryzienia dla satelitów Wytwórni, można było wytrzymać nie dłużej niż kilka tygodni. A jednak w apogeum samoograniczającej się rewolucji, tuż przed wybuchem Wojny Prewencyjnej, żyło nas w pełnym standardzie kilkadziesiąt tysięcy. W samym tylko sześciomilionowym City, nie licząc Miasta Astronomów, Czakrania czy Górniczego Zagłębia.

Standard był oczywistym dla wszystkich sposobem uniknięcia Nadzoru, jednak od strony Prawa nie sposób było go ugryźć. Rzeczpospolita Danonii była Państwem Prawa, przynajmniej do wybuchu Wojny Prewencyjnej. Bo później stała się już wyłącznie Państwem Doktryny Wolności.

W czasie, kiedy Algie pracował nad pogłębieniem i upowszechnieniem standardu, Biskup Jansen organizował swoich Małych Krzyżowców. To była jego prywatna milicja, a właściwie (zawsze przecież twierdził, że jest tylko narzędziem w ręku swego Stwórcy) prywatna armia sformowana przez niego i oddana pod Jego rozkazy. Sam zaprojektował dla nich mundury, może dlatego patrząc na nie, trudno było zachować powagę. Wyglądały jak skrzyżowanie habitu z uniformem armii jakiegoś operetkowego królestwa. Wielkie miedziane guziki, kolorowe sznury, plastikowe kryzy. Nawet Mały Krzyżowiec bez rangi musiał nosić na sobie cały ten śmietnik.

W apogeum samoograniczającej się rewolucji Jansen porzucił swój estetyczny purytanizm i stał się nagle największym w Danonii mecenasem kiczu. Przyjmował parady Małych Krzyżowców ubrany w świetnie skrojony, prosty biały habit. Z prawego ramienia zwisał mu złoty pleciony sznur, na którego końcu wisiał niewielki pozłacany krucyfiks. Mali Krzyżowcy stale maszerowali ulicami robotniczej dzielnicy City, przebijając się przez gęstniejące z dnia na dzień szpalery gapiów. Ich gwiazdziste marsze kończyły się na Placu Maślanki. Tam Biskup, stojąc na stopniach Narodowego Hipermarketu, wygłaszał przed Małymi Krzyżowcami swoje zwyczajowe kazania. W tym samym czasie jego agenci rekrutacyjni, pośród których brylował mały, tłusty Angelus, przyjmowali coraz liczniejszych ochotników.

Biskup Jansen gadał, jak zwykle, o wieczności. Tylko że wtedy, w dniach samoograniczającej się rewolucji, nawet ta jego wieczność zdawała się nabierać bardziej konkretnych, bez mała historycznych kształtów.

Estetycznie rzecz biorąc, różnica pomiędzy Algiem i Biskupem Jansenem była wtedy największa. Tym bardziej zastanawiały nas ich coraz częstsze spotkania.

Blitzkrieg

Nadszedł już chyba czas, żeby przypomnieć sobie kilka scen walki. Walki beznadziejnej, skazanej na porażkę, jak każda, którą prowadzimy z samą Zasadą Rzeczywistości. W sporze, który z nią prowadzimy, w naszej nieprzerwanej Publicznej Debacie, to jej należy zawsze przyznać rację. Bo inaczej? Łatwo się przekonać, co będzie, jeśli spróbujemy postąpić inaczej.

„Jeżeli roztrwonicie swoje siły, walcząc z Zasadą Rzeczywistości, zabraknie wam ich, żeby zmierzyć się z konkurentami. A wtedy grozi wam los nieudaczników” (Dogmat XXXIV).

Wojna Prewencyjna okazała się blitzkriegiem, chociaż w pierwszych jej minutach nic tego nie zapowiadało. Pamiętam entuzjazm, z jakim przyjęliśmy informację o poddaniu się załogi czołgu, który wjechał na campus i utknął w wąskiej uliczce pomiędzy kantyną i czternastym akademikiem. W Danonii już dawno nie toczono wojen z użyciem ciężkiego sprzętu, żołnierze wyszli z wprawy. Rzecz w tym, że bardzo szybko znowu jej nabrali. Już kilka minut później zaczęło się wyławianie. Łączność osobista sześciu milionów mieszkańców City została wyłączona pomimo tego, że prawo do nieprzerwanej łączności ze światem gwarantuje każdemu obywatelowi Rzeczypospolitej Danonii Dogmat XIX Doktryny Wolności. Tych z nas, którym w pierwszych sekundach Wojny Prewencyjnej nie wyłączono komórek, namierzono właśnie dzięki nim. Wystarczyło wysłać lub przyjąć MMMS-a, a na miejscu zaraz pojawiali się Agenci Nadzoru. Usypiali delikwenta, a przy okazji cały kwartał domów, matki przewijające niemowlęta, operatorów budowlanych dźwigów, niedzielnych kierowców.

Nadzorcy nie są galernikami wrażliwości. Niosą na swoich barkach odpowiedzialność za całą Teraźniejszość. Nie jest w końcu aż tak zła, żeby w jej obronie nie poświęcić paru ludzkich istnień. A my, jakie my mieliśmy prawo do moralizowania? W końcu to przez nas wybuchła Wojna Prewencyjna. W naszych publicznych debatach, tych o nieskalanej przeszłości i świetlanej przyszłości, z dnia na dzień uczestniczyło coraz więcej młodych, niewinnych Danonów.

Staliśmy się przekleństwem nie tylko dla siebie. Także innych uczyniliśmy naszymi ofiarami, założyliśmy im na nosy końskie okulary naszej własnej paranoi.

* * *

Krytycy sztuki narzekają zwykle, że moje grafiki są „afabularne”. Afabularne? „Pancerniki” albo „kot grający na perkusji”? Moje zwierzęta znają nieskończoność fabuł. Teraz, kiedy ta nieskończoność dobiegła już końca, nie spieszą się wcale, żeby o niej opowiadać. Wolą milczeć, milczenie nadaje im rys pewnego arystokratyzmu. Gdyby je przerwały, od razu podniosłyby nieprzystojny lament.

Pierwsze minuty Wojny Prewencyjnej. Telefony w siedzibie naszego komitetu milkną jeden za drugim. Odcięta dzielnica po dzielnicy, jakby nad City nadciągała wielka fala milczenia. Czarnowłosa i czarnobrody Filip Trocek krzyczy już od progu histerycznie: „Aresztowali Biskupa Jansena, wydał go mały, tłusty Angelus. Kręcił się tam, kiedy Nadzorcy wyważali drzwi, a Straż Miejska w pełnym rynsztunku przeganiała gapiów zwabionych hałasem...”.

Algie mu przerywa, nadchodzą następne wiadomości: „zamknęli Judę Odstępcę”, „wpadł szef struktur poziomych z Miasta Astronomów”. Wierzył, że w sześciomilionowym City łatwiej się ukryje. Szok. Wpadka za wpadką, jakby ktoś miał w głowie kompletną mapę wszystkich naszych kryjówek.

„Słowo »bezsilność« nie może pozostać naszym ostatnim słowem”. W ten sposób Algie podejmuje decyzję. Rozpoczyna się epoka indywidualnego terroru. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że będzie tak krótka.

Nigdy nie wiemy, że to, co akurat przeżywamy, staje się już Historią. Dowiadujemy się o tym za późno...

Nie mieliśmy dla tej epoki żadnej własnej nazwy. Dlatego przyjęliśmy tę wymyśloną przez Wytwórnice. Nas samych Wytwórnice nazwały „terrorystami”, a my, jakbyśmy byli tylko zniekształconym echem ich głosu, tak właśnie zaczęliśmy o sobie mówić.

Fałszywe odciski palców, kapsułki z DNA należącym do kogoś innego, to wszystko były tylko tanie grepsy. I tak nie zapewniały nam skutecznego ukrycia. Nawet standard gwarantował jedynie odroczenie wpadki. Różnica technologiczna pomiędzy rządzącymi i rządzonymi była już zbyt wielka.

Właśnie dlatego najważniejsza pozostawała sama decyzja, to ona stała się naszą najskuteczniejszą bronią. Zdecydowaliśmy się na złożenie ofiary z nas samych, to my mieliśmy być ofiarnymi zwierzętami. „Musimy poderznąć gardła sobie samym, tak aby nasza krew spłynęła po instytucjach niewidzialnej władzy i wydobyła je z ich przekłetej niewidzialności”. To słowa Algiego, niech mu będą dzięki.

Po humanitarnym blitzkriegu Wojny Prewencyjnej, po upadku samoograniczającej się rewolucji język Algernona zaczął coraz bardziej przypominać język Biskupa Jansena. Stał się patetyczny, co wcześniej wydawało się nie do pomyślenia. Ale my umieliśmy mu to wybaczyć, wiedzieliśmy dobrze, że teraz ma do obsłużenia także sieroty po naszym Biskupie. Niewiele ich już zostało na wolności, ale zawsze. Przeszkoleni, fanatycznie oddani każdej sprawie, po prostu – Mali Krzyżowcy.

W epoce terroru indywidualnego Algie pozwalał sobie nawet na aluzje do ich nieskalanej przeszłości. Mawiał, że „cofnęliśmy się na chwilę do pierwotnego chaosu”. Chaos panujący w City nie był jednak aż tak bardzo pierwotny. Zrodziła go Wojna Prewencyjna, która nawet po tym, jak okazała się humanitarnym blitzkriegiem, i tak pozostawiła Danonów w stanie głębokiego szoku.

Obywatele demokratycznej Danonii, żyjący od ponad pół wieku pod przezroczystą władzą Doktryny Wolności, patrzyli ze swoich okien w dół, na sunące ulicami City kolumny pancerne. Słuchali nastrojonego na jedną nutę chóru dziennikarzy konkurujących ze sobą wcześniej mediów. Oglądali emitowane przez wszystkie stacje nieudolnie podrobione taśmy video, które pokazywały nas, ich własne dzieci, jak nawołujemy do zatruwania miejskich wodociągów, do atakowania przedszkoli, do mordowania dzieci Nadzorców, „jeżeli tylko wyrosły główkami ponad piastę wozu...”.

No i w końcu pierwszy publiczny proces, po którym do Celi Śmiechu posłano Judę Odstępę. Jego patetyczne przemówienie, zanim jeszcze przerwano transmisję...

A później oczywiście załamanie się Judy zaledwie po sześciu dniach Osadzenia. Pierwszy napis wydrapany przez niego na ścianie Celi: „Danoni, do was mówię, tępa owczarnio Nadzoru...”. Na oczach milionów Danonów czekających na kolejne wieczorne wydania „The best of” z republikanina bardzo szybko przemieniał się w mizantropa. A jednak jego upadek wielu z nich przyjęło wtedy jeszcze tak, jakby obciążał nie jego, ale tych, którzy go osadzili. Każdy pokaz siły prowadzi po jakimś czasie do jeszcze większej apatii, jednak wcześniej, przez krótką chwilę, skokowo zwiększa skłonność do buntu.

W pierwszych dniach po zakończeniu Wojny Prewencyjnej do zestandardyzowanych przyłączali się młodzi z najlepszych domów. Pośród nich były nawet dzieci Nadzorców. Młody Joshua Mueller, czwarte pokolenie Dobrej Rodziny zatrudnionej przy nadzorowaniu mediów, zanim jeszcze uległ i przyjął propozycję zatrudnienia go w tym samym ilustrowanym tygodniku, w którym przed nim pracowali jego ojciec i dziadek, przez całe trzy dni wydawał nielegalną gazetkę „City w ogniu”.

„City w ogniu”, wszyscy mieliśmy wtedy skłonność do przesady. Tak naprawdę City pograżało się jedynie w milczeniu, którego nikomu nie udało się już później przerwać.

Przygotowania do zamachu trwały przez cztery tygodnie. Aż tak długo udawało nam się kryć w głębokim cieniu standardu. Tysiące młodych ludzi, narażając się na chamskie zaczepki Straży Miejskiej, przenosiło w swoich plecakach bezużyteczne książki z bibliotek

rodziców po to tylko, żebyśmy my mogli przenieść w swoich trzy pistolety i dwie wiązki granatów.

Dla kogoś, kto jak Algie potrafił złamać Kod Odtworzenia, poradzenie sobie z kodami komunikacyjnymi Nadzoru nie przedstawiało większych trudności. Tak więc wiedzieliśmy, kiedy dokładnie Pierwszy Nadzorca Danonii będzie przejeżdżał Mleczną Drogą do swego pałacu.

No i sam zamach, kolejna krótka fabularna scena. W sam raz dla moich „afabularnych”, dotkniętych nagłą afazją zwierząt. Dla „kota grającego na perkusji” i dla „pancerników”. Żeby miały o czym milczeć przez pozostającą im do przeżycia wieczność.

Zajeżdżamy drogę limuzynie Pierwszego Nadzorcy. Widok z lotu ptaka – dwa opalizujące czarne żuki. Stają ukośnie względem siebie, całkowicie blokując wąską ścieżkę pełną wędrujących tam i z powrotem kolorowych mrówek.

Trocek wyskakuje podniecony na jezdnię i pada ścięty seriami z antyterrorystycznych karabinków Ochrony. Miał zostać w samochodzie. Nie wytrzymał i teraz inteligentne kule torują sobie drogę w jego ciele. Inteligentne kule, ostatecznie osiągnięcie jogobelliańskiej nanotechnologii. Niemal widzę, jak zapatrzone w miniaturowe turbinki i wyposażone w encefalograficzne receptory zmierzają prosto do jego nieinteligentnego mózgu.

Z auta wyskakuje Algie. A potem ja, mimo że miałem czekać w samochodzie. Wiem, że i tak nigdzie stąd już nie uciekniemy. Nadeszła chwila, do której mój wypaczony umysł dążył przez całe moje życie. Za moment umrę na swój własny sposób, bez fabularnych podpowiedzi ze strony producentów Wytwórni.

Jestem wolny, obietnica Algiego wreszcie się spełniła. I wybrany, bo spośród tylu uczniów ja jeden tu dotarłem, na trotuar przy Mlecznej Drodze, prowadzącej do Pałacu Pierwszego Nadzorcy.

Ukryci za samochodem rzucamy wiązki granatów. Niech zdycha. To on cztery tygodnie wcześniej na wszystkich kanałach telewizyjnych obu Wytwórni uzasadniał początek Wojny Prewencyjnej. „Dzisiaj w nocy Synod Rzeczypospolitej Danonii jednogłośnie zdecydował o rozpoczęciu Wojny Prewencyjnej. Tak jak niepodległości Danonii wszystkimi siłami naszego Państwa będziemy bronić Wolności gwarantowanej nam przez Doktrynę...”

Za te słowa teraz go ukarzymy. Algie rzuca pierwszy, ja zaraz potem. Oni mają najlepsze antyterrorystyczne karabinki, ale my też mamy dla nich niespodziankę. To Algie nas zaopatrzył, jak udało mu się dotrzeć do danońskich zapasów wojskowych, pozostało dla mnie tajemnicą nawet podczas Procesu.

Nasze granaty mają elektromagnetyczne przyssawki i rdzenie ze wzbogaconego uranu. Zaraz prześwidrują na wylot pancierz limuzyny Pierwszego Nadzorcy, aby w jej wnętrzu siać zniszczenie i śmierć.

Ale to antyterrorystyczne karabinki ochroniarzy sieją wokół zniszczenie i śmierć. Widzę skręcone ciało Trocka. Przypadkowi przechodnie padają na ziemię ścinani rozrzutnymi

salwami. Inteligentne kule docierają do ich mózgow prawie natychmiast. Ciałami leżącymi na ziemi szarpią ostatnie drgawki.

Nasze granaty nie wybuchają. Nie przyssały się nawet do pancерnej karoserii limuzyny Pierwszego Nadzorcy. Odbiły się od niej i leżą teraz na bruku, nieruchome, absurdalne. Ilustrują całą impotencję naszego buntu.

Ochroniarze podchodzą do nas ze wszystkich stron. Kierują ku nam żądła antyterrorystycznych karabinków. Ich broń jest zrobiona z wytopionych na orbicie superlekkich stopów, tych samych, z których wytwarzane są ramy ekologicznych górskich rowerów danońskiej młodzieży.

Są gotowi do użycia broni, ale nie strzelają. Wystarczy na nas spojrzeć, żeby zrozumieć, że nie będziemy stawiali oporu. Patrzymy na siebie bezradnie i powoli podnosimy ręce nad głowy. Nie po to, by uniknąć inteligentnych kul, jest nam po prostu wszystko jedno. Epoka indywidualnego terroru właśnie się skończyła.

* * *

Koniec. Żadnej fabuły. Raptem jedna chwila. Wystarczy, żeby moje zwierzęta miały o czym milczeć przez całą wieczność.

Co napisał o nich ostatnio czołowy krytyk „Fermentacji”? „Kontrowersyjny twórca niegdysiejszego »bohatera o jednym skrzydle« nadal nie opanował sztuki opowiadania fabuł. W planie czysto artystycznym jego »kotu grającemu na perkusji« czy »pancernikom« daleko do estetycznej dojrzałości »Sagi o Action Manie« Stephanusa Stilenachta. Właściwie jego zwierzęta w ogóle nic nie robią. Kiedy przyjrzymy się uważniej »kotu...«, odkryjemy, że na niczym nie gra. Podniósł co prawda w górę swoje pałeczki, ale nie wygląda na to, że będzie miał zamiar kiedykolwiek opuścić je i uderzyć w bębenek. Podobnie »pancerniki«, już na pierwszy rzut oka widać, że tylko pozorują marsz. Zastygły bez ruchu, jakby wspominały coś albo na coś czekały...”

Bądź przeklęty, Algie!

Czas zabawy i czas smutku. W mojej biografii zawsze występowały tuż obok siebie. Oczywiście przy założeniu, że w ogóle znalazło się tam miejsce na czas zabawy. Jestem pewien, że na przykład Małgorzata wcale tak nie uważa.

Zaledwie wczoraj wieczorem siedziałem z nią przy rozgrzebanym przez Loriego urodzinowym torcie, a potem, kiedy pierwsza poszła do sypialni, patrzyłem przez chwilę w lustro. Daremnie próbowałem zrozumieć monstrum, którym stałem się dla innych.

Ale nie tamtą chwilę mam na myśli, kiedy szukam w moim życiu czasu na zabawę. Czas na zabawę był wcześniej. Nie przyszli do nas żadni goście, ale dzień był świąteczny. Nawet ja byłem na swój sposób szczęśliwy, przynajmniej do czasu, kiedy zacząłem wspominać samoograniczającą się rewolucję.

Popołudnie wypełniły mi zabawy z Lorie. Później, kiedy Lorie już spał, Małgorzata nałożyła przejrzysty peniuar. Poszliśmy do łóżka, ale seks znowu nam nie wyszedł. Jest jedną z tych niewielu rzeczy, których nie należy robić zamiast.

Nawet jednak nieudany seks z Małgorzatą był lepszy od tego, co stało się później.

Teraz siedzę obok żony przy łóżku Loriego, w największym szpitalu City, noszącym imię Ojców Założycieli Danonii. Mają tu także największy oddział intensywnej terapii. Nasz syn bardzo jej potrzebuje, bo właśnie umiera.

Lorie miał wypadek, tak przynajmniej nazwała to zdarzenie Pani Przedszkolanka.

Nie wiem, dlaczego w tym świecie Kara przychodzi tak szybko. W ten sposób nie starcza nawet czasu na wzbudzenie w sobie Poczucia Winy. Nie sądzę, żeby Lorie kiedykolwiek zdołał je w sobie wzbudzić. Jeśli przeżyje, jeśli stanie się cud.

W świecie, który powstałby, gdybym miał dość siły, aby go stworzyć, pomiędzy występkiem a karą rozpościerałaby się ogromna szara strefa oczekiwania. To w niej rozkwitałyby uczucia moralne, ludzie mogliby tam upadać i podnosić się znowu. A wszystko powoli, bez świstu Bożego knuta nad uchem, knuta, który w naszym akurat świecie pewnie spoczywa w krzepkich rękach Nadzorców.

„W naszym akurat świecie...”, bo w innym mógłby spoczywać w krzepkich rękach należących do kogoś zupełnie innego. Nawet Biskup Jansen lubił świst Bożego knuta. Nie chciał tylko, by wykonawcą kary był jakiś Nadzorca. On sam chciał wymierzać Bożą Sprawiedliwość, najlepiej natychmiast.

Tylko Algie potrafił zrozumieć, a nawet wypowiedzieć to moje marzenie. „Dajcie czasowi czas”, mówił i zaraz dodawał: „Ale czas to władza, której w tym świecie nikt nikomu nie oddaje za darmo”.

Walka o władzę, której nie tylko w tym, ale w ogóle w żadnym świecie nikt nie oddaje za darmo, toczy się także w przedszkolach Danonii. Jest tak zażarta, jakby jej sprawowanie łączyło się jeszcze z możliwością dokonania jakiegoś wyboru.

„Pana syn to urodzony przywódca”, ostrzegła mnie już wcześniej Pani Przedszkolanka. Te słowa wypowiedziane w obecności jakiegoś Nadzorcy byłyby komplementem. Adresowane do mnie oznaczały wyrok na Loriego.

„Pójdzie w ślady Ojca”, brzmiała kolejna opinia. Te jej słowa również miały dwojakie znaczenie. W moim przypadku były ostrzeżeniem, Pani Przedszkolanka naprawdę chciała uchronić Loriego przed karą.

Tego dnia za sprawą Loriego na sali starszaków rozegrała się prawdziwa bitwa. „Kłękaj i módl się. Wyznaj wiarę w Boga i Doktrynę Wolności”, powiedział do mojego syna Poppi.

Skąd to wiem? Powtórzyła mi jego słowa obecna przy tej scenie Pani Przedszkolanka. Była dumna z zachowania Poppiego.

Poppi to pierworodny syn Cenzora Joffe. Gładko wygolona twarz jego ojca widnieje na plakatach reklamujących „Zsiadłą Gazetę”. Cenzor Joffe to narcyz, co najlepiej tłumaczy strategię promocyjną pisma, które cenzuruje. Na każdym billboardzie On, wymieniający uścisk z odwiedzającym Danonię Pierwszym Nadzorcą Jogobelli, całujący w rękę Prymasa Zreformowanego Kościoła Wzajemnego Ubogacania, z krzywym uśmiechem zaglądający pod spódniczkę słynnej gwiazdzie porno...

Poppi jest bardzo podobny do swojego ojca. Widziałem go podczas Dni Otwartych Przedszkola. Starszacy odgrywali scenki ilustrujące Przykazania i wybrane Dogmaty Doktryny Wolności. Poppiego Pani Przedszkolanka obsadziła w roli jednego z Ojców Założycieli Danonii.

„Ja nie wierzę w Boga”, odpowiedział Poppiemu Lorie, o czym skwapliwie doniosła Pani Przedszkolanka. „Ani w Doktrynę Wolności”, dodał, wyjątkowo świadomie jak na sześciolatka eskalując Błuznierstwo.

Wtedy Poppi i jego kumple zaczęli go tłuc na oczach innych dzieci i Pani Przedszkolanki. „Pozostawiamy takie rzeczy ich naturalnemu biegowi”. Nie musiała dodawać nic więcej, doskonale wiedziałem, dokąd zmierza naturalny bieg rzeczy. Tylko że tym razem spod ścian poderwały się niespodziewanie inne dzieci, żeby stanąć po stronie Loriego.

Wypadek zdarzył się jednak później, kiedy inne dzieci siedziały już zamknięte od zewnątrz w Pokoju Pokutnym. Uczyły się na pamięć Dziecięcego Wyznania Winy, które jest stylizowane na Ostatnie Słowo Zakładników. Na korytarzu pozostał tylko Poppi, jego paczka i Lorie.

Mój syn nie trafił wraz z innymi do Pokoju Pokutnego. „Uczymy dzieci, żeby takie sprawy załatwiały między sobą”, powiedziała Pani Przedszkolanka. „Niestety, okno na korytarzu było niedomknięte. Prawdopodobnie wspiął się na parapet i wypadł. Ach, co za tragedia!”

Sala starszaków mieści się na pierwszym piętrze, niewysoko i pewnie nic by się nie stało, gdyby nie to, że pod oknami znajduje się szklarnia. Dzięki niej nasze dzieci, urodzone w City, wiedzą, skąd biorą się jarzyny do ich surówek i pożywnych zupek. Poza Szklarnią widują jarzyny wyłącznie w postaci mrożonek.

Na przedmieściu City urządzono też prawdziwe gospodarstwo rolne. Nazwano je Farmą, dzieci mogą oglądać tam żywe kury, świnię i krowy. Często chodziłem tam z Lorie w Dni Wolne od Zajęć.

„Chodziłem”? Tfu! Muszę wypluć to słowo.

Po kilkunastominutowym Śledztwie (było blitzkriegiem, tak jak Wojna Prewencyjna) Dyrektor Przedszkola doszedł do wniosku, że mój sześciolatek próbował popełnić samobójstwo. „To się czasem zdarza”, powiedział, kiedy Loriego zabrano już do ambulansu,

„szczególnie dzieci Zakładników nie wytrzymują napięcia, jakie towarzyszy Procesowi Wychowania”.

Popatrzył na mnie z wyrzutem, a wtedy ja także, z jeszcze większym wyrzutem, popatrzyłem na siebie.

Poczucie winy narastało we mnie, kiedy jechałem z nieprzytomnym Lorie do Szpitala Miejskiego imienia Ojców Założycieli Danonii, a także później, kiedy biegłem za wózkiem z jego noszami, pchanym przez pielęgniarza w białym, świeżo upranym fartuchu.

Teraz jednak poczucie winy przestało narastać, wręcz przeciwnie, ustało całkowicie. Może to oznaczać tylko jedno, cofnąłem się do Niższego Poziomu Terapii.

Doktryna Wolności mówi przecież, że „Kara zdejmuje z ciebie brzemię Winy” (Dogmat XXVIII). Po to są Sędziowie i Procesy, a potem Cella Śmiechu albo Status Zakładnika. Skoro jednak zostałem ukarany w taki właśnie sposób, skoro spadła na mnie kara, której nie przewiduje żaden Kodeks, dlaczego nadal miałbym czuć się winny? Nie może tego ode mnie żądać żaden Bóg, ani tym bardziej funkcjonariusze Nadzoru.

„W sporze pomiędzy tobą a światem zawsze sekunduj światu”. Kto pierwszy wypowiedział te słowa? Biskup Jansen w jednej ze swoich „faz upokorzenia”? Czy może ktoś inny, kogo Biskup Jansen tylko cytował?

„...zawsze sekunduj światu”, a jeśli świat nadużył mego zaufania? Czy w takim wypadku znów zacznę go osądzać, tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy poczułem na sobie brzemię losu Zakładnika? Czy ożyję na sposób, o którym mówił Algje, czy moja Terapia będzie się musiała zacząć od nowa?

„Dopóki żyjemy, potrafimy znaleźć winnych każdej niedogodności naszego losu”. Zatem znowu żyję moim dawnym życiem, od którego tak bardzo chciałem się uwolnić.

Tym dawnym życiem żyłem tylko przez chwilę, bo zaraz przywołało mnie do porządku pełne wyrzutu spojrzenie Małgorzaty. Zawsze znajdzie się ktoś, wobec kogo musimy czuć się winni, ktoś, kto jeszcze nie ukarał nas tak, jak na to zasłużyliśmy.

Kiedy Małgorzata popatrzyła na mnie w ten zupełnie nowy sposób, wypowiedziała także kilka nowych słów.

Przez ostatnie lata przyzwyczałem się do jej milczącej obecności. Wymienialiśmy jakieś uwagi, robiąc razem zakupy, planowaliśmy drobne inwestycje, ustalaliśmy, kto odbierze Loriego z przedszkola. Ale o najważniejszym, o naszym wspólnym męczeństwie na pluszowym krzyżu, udawało nam się nie zamienić ze sobą ani słowa. Zachowywałem się tak, jakby ono było wyłącznie moje.

Z drugiej jednak strony, po co rozmawiać o tym, co nie zależy od nas. Takie tematy poruszają w rozmowach ze sobą tylko maniacy albo radykałowie. Ja przestałem być radykałem prawie sześć lat temu, zaraz po tym, jak poczułem na sobie brzemię losu Zakładnika.

Ale ten los sam sobie wybrałem. A Małgorzata po prostu miała pecha, schodząc się ze mną. Kiedy się spotkaliśmy, byłem zresztą kimś zupełnie innym.

Zupełnie? No może nie, ale wtedy przynajmniej potrafiłem ją do siebie przekonać. Teraz nawet nie próbuję. Musiałbym najpierw przekonać się do siebie sam.

Od dawna już ze sobą nie sypiamy, każda próba, bez względu na to, które z nas ją podejmuje, kończy się katastrofą. Tak samo było wczoraj, w dniu urodzin Loriego i moich. Tą katastrofą nie była awantura, tłuczenie talerzy, pakowanie bagaży. Było nią nasze późniejsze milczenie.

Teraz jednak Małgorzata ma dosyć milczenia. „Zostawiam cię”, mówi, „kiedy Lorie wyzdrowieje (ona także ma nadzieję na cud), wystąpię o rozwód. Powinam była to zrobić już dawno, na samym początku, kiedy tylko zorientowałam się, kim naprawdę jesteś”. I dodaje: „To nie ja od ciebie odchodzę, to ty już dawno mnie zostawiłeś. Może zresztą nigdy nie byłeś ze mną naprawdę”.

Ma rację, to ja od niej odszedłem, może zresztą nigdy z nią naprawdę nie byłem. Nawet nie wiem, jak dawno temu księżęta moich zmysłów wybrali dumne wygnanie. Przez ostatnie sześć lat pozostawałem sam na sam ze swoim męczeństwem na pluszowym krzyżu. Przestałem zauważać, że milczenie Małgorzaty ciągle mi towarzyszy.

W światach takich jak nasz władza staje się nerwowym tikiem. Uciekanie przed nią, podleganie jej, dążenie do niej, a nawet samo jej sprawowanie nie wiąże się już przecież z żadnym wyborem. Takim samym nerwowym tikiem staje się wolność. Czy pocierając machinalnie brew albo zagryzając wargę, pragniemy zrealizować jeszcze jakąś utopię, czy mamy jakieś wielkie plany? Oczywiście, że nie, a mimo to nie potrafimy opanować tego odruchu.

Małgorzata postanowiła się opanować. Tym bardziej że to ja pocierałem brew, zagryzałem wargę, podczas gdy ona musiała naśladować te gesty.

Rozwód z Zakładnikiem będzie dla niej wyzwoleniem. Nawet jeśli nie od razu poczuje się wolna, to przynajmniej status jej i Loriego ulegnie trwałej odmianie. Doktryna Wolności jasno definiuje takie przypadki: „Odpowiedzialność nigdy nie jest zbiorowa. W następstwie rozwodu z Zakładnikiem członek jego rodziny traci Status Zakładnika, chyba że on sam także przedstawiał sobie i innym Doktrynę Wolności jako możliwe źródło zniewolenia” (Dogmat LXXI).

Opowieść Algernona Pratta

Od wypadku minęło już sześć dni i sześć nocy, a Lorie nadal pogrążony jest we śnie. Ja jednak w przeciwieństwie do zajmujących się nim lekarzy wierzę w to, że kiedyś się obudzi. I

nie chcę, żeby pierwszą osobą, jaką wtedy zobaczy, był mój Nadzorca. On przychodzi tu często. Składa nam wyrazy ubolewania, po czym długo i uważnie mi się przypatruje. Jakby już przeczuwał, że cofnąłem się do Niższego Poziomu Terapii.

Przyszedł także dzisiaj, żeby mi powiedzieć, że tego wieczoru powinienem „zrobić sobie przerwę i popatrzeć w tele”. I dodał: „Dzisiejsze »The best of« będzie dla was obojga miłą niespodzianką”.

Żeby „popatrzeć w tele”, wystarczyło przejść kilka kroków korytarzem i zajrzeć do szpitalnej świetlicy. Była o tej porze pełna pacjentów i opiekujących się nimi lekarzy. Rozpocząła się właśnie wieczorna emisja „The best of”.

Całe sześć lat czekałem na upadek Algiego. Lecz kiedy wreszcie nastąpił, okazał się rekordowo szybki. Mój dawny nauczyciel zachowywał się tak wulgarnie, był taki nieprzyjemny dla siebie i dla milionów oglądających go Danonów, że stacje Warner Bros, mające prawa do pierwszej emisji, a także powtarzające program następnego dnia stacje Virgin zdecydowały się wyemitować raptem trzy wydania z jego gwiazdorskim udziałem. Potem sprawa Algernona została zamknięta na zawsze.

Małgorzata i ja nadal czuwaliśmy przy łóżku naszego syna. Opuściliśmy szpital wyłącznie po to, aby dopełnić kilku prostych formalności związanych z Aktem Wyzwolenia. Nie byliśmy już bowiem Zakładnikami. Nic to jednak w naszym życiu nie zmieniło, wraz z Lorie trwaliśmy w głębokim letargu.

* * *

Z tego stanu wyrwała mnie dopiero pewna niespodziewana wizyta. Nie zmieniła mojego życia, zmieniła natomiast wszystko, co wcześniej na jego temat wiedziałem.

Była siódma rano, minęło dokładnie siedem dni i siedem nocy od „The best of” z celi Algernona. „Siódma rano”, „siedem dni i nocy”, jakby od upadku Algiego przestała na mnie ciążyć klątwa jego szóstek.

Tego ranka byłem sam przy łóżku Loriego. Małgorzata poszła do domu, żeby mi przynieść ubrania na zmianę. Kiedy usłyszałem za sobą skrzypienie drzwi, pomyślałem, że to lekarz dyżurny chce sprawdzić stan chorego. Zaniepokojony zerknąłem nawet na ekran stojący przy łóżku Loriego, ale nic się nie zmieniło. Ten sam równy wykres.

Nie spojrziałem za siebie, od dawna nie lubiłem ludzi, a teraz ta niechęć pogłębiła się jeszcze bardziej. W mojej głowie, tak jak przed sześciu laty, rozbrzmiewały monologi na temat „skotłowanych Danonów”. Nie musiałem wypełniać Testu, żeby wiedzieć, że znowu znalazłem się na Niższym Poziomie Terapii, może nawet na Najniższym.

Zaskoczony, że lekarz nie podchodzi, odwróciłem się i zobaczyłem stojącego za mną wysokiego mężczyznę koło czterdziestki. Jego regularną czaszkę zdobiła bujna blond

czupryna. Był ubrany w biały strój pielęgniarza i dopiero kiedy zaczął wykonywać porozumiewawcze gesty, rozpoznałem Algiego.

Podniosłem się bezwolnie z krzesła i prowadzony jego niemymi gestami podążyłem za nim. Wyszliśmy na korytarz, minęliśmy szpitalną Kantynę, gabinet dyżurnej pielęgniarki, potem przez ruchome drzwi Oddziału Intensywnej Terapii wydostaliśmy się na klatkę schodową.

Algernon nadal nic do mnie nie mówił. Podporządkowałem się jego gestom, „skreć w prawo”, „skreć w lewo”, „zatrzymaj się”, „biegnij szybko przez pole ostrzału”... Nauczył nas tego języka na samym początku krótkiej epoki indywidualnego terroru. Ale teraz nie biegliśmy przez pole ostrzału, przyspieszaliśmy tylko kroku, przechodząc koło okienka portierni.

Ostatni zakręt, potem jeszcze jedno przejście i znaleźliśmy się w pomieszczeniu z brudną bielizną. Byliśmy na najniższym poziomie piwnic. Z tej głębokości nawet skanery wszechwiedzących satelitów Wytwórni mogły dostarczyć tylko bardzo niedokładny obraz i dźwięk.

Dopiero tutaj Algie odezwał się do mnie.

Każda szanująca się władza, szczególnie taka, która chce przetrwać dłużej niż przez jedną czy drugą kadencję, zarządza nie tylko sobą, ale także oporem przeciwko sobie. Sama produkuje swoich przeciwników, choćby po to, żeby później mieć na nich oko.

Mnie także wyprodukowano w retortach Nadzoru po to, żebym później jako Tajny Współpracownik Nadzoru Algernon Pratt wyprodukował ciebie.

...Pamiętasz nasze granaty, te, które nie wybuchły? Magnetyczne przysawki, uranowe rdzenie? Były puste, nigdy nic nie miały w środku. Dał mi je przed zamachem mój Nadzorca Prowadzący. „Rzucisz i nic się nie stanie, nic tam w środku nie ma...” Nie wiedziałem, że Trocek wyskoczy jak idiota prosto pod inteligentne kule ochroniarzy. „Wyskoczy jak idiota...?”, przecież był idiotą.

Słuchałem tych słów, ale ich nie słyszałem. Robiłem wszystko, żeby ich sens do mnie nie dotarł. Skupiłem się na odkrywaniu w tym przystojnym nieznanym mężczyźnie znanych mi tików Algiego.

Za długo nosił garb, w który wyposażyli go Nadzorcy. Za długo ten kostium uprawomocniał jego słowa na temat „krzywizny”. Za często odgarniał z czoła samotny kosmyk ozdabiający prawie łysą czaszkę.

Mimo przywracającej mu pierwotny wygląd interwencji chirurgów plastycznych, po której stał się wyprostowanym, muskularnym czterdziestolatkiem, metr dziewięćdziesiąt, prawie jak Biskup Jansen, nie mógł się ciągle pozbyć tamtych swoich odruchów. Odchrząkiwanie, krztuszenie się, zadyszka, wszystko to mu zostało, choć teraz w jego pięknie sklepionym torsie było dosyć miejsca na głęboki oddech.

Obserwowałem cię mojego Algiego błakający się w tikach i natręctwach, które nadal trzymały się wysportowanego ciała Tajnego Współpracownika Nadzoru Algernona Pratta.

Agentem Nadzoru zostałem jeszcze w gimnazjum, po tym jak przydarzyło mi się to czy owo z Listy Rzeczy Niemoralnych. Miałem talent, więc powierzano mi coraz trudniejsze misje, aż w końcu zdecydowano się powierzyć tę najtrudniejszą. Moim zadaniem było przejęcie uczniów Biskupa Jansena. Sam wiesz, jak dobrze mi się to udało. Kłopoty zaczęły się później, tym razem ja byłem ich przyczyna...

Nadzorczy bardzo szybko doszli do wniosku, że trzeba zrównoważyć „społeczne oddziaływanie purytańskiej nauki Biskupa Jansena”, tej o „oporze, który jest oparciem”. „Jego nauka rozwija się zdecydowanie za szybko, ma zbyt wielu uczniów. Zorganizujesz publiczną debatę i powiesz im, że oparciem może być tylko Życie”. Taką instrukcję przekazał mi Nadzorca Prowadzący. „Mówiąc im, że Życie może się stać oparciem przeciwko Doktrynie Wolności, wprowadzisz ich w błąd, bo przecież to właśnie Ona jest czystym, skodyfikowanym Życiem. I niczym więcej, dbamy przecież o to, żeby nie dostały się do Niej żadne ideologiczne zanieczyszczenia”.

Mój Nadzorca Prowadzący bardzo się pomylił...

Algie zachichotał jak kiedyś. Jego regularne rysy wykrzywił dobrze znany mi grymas.

...Życie okazało się doskonałym oparciem przeciwko Doktrynie Wolności. Co z tego, że ona nie zawiera ideologicznych zanieczyszczeń, że jest czysta jak destylowana woda, można ją rozkładać i składać bez końca, wystarczy tylko znać proporcję wodoru i tlenu.

Problem w tym, że ideologiczne zanieczyszczenia zawiera Życie...

Życie jest jak woda z górskiego strumienia, pełne domieszek, których dokładnej listy Nadzorcy nie są nawet w stanie zestawić... „Woda z górskiego strumienia”? To purytański język Biskupa Jansena. Ja, Algie, „chodząca ulicami City ewangelia subwersji” – tak mnie przecież nazwałeś w swoim Dzienniczku Terapii – powinienem używać zupełnie innych słów. Zatem proszę bardzo. Życie jest jak wielkowiejski ściek, pełen brudów, śmierdzący. A i tak, pochylając się nad nim, możesz ugasić pragnienie, wszystkie twoje pragnienia, nawet te, których istnienia u siebie nie podejrzewałeś...

Pijąc destylowaną wodę Doktryny Wolności, ani przez chwilę nie miałeś wrażenia, że gasisz pragnienie. Nie miałeś? Nie masz i nigdy nie będziesz go miał, ten cholerny destylat pozostanie twoim napojem do końca twych dni.

Życie w przeciwieństwie do Doktryny Wolności nie znosi czystości. Ani symetrii, zawsze znajdziesz w nim ten przechył, w prawo albo w lewo, do przodu albo w tył. Kiedy cię przekonałem, żebyś narysował „bohatera o jednym skrzydle”, sam już to wiedziałem. Życie pokonało we mnie Doktrynę Wolności, a ja zapragnąłem, żeby pokonało ją także w was, moich uczniach.

Tylko że wcale nie chciałem, żeby Nadzorcy od razu się w tym połapali. Tak się jednak stało. „Bohater o jednym skrzydle” był zbyt subwersywny.

Algie robił to samo co kiedyś. Wtedy wbijał w pychę uczniów Biskupa Jansena, żeby przejąć nad nimi kontrolę. Teraz powtarzał ten manewr na mnie, choć nie było mu to do niczego potrzebne. Po prostu nie mógł się odzwycząić.

Zrozumieli to zaraz, jak tylko zobaczyli pierwsze szablony „bohatera...” na murach campusu. Pozostawione tam przez ciebie i przez siostrę Sue. Jej także „bohater...” spodobał się od pierwszego wejrzenia. Pomagała ci go malować nawet po tym, jak nie zgodziłeś się zaprojektować „bohaterki o jednym skrzydle”. Pamiętam, jak mówiłeś, że „on przecież w ogóle nie ma płci”.

„Dlaczego pozwoliłeś temu szczeniakowi stworzyć Dzieło Sztuki?”, wrzeszczał na mnie mój Nadzorca Prowadzący. „Opór przeciwko Doktrynie Wolności musi być jałowy”. I wtedy znowu mnie złamali. Jak zawsze, kiedy było im to do czegoś potrzebne. Technologiczna różnica pomiędzy rządzącymi i rządzonymi jest dzisiaj zbyt wielka.

„Purytanizm Biskupa Jansena”? On także nie był jego pomysłem. Tak samo jak ja był Tajnym Współpracownikiem Nadzoru. Tyle tylko, że on zbuntował się pierwszy. „Purytańska doktryna” stworzona na potrzeby jego misji zdemoralizowała go tak samo szybko, jak mnie wymyślony przez Nadzorców „język subwersji”. Kiedy zbuntował się Jansen, wysłano mnie w zasadzie tylko po to, żebym zlikwidował konsekwencje tego nieprzewidzianego buntu. Nadzorcy myśleli, że nadal wszystko kontrolują, że wysyłając mnie, dokonają korekty swoich własnych planów.

„Może łatwiej byłoby po prostu go zlikwidować, najlepiej razem z uczniami?”, spytałem, „było nas wtedy zaledwie czterdziestu i czterech.”

Me istniała jeszcze Doktryna Wojny Prewencyjnej. Nadzorcy naprawdę wierzyli wtedy w Siłę Argumentów.

Byli naiwni, zdemoralizowały ich całe dekady zwycięstw w Publicznych Debatach. Zbyt łatwo radzili sobie z fanatycznymi zwolennikami nieskalanej przeszłości i świetlanej przyszłości. Myśleli, że Siła Argumentów może służyć wyłącznie Doktrynie, tak samo jak Dzieło Sztuki i Wolny Wybór Jednostki, jeśli tylko Jednostka dokonuje go w Dobrej Wierze.

Wiem o tym wszystkim, bo przecież ja także byłem produktem ówczesnej naiwności Nadzorców.

Dopiero sukcesy naszej samoograniczającej się rewolucji sprawiły, że trzeba było stworzyć Doktrynę Wojny Prewencyjnej.

„Przecież nie chcemy powrotu do Epoki Wielkich Niepokojów!”

Algie, tak samo jak przed sześciu laty, parodiował apel, który wypełniał telewizyjne ekrany i szpalty gazet w pierwszych minutach Wojny Prewencyjnej. A kiedy Wojna Prewencyjna okazała się blitzkriegiem, powtarzano go bez końca przez całe cztery tygodnie epoki indywidualnego terroru. Teraz jednak brzmiało to w moich uszach trochę inaczej niż wtedy. Wiedziałem już, że był częścią tego, co tak zabawnie przed nami parodiował.

Po raz pierwszy bez waszej asysty spotkałem się z Biskupem Jansenem dopiero na parę miesięcy przed rozpoczęciem samoograniczającej się rewolucji. W tym spotkaniu brali udział także obaj nasi Nadzorcy Prowadzący, którzy mieli za zadanie kontrolować całą tę samoznającą się akcję. Wszystko było pozornie w porządku, purytanizm Biskupa Jansena i mój witalizm rozwijały się w najlepsze... Właśnie, w tym rzecz, zamiast znosić się wzajemnie, blokować, one nadal się rozwijały, zamiast wykradać sobie wzajemnie uczniów z tej samej niszy zamieszkaanej przez garstkę radykałów, gromadziły coraz większe rzesze młodych, naiwnych Danonów.

Nasi Nadzorcy Prowadzący byli zaniepokojeni. My także byliśmy zaniepokojeni. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później nasz prawdziwy stosunek do powierzonej nam misji zostanie odkryty.

Wzywano nas coraz częściej, poznaliśmy chyba wszystkie kontaktowe mieszkania, jakimi Nadzór dysponował w City. Pewnego razu na spotkaniu pojawił się sam Bezpośredni Przełożony naszych opiekunów. Zaczął na nas krzyczeć. Przypominał nam o hakach, jakie na nas mają. Tym razem nawet o tych, o których nikt nigdy wcześniej nam nie przypominał.

Zwykle trzymaliśmy głowy spuszczone, wstydziliśmy się nawet spojrzeć na siebie. Zwyczajowe upokarzanie Tajnych Współpracowników, to właśnie dlatego tak często wobec was oddawaliśmy się później pokusie dominacji. Ale tamtego dnia, kiedy prowadzący odprawę Przełożony wymieniał nasze najbardziej ukryte grzechy, jakby był jakimś Bogiem i miał wgląd do Księgi Żywota, podnieśliśmy wzrok i ukradkiem popatrzyliśmy na siebie. Wcześniej żaden z nas nie domyślał się nawet, że także ten drugi prowadzi z Nadzorem swoją skazaną na niepowodzenie grę. Dopiero kiedy tak na siebie spojrzeliśmy (Bezpośredni Przełożony wciąż wylewał na nasze głowy wiadra pomyj), obaj nabraliśmy do siebie zaufania. Zrozumieliśmy, że nikt nie może nas już bardziej skompromitować.

Oczywiście myliliśmy się, zawsze się mylimy, różnica technologiczna pomiędzy rządzącymi i rządzonymi jest dzisiaj zbyt wielka.

Wtedy jednak znowu się zbuntowaliśmy, a potem ponownie zostaliśmy złamani. Biografie Tajnych Współpracowników Nadzoru nie przypominają rutynowego urzędniczego sprawozdania. To ciągle ponawiane bunty, próby odmowy współpracy i znów kolejne zdrady wobec siebie i innych. Usiłujemy udawać, że kogoś osłaniamy, ale to tylko próby oszukiwania się. Każdy TWN przeżywa dziesiątki rewolucji, kiedy patrząc na konsekwencje swojej pracy, decyduje się z nią zerwać, powiedzieć wreszcie głośne „nie”. I każda z tych rewolucji kończy się klęską. Nasze życiorysy odznaczają się fabularnym napięciem, przy którym wysiada Stephanus Stilenacht ze swoją „Sagą o Action Manie”.

Pewnego dnia Nadzorcy przerażeni już nie na żarty tym, że tracą kontrolę, kazali Biskupowi Jansenowi stworzyć tę jego idiotyczną prywatną milicję, Małych Krzyżowców.

„Operetkowe mundury... i żeby w tym była wyraźna aluzja do habitu”. „A do tego jak najwięcej idiotycznej musztry”. Ja w tym samym czasie miałem jeszcze bardziej podkreślać anarchiczne elementy standardu.

Skoro sami nie potrafiliśmy doprowadzić do tego, żeby nasi uczniowie pożarli się między sobą, Nadzorcy postanowili nam w tym dopomóc. Z jednej strony maszerujący faszyci w operetkowych parareligijnych mundurach, z drugiej obdarci anarchiści kradnący Wytwórniom ich muzykę i filmy. Samoograniczająca się rewolucja miała się skończyć erupcją samoograniczającej się głupoty, chuligańskimi zamieszkami pomiędzy zbyt radykalnymi fanami produkcji Braci Warnerów i Virgin.

Tak się jednak nie stało, a zresztą sam wiesz...

Nawet Jansen nauczył się już wtedy ironizować na swój własny temat. Wiedziony instynktem pozbył się swego naturalnego patosu. Pierwszy pokaz musztry Małych Krzyżowców zorganizował w wynajętym na tę okazję cyrku. Zanim Nadzorcy zdążyli cokolwiek zrozumieć, już nawet jego uczniowie ironizowali na własny temat. Otwarcie i na głos śmiali się ze swoich idiotycznych habitów ozdobionych wielkimi miedzianymi guzikami i ze swojej kretyńskiej musztry. Ich pochody były jedną ucieszną parodią. Żeby ją oglądać i bawić się razem z nimi, schodziła się cała młodzież robotniczej dzielnicy City. Biuro werbunkowe Małych Krzyżowców pękało wtedy w szwach. Młodzi niezatrudnieni oczywiście nie wierzyli w szybką poprawę swego losu, ale znaleźli przynajmniej sposób na zabicie codziennej nudy.

Chyba tylko mały, tłusty Angelus nic z tego nie rozumiał. Może właśnie dlatego wydał później Biskupa Jansena w ręce Straży Miejskiej, zaraz w pierwszych minutach Wojny Prewencyjnej.

Zagraliśmy w tę grę do samego końca. Wypełniliśmy wszystkie polecenia Nadzoru, co do joty zrealizowaliśmy subtelne strategie, które rodziły się podczas kryzysowych posiedzeń Synodu Danonii. Razem z naszymi Nadzorcami Prowadzącymi zastanawialiśmy się, dlaczego żaden z tych pomysłów nie skutkuje, a samoograniczająca się rewolucja rozwija się w najlepsze. Pokornie wysłuchiwalismy wszystkich ostrzeżeń i gróźb. Podczas tych spotkań w kontaktowych mieszkaniach zachowywaliśmy się jak kompletni debile, „ubodzy duchem”, zgodnie z purytańską terminologią Biskupa Jansena.

Oczywiście Nadzorcy w końcu się zorientowali, może nawet wiedzieli wszystko od samego początku. Obserwowali nas przecież przez cały czas i znali nas lepiej niż my sami. Nawet wtedy, nawet w naszym przypadku, różnica technologiczna pomiędzy rządzącymi i rządzonymi była już zbyt wielka.

A jednak udało nam się wcisnąć ziarenko buntu między chodnikowe płyty Doktryny Wolności. Albo przynajmniej tak się nam wydawało, chociaż nie...

Widzę, jak Algie się waha. „Co to jest prawda?”, no tak, prawie zapomniałem, że także to pytanie było częścią powierzonej mu misji. Teraz jednak zachowuje się tak, jakby sam już nie był pewny, co w jego życiu było prawdą, a co fałszem.

...nie mogli wiedzieć wszystkiego, przynajmniej nie przez cały czas. Gdyby naprawdę wiedzieli, nie musieliby przecież rozpoczynać Wojny Prewencyjnej. Pomimo tego, że była blitzkriegiem, wiele jednak popsuła. Po niej przezroczysta władza nigdy już nie była tak przezroczysta jak przedtem.

A ponieważ znowu trzeba było coś z tym zrobić, wymyślili terror indywidualny. Ja miałem być wyłącznym wykonawcą, bo Biskup Jansen po publicznym wydaniu go przez Angelusa trafił już do Celi Śmiechu.

Terror indywidualny miał skompromitować samoograniczającą się rewolucję do reszty, zasklepić w pamięci Danonów rany pozostawione przez Wojnę Prewencyjną.

Jeszcze raz spróbowałem buntu, ale Nadzorca Prowadzący przypomniał mi kolejne, zapomniane już szczegóły z mojej Prywatności. Posłusznie odebrałem więc od niego granaty. Cały czas wiedziałem, że są tylko atrapami.

Poza tym Biskup Jansen, Juda Odstępca... wszyscy oni trafili już wtedy do Celi Śmiechu. Czekałem na kolejne wydania ich „The best of” z taką samą niecierpliwością jak wszyscy. Chociaż przed wami udawałem, że jestem jedynym, którego one w ogóle nie interesują.

Czytając, co wypisuje na ścianach swojej celi Juda Odstępca, wiedziałem, dlaczego to robi, i nie chciałem pójść w jego ślady. Albo przynajmniej nie tak szybko, nawet krótkie odroczenie Kary wydawało mi się wiele warte.

Ale ty przecież w ogóle nie wiesz, czym jest Cella Śmiechu, nie masz nawet pojęcia. Choć pewnie sformułowałeś parę hipotez, które jeżyły ci włosy na głowie przez te kilka lat...

Algie znowu popatrzył na mnie tak jak dawniej, kiedy byłem jeszcze jego uczniem, a on odslaniał przede mną kolejną ze „skrywanych prawd”.

Skrywana prawda o Celi Śmiechu...

Algernon pastiszował teraz samego siebie, a ja zaczynałem pojmować, jakim było to dla niego odpoczynkiem, móc to robić po tylu latach nieprzerwanego obowiązku pastiszowania Doktryny Wolności.

...wygląda następująco. To nie wy, Zakładnicy, oglądacie naszą Prywatność, Prywatność Osadzonych. To my oglądamy każdego wieczoru „The best of” z Prywatności każdego ze swoich dawnych uczniów. Właśnie dlatego nasz Upadek zawsze następuje nocą. Czy potrafisz sobie wyobrazić „The best of” z pierwszego lepszego dnia twojej Prywatności, przyrządzone dla mnie przez cały sztab profesjonalnych montażystów Nadzoru?

W jednej chwili przemknął mi przed oczami obraz mnie samego, jak złorzeczę Algiemu w męskiej ubikacji Szpitala Miejskiego imienia Ojców Założycieli Danonii, a w progu tłoczyły się już inne sceny, były ich dziesiątki, znanych tylko mnie, no i także jemu oraz profesjonalnym montażystom Nadzoru...

Siedząc w Celi Śmiechu, patrzyłem, z jaką radością przyznajecie się do winy podczas Procesu. Słuchaliście moich wskazówek, które w gruncie rzeczy były wskazówkami Nadzorców. Nie wiedzieliście jeszcze, w co się pakujecie i jak będzie wyglądało wasze codzienne życie. Byliście tacy młodzi, tacy głupi...

Próbowaliście skorzystać z mojej ostatniej rady: „Przyznając się do zarzucanych wam win, uważajcie, żeby nie poczuć się winnymi”. Była naprawdę moja, tyle że popełniłem błąd, rację mieli Nadzorcy, człowiek jest zwierzęciem społecznym, a wy pomimo wszystkich usiłowań z ich strony staraliście się pozostać ludźmi.

Zatem musieliście także prędzej czy później przyjąć na siebie winę, do której wcześniej przyznaliście się z taką młodzieńczą przebiegłością.

Sprawiliście mi wszyscy wielką niespodziankę. Świetnie się trzymaliście jako Zakładnicy, a dzięki wam także ja się trzymałem przez całe sześć lat. Dużo gorzej musieli się zachowywać uczniowie Biskupa Jansena, chociaż i on wytrzymał konfrontację z ich Prywatnością przez czterdzieści dni.

Mnie złamał dopiero wypadek Loriego.

Pokazano mi wieczorem całą scenę, nawet bez montażu. Patrzyłem, jak dzieci Nadzorców wlokły go w stronę szeroko otwartego okna, które wcześniej wskazała im Pani Przedszkolanka. Widziałem też, jak złorzeczyłeś mi tamtej nocy. I wysłuchałem wszystkich obelg Małgorzaty. Nawet tych, które tobie zostały oszczędzone. Nie były tak bezsilne, jak sobie to wyobrażała. Specjalnie dla mnie zarejestrowały je kamery Nadzoru zainstalowane w kobiecej toalecie Szpitala Miejskiego imienia Ojców Założycieli Danonii.

Wtedy pojąłem, że nie miałem racji, opierając się tak długo. Przez cały ten czas zachowywałem się tak, jakbym uwierzył w sentencję ułożoną przez Nadzór dla Biskupa Jansena, wiesz którą, „opór jest oparciem”.

Twoja prywatność mnie złamała, męczeństwo na pluszowym krzyżu mojego najzdolniejszego ucznia, tego, który sportretował mnie jako „bohatera o jednym skrzydle”. To przecież dzięki tobie Algernon Pratt został uwieczniony na zawsze. Nie ten, z którym teraz rozmawiasz, ale prawdziwy Algie, przekorny garbus, jakim na sześć lat uczynili mnie chirurdzy plastyczni Nadzoru.

Danoni zapomną o mnie, Nadzorcy ukryją moją prawdziwą postać w Teczkach Nadzoru, ale „bohater o jednym skrzydle” pozostanie żywy na wieki. Jak wypowiedziane przez kogoś przekleństwo, jak czerwony pentagram albo połamany krzyż.

Odpowiedź dana Hiobowi

„Po co to wszystko Algie?”, zapytałem. „Po co stawialiśmy opór sile, która zawsze okazuje się potężniejsza od nas? Czemu walczyliśmy z samą Zasadą Rzeczywistości?”

„Odpowiedź dana Hiobowi”, odpowiedział krótko, w swoim dawnym stylu, po czym zacytował Pismo.

Nic dziwnego, w końcu znajomość Pisma należała do podstawowego wyposażenia każdego Tajnego Współpracownika Nadzoru. A już szczególnie takiego, którego zadaniem było przejście uczniów Biskupa Jansena. Każdy z nas był przecież nafaszerowany cytatami z Pisma.

„...Oto hipopotam, którego stworzyłem jak i ciebie, żywi się trawą jak wół. Lecz patrz, jaka siła w jego biodrach i jaka moc w mięśniach jego cielska! Swój ogon wypręża jak cedr, ścięgną ud jego są mocno splecione, jego kości niby rury miedziane, jego członki jak dragi żelazne. Jest on najprzedniejszym z dzieł Bożych... A krokodyl, czy krokodyla zdołasz złapać na wędkę albo powrozem skrepować jego język? Czy przewleciesz kolce przez jego nozdrza albo hakiem przebijesz jego szczęki? Czy zwróci się do ciebie z żarliwymi prośbami, przemówi do ciebie słodkimi słowami? Czy zawrze z tobą przymierze, abyś go przyjął na zawsze jako sługę? Czy możesz z nim poigrać jak z ptaszkiem i uwiązać go jako zabawkę dla swych córek? Czy handluje nim cech rybacki i rozdzielają go między kupców? Czy możesz grotami podziurawić jego skórę albo jego głowę przebić harpunem rybackim? Jeżeli kiedy położysz na niego swoją rękę, pamiętaj o walce, już nigdy nie będziesz jej wszczywał...”

„Nie rozumiem, Algie”, powiedziałem, „nadal nie rozumiem”. Właściwie to rozumiiałem, uczyłem się przecież rozumieć go przez całe sześć lat. Chciałem po prostu jeszcze ten jeden raz, jak kiedyś, posłuchać jego komentarza.

Chcesz wiedzieć po co? Popatrz na Biskupa Jansena i na mnie, przyjrzyj się samemu sobie. Czy Nadzorcy kiedykolwiek zapomną o walce, jaką musieli z nami stoczyć?

Uwiecznieni w Teczках Nadzoru tworzymy razem grupę zwierząt niezrównanie dziwacznych. Już dawno pochłonęliśmy wszystkie cuda i wszystkie koszmary Stworzenia, teraz nosimy je we własnym wnętrzu.

Zatem dopóki wśród nas pojawiają się monstrialne istoty, których istnienie nie zostało przewidziane przez mechaniczną aksjomatykę Doktryny Wolności, nasz gatunek ciągle wzbudza zainteresowanie Stwórcy.

Jeśli jednak chodzi o mnie, to nie wiem, czy będąc tym, kim byłem, Algiem, twoim Nauczycielem, a zarazem Tajnym Współpracownikiem Nadzoru Algernonem Pratterem, opóźniłem Apokalipsę, czy ją przyspieszyłem...

Kiedy człowiek przestaje być tego pewien? Kiedy widzi swoich uczniów prowadzonych w kajdankach pod kamery, w oślepiające błyski fleszy paparazzich. Kiedy poznaje cenę Bożego entertainmentu, którą płaci on sam, ale jeszcze częściej płacą za niego inni.

Niekończące się spotkania z moimi Nadzorcami. Ich tępota w porównaniu z inteligencją języków, których używali, żeby manipulować wami. Przez co wy stawaliście się mądrzejsi od nich.

To samo odkrył Biskup Jansen. Kiedy spotkaliśmy się kiedyś bez udziału Nadzorców, powiedział do mnie: „Moi uczniowie pomimo całej purytańskiej paranoi, jaką im zaszczyliłem, stali się mądrzejsi od Nadzorców, którzy ją dla nich wymyślili. Prawda to zabawka, którą można poparzyć sobie ręce. Opór w końcu naprawdę staje się oparciem”.

Biskup Jansen miał rację, byliście mądrzejsi od Nadzorców. Ale nie dosyć mądrzy, żeby ograniczyć ich władzę. Różnica technologiczna pomiędzy rządzącymi i rządzonymi jest dzisiaj zbyt wielka.

Program Ochrony Byłych Osadzonych powinien tak naprawdę nazywać się programem ochrony przed nimi. To oni nie powinni już nigdy spotkać się z żadnym ze swych dawnych uczniów.

Algie zaryzykował jednak kontakt ze mną. Użył swoich starych sztuczek. Zmieniał po drodze twarze, odciski palców, ślad DNA, słuchał nie tej sekwencji muzycznej co zwykle i odtwarzał na przenośnym DVD filmy, na które normalnie nie potrafiłby nawet spojrzeć bez mdłości.

Jego ostatnie słowa, zanim go pożegnałem na zawsze? „Nie martw się, w zamian za twoją wolność sprzedałem im tylko imiona. Moje, bez żadnej wartości, i równie dzisiaj bezwartościowe imię naszego Ruchu. To była dobra transakcja, powinienem był sfinalizować ją wcześniej, zanim dorwali Loriego”.

* * *

Lorie nie żyje. Został ukarany za mnie. Ja zostałem ukarany za siebie, Małgorzata została ukarana za mnie. Cała litania krzyżowych wyroków, jakby Sąd Najwyższy obradował w permanencji. Czasem się myli, ale zawsze tylko w jedną stronę. Ukarze niewinnego, ale przynajmniej winny nie uniknie Kary.

W dodatku Kara zawsze przychodzi za szybko, zanim jeszcze zdołasz pojąć swoją Winę. Czasami zostajesz ukarany, zanim popełnisz Występek. Prewencja jest kluczowym pojęciem naszej epoki.

O co zapytał Lorie, kiedy odprowadzałem go tamtego dnia do przedszkola? Jak brzmiało jego Ostatnie Słowo? „Tato, dlaczego jesteś Zakładnikiem? Dlaczego nie urodziłem się w domu Nadzorcy?”

Nie wiem, czy kiedykolwiek będę umiał odpowiedzieć na jego pytanie. Potrafiłbym usprawiedliwić się przed nim ze swojej pychy, ale jakie znaleźć usprawiedliwienie dla własnej nadziei?

Nie chciałem, żeby mój syn przejął ode mnie pałeczkę w sztafecie porażki. Gdybym mógł cofnąć czas, nie zostałbym uczniem Biskupa Jansena. Do trzydziestego roku życia konsumowałbym psychospołeczne produkty Braci Warnerów, przeorientowując następnie z wolna swój gust ku konserwatywnej ofercie producentów Virgin. Razem ze mną powoli zmieniałaby gust Małgorzata. W jej garderobie zamiast ekologicznych syntetyków zawisłyby eleganckie futra z klonowanych fok. W naszym garażu rodzinna limuzyna z napędem na wszystkie sześć kół zastąpiłaby ekologiczne górskie rowery z wytapianych na orbicie superlekkich stopów.

Lorie nie przyszedłby na świat jako syn Zakładnika. Zarejestrowano by go w przedszkolu jako potomka dwóch pokoleń Nadzorców. Wierzylibyśmy wszyscy troje w Boga, bylibyśmy niezrównani w Praktykowaniu Osobistych Cnót. Cieszyłaby nas Wolność gwarantowana nam przez Doktrynę.

Ale czas płynie tylko w jedną stronę i nie pozwala się cofnąć, aby zacząć wszystko od nowa. To on z każdą chwilą czyni mnie ponownie tym, kim naprawdę byłem. Człowiekiem, który stworzył graficzny symbol Ruchu.

ZMARNOWANY CZAKRAM

Prawik potknął się o własną sutannę i wyłożył jak długi na kostkach stylizowanego bruku. Szybko jednak wstał, otrzepał się z kurzu i podążył dalej ulicą Goplańską w stronę Wedelskiego Wzgórza. Przez zamęt, jaki panował teraz w jego głowie, przebiła się myśl: „Potknąłeś się o swoje życie, a teraz z każdym kolejnym krokiem oddalasz się od przeszkody”. Problem w tym, że takiej przeszkody nie można było ominąć.

Miasto dusił czerwcowy upał, podczas kiedy tam, wysoko na wzgórzu, w odwiecznym chłodzie kamiennego mauzoleum, spoczywali dawni monarchowie Süssenlandu. Cukierkowo umiało ofiarować ostateczny spokój przynajmniej swoim Ojcom Założycielom. Ale nawet oni mogli liczyć na ten spokój dopiero po śmierci, kiedy nie był im już potrzebny tak bardzo jak wtedy, kiedy jeszcze żyli.

* * *

„Władza zawsze wymyka się kontroli motłochu. Jeśli motłoch nauczy się ją kontrolować w jednym miejscu, ona wybiera sobie inne”. Prawik przypomniał sobie sentencję, którą usłyszał zaledwie trzy kwadranse wcześniej. Szokująca była nie jej treść, ale to, że wypowiedział ją największy autorytet süssenlandzkiej demokracji, redaktor Tomasz Wiewiórka.

„Kto jak kto, ale Instytucja nigdy nie gustowała w ludowładztwie”, kontynuował Wiewiórka. Adresatem jego słów, tak samo jak poprzednich, był stary Kanclerz. No i oczywiście Prawik, który pomimo młodego wieku także reprezentował Instytucję podczas uroczystości podpisania Konkordatu. To właśnie on, najmłodszy w dziejach Instytucji sekretarz Synodu, miał później przedstawić najważniejsze ustalenia dokumentu podczas konferencji prasowej zorganizowanej dla dziennikarzy holdingu „Cukry proste”.

Wiewiórka uwielbiał wygłaszać takie sentencje, które następnie powtarzał w nieskończoność, sam zafascynowany ich mądrością i głębią.

„Autorytarne skłonności, a do tego seksualna fiksacja na fazie analnej”.

Tak by to zapewne określiła piękna panna Nora, która w Wyższym Seminarium Duchownym prowadziła z przyszłymi kapłanami swoje niezapomniane konwersatorium z podstaw psychoanalizy. Nie wszyscy jej uczniowie zostali później kapłanami. W każdym razie na pewno nie ci, których zdążyła uwieść, zanim odsunięto ją od nauczania.

Przez twarz Prawika przemknął cień dawno zapomnianego uśmiechu. Nie śmiał się ani nie uśmiechał, jakby śmiertelna powaga była jednym z warunków święceń, które kiedyś przyjął.

„Podstawy psychoanalizy”, zawsze uważał, że ta wiedza jest mu zupełnie niepotrzebna. O ile w ogóle to jest jakaś wiedza.

Sam był zupełnie głuchy na te sprawy, „pozbawiony psychologicznego słuchu”. Piękna panna Nora osobiście wpisała taką opinię do jego indeksu. Zresztą zaraz obok lojalnie umieściła tam ocenę celującą. Chłopak był ambitny i pracowity, cechująca go „niechęć do interpretowania ukrytych motywacji” czyniła go może kiepskim spowiednikiem, ale nie zamykała przed nim innych ścieżek kariery wewnątrz Instytucji. Można nawet powiedzieć, że było przeciwnie, naiwność Prawika okazywała się w wielu sytuacjach prawdziwym darem od Istoty Najśłodszej.

* * *

Teraz także psychoanaliza w niczym nie mogła mu pomóc, chyba że w wymyślaniu niewybrednych żartów na temat redaktora Wiewiórki, żartów, których nigdy nawet nie wypowiedział na głos.

Tylko to mu pozostało, wymyślanie żartów, których nigdy nie wypowiedział na głos. Z całą pewnością było to bezsensowne zajęcie. Odczuwał to szczególnie boleśnie, bo przecież zawsze próbował robić wszystko, żeby jego życie miało wyraźny, mocny sens. Przez ostatnie miesiące tym sensem było negocjowanie kształtu Konkordatu.

To zabawne, pomyślał, że autorytarne skłonności ma akurat Tomasz Wiewiórka, który podpisał się pod Konkordatem w imieniu Opinii Publicznej Süßenlandu. Nie miał ich ani stary Kanclerz, który podpisał się pod dokumentem w imieniu Instytucji, ani Prezydent, którego podpis reprezentował Władzę Obieralną, prawdziwa władza unikała teraz polityki. Unikała także Instytucji, nawet tutaj, gdzie i tak trzymała się jej dłużej niż w jakimkolwiek innym kraju świata.

* * *

Tutejsza władza dawno już pozostawiła za sobą wysychające starorzecza religii i polityki, aby ulokować cały swój brudny i spieniony nurt w szerokim korycie mass mediów.

Właściwie wszyscy się z tym pogodzili, tym bardziej że nikt nie pamiętał czasów, kiedy było inaczej. Prawik czuł się często tak, jakby tylko on magazynował w swojej chorobliwie sformatowanej pamięci publiczne dyskusje toczące się w epoce, w której brudna rzeka władzy dopiero zaczynała szukać sobie nowego koryta. „Czy czwarta władza aby nie staje się pierwszą?”, pytały coraz bardziej zaniepokojone autorytety.

I właśnie wtedy pewien nikomu jeszcze nieznany, młodziutki dziennikarz, zamiast tłumaczyć się przed wszystkimi i ukrywać znaną wszystkim prawdę, zwyczajnie odpowiedział „tak!” na to powtarzane bez końca retoryczne pytanie. Tym dziennikarzem był właśnie Tomasz Wiewiórka, który rozpoczął dopiero swoją medialną karierę.

Jego tekst przeszedł do historii, nie tylko zresztą dziennikarstwa. Stał się szybko obowiązkową lekturą na wydziałach prawa i filozofii politycznej. Już wówczas jedyną żywą filozofią polityczną była w Süssenlandzie filozofia polityczna mediów, a najwyższym prawem stało się prawo prasowe. Tylko głupcy interesowali się jeszcze Władzą Obieralną i jedynie fundamentaliści pokładali jakiegokolwiek nadzieje w Instytucji. Jeśli jednak ktoś nie należał do żadnej z tych grup, wiedział, że władzy w obu tych miejscach nie ma już od dawna.

„To media reprezentują Opinię Publiczną...”, napisał młody Wiewiórka w tekście pod wiele mówiącym tytułem „My, Czwarta Władza”. Pracował wtedy w redakcji satyrycznej gazetki „Sama Słodycz” i to właśnie tam ukazał się jego prowokacyjny manifest. Dopiero później przeniósł się na łamy wpływowej „Glukozy”, którą następnie wykupił, aby po jakimś czasie uczynić z niej załączek medialnego holdingu „Cukry proste”.

„...Opinię Publiczną, która jest w demokracji jedynym suwerenem. I właśnie dlatego ludzie mediów są dzisiaj ważniejsi niż ten czy inny obieralny polityk”.

Sylogizmy jak cepy, może właśnie dlatego świetnie zadziałały. Po wielu dekadach intelektualnej komplikacji Opinia Publiczna Süssenlandu, formalnie rzecz biorąc, jego najwyższa władza, oczekiwała już tylko prostoty. Wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni myśleniem, określenie „intelektualista” stało się obraźliwym epitetem.

„Władza Obieralna szybko odkleja się od woli wyborców, tymczasem media przylegają do pleców spracowanego ludu jak przepocony bawełniany T-shirt. My, Czwarta Władza, jesteśmy razem z ludem Süssenlandu, kiedy ten pracuje, bawi się, modli i wybiera swoich przedstawicieli. Kiedy lud śpi, my kończymy właśnie przygotowywać poranne wydania. Towarzyszymy mu przy każdej, nawet najbardziej intymnej czynności, sypialnie i wychodki süssenlandzkich domów zasłane są codziennymi gazetami, ilustrowanymi magazynami dla pań i tygodnikami opinii”.

Wiewiórka lubił być dosadny, ale kiedy chciał, potrafił także formułować argumenty

„Władza Obieralna jest oceniana co cztery albo co sześć lat, tymczasem nas, Czwartą Władzę, obywatele Süssenlandu weryfikują każdego dnia o poranku, kiedy ustawiają się w

kolejkach do kiosków z prasą albo podnosząc zaspaną głowę z poduszki, sięgają po telewizyjnego pilota.

Dlaczego okazaliśmy się bardziej skuteczni od kapłanów i obieralnych polityków? Dlaczego to nas, a nie ich słuchają dzisiaj dzieci i ich rodzice? Otóż w przeciwieństwie do kapłanów i polityków potrafiliśmy połączyć w jedno edukację z entertainmentem, realną władzę z naprawdę skutecznym przekonywaniem do niej. Przyszliśmy na świat nie tak dawno temu, narodziliśmy się z małżeństwa, które purytański pastor zawarł z showgirl tańczącą nago przy srebrzystym drążku. Nasi wrogowie mówią, że uczymy ludzi ekshibicjonizmu, i nazywają nas obleśnymi mutantami. Zdają się zapominać, że to właśnie my, ekshibicjoniści i obleśni mutanci, jesteśmy awangardą ewolucji. Owłosione małpy także szydziły z nagości pierwszego człowieka, z jego szokujących dziwactw. Parę milionów lat później uciekły przed nim w korony drzew, na zawsze pozostawiając w jego władzy całą Ziemię. My nie będziemy czekać aż tak długo...”

Tomasz Wiewiórka zdecydowanie miał talent. Nie był też półanalfabeta jak większość młodych dziennikarzy w jego epoce. Jednak jego wykształcenie nie było nadmiernie głębokie, a talent pozostawał „talentem sofisty”. Takiego przynajmniej określenia użył pod jego adresem pewien miejscowy filozof polityczny o zatartym już przez historię nazwisku. Wtedy obywatele Süssenlandu jeszcze je pamiętali, przynajmniej jako stygmat najważniejszego polemisty redaktora Tomasza Wiewiórki.

Kiedy Prawik był uczniem pierwszej klasy liceum, spór pomiędzy redaktorem Wiewiórką i anonimowym filozofem został definitywnie rozstrzygnięty. Ambitna filolożka z jego szkoły wzorem koleżanek ze szkół w Dzielnicy Blokowisk kazała odgrywać swoim uczniom „sąd nad polityką”. Autorzy najlepszych referatów brali później udział w ogólnokrajowym konkursie sponsorowanym przez „Cukry proste”. Razem z nimi uczestniczyły w konkursie także ich nauczycielki, portrety finalistek pojawiały się później we wszystkich mediach holdingu.

Zwykle na czterdzieścioro dzieci, które broniły też redaktora Wiewiórki, najwyżej jeden uczeń wybierał stronę zapomnianego filozofa. Nie inaczej było w klasie Prawika.

Wiadomo, kto odegrał niewdzięczną rolę klasowego dziwaka. To właśnie on się w niej obsadził, sam dobrze nie wiedział dlaczego. Nie był pewien, czy nie zrobił tego po prostu na złość swoim nudnym kolegom. Dobrze jednak zapamiętał własne argumenty.

„Czwarta Władza jest akceptowana przez czytelników, słuchaczy i widzów jedynie jako źródło wiarygodnej informacji i atrakcyjnej rozrywki. Przesuwanie tej akceptacji na obszar Władzy Obieralnej jest sztuczką, trickiem, zwyczajnym oszustwem. Czwarta Władza została powołana do tego, aby w imieniu Opinii Publicznej sprawować kontrolę nad Władzą Obieralną, a nie po to, by tę władzę zastępować. Jeśli media, powołane wyłącznie do tego, żeby kontrolować władzę, zaczną sprawować ją same, to kto skontroluje media? Opinia Publiczna nie będzie już przecież miała do swojej dyspozycji żadnych instytucji kontrolnych,

stanie się głucha, ślepa i niema, zdana wyłącznie na Czwartą Władzę, która będzie w takiej sytuacji władzą naprawdę totalną.

Ze sprawowania Władzy Obieralnej rozliczani są politycy sprawujący obieralne funkcje. Tymczasem ludzie Czwartej Władzy pragną sprawować władzę, nie będąc za to rozliczani. W ten sposób Demokracja Medialna, zamiast być najwyższą formą demokracji, może się stać jej nieuleczalną chorobą”.

Ciągle jeszcze miewał koszmary, w których stawał przed całą swoją klasą bezwarunkowo popierającą tezy redaktora Wiewiórki. I po raz kolejny wygłaszał referat pełen niezrozumiałych słów, niepasujących do jego wieku i społecznego pochodzenia.

Dostał wtedy czwórkę, najgorszą ocenę z całej swojej klasy. Jego filolożka postawiła tamtego dnia trzydzieści dziewięć ocen celujących. Nawet klasowa oferma, chłopak nazywany przez wszystkich Podlizuchem, dostał wtedy szóstkę, mimo że jego referat, którego nawet nie potrafił poprawnie przeczytać, zawierał całe fragmenty przepisane z rozdanego wcześniej uczniom kanonicznego tekstu redaktora Wiewiórki.

„Nawet sprytnie sklecone”, zauważyła pani, kiedy Prawik drżącym głosem skończył wreszcie czytać swój przydługi referat, „ale jakieś takie... anachoretyczne”. Chciała prawdopodobnie powiedzieć „anachroniczne”, ale zdecydowanie nie była orłem w nauczanej przez siebie dyscyplinie.

Prawdę mówiąc, liceum, do którego uczęszczał, też nie należało do najlepszych w mieście. Tkwiło w samym środku Dzielnicy Blokowisk jak gwiazdne wrota, które miały prowadzić do lepszego świata, ale zacięły się z braku konserwacji i od dawna już prowadziły donikąd. Osiemdziesiąt procent absolwentów trafiało na bezrobocie. Całe szczęście bezrobotni byli także ich rodzice, dzięki czemu nikt nie mógł oskarżyć süssenlandzkiego systemu nauczania, że zawiąza poziom bezrobocia w Dzielnicy Blokowisk.

Prawik dotarł jednak w końcu do lepszego świata, choć zawdzięczał to sobie, a nie filolożce z liceum. Trafił na same szczyty, stał się członkiem süssenlandzkiej elity, ale to, co tam zobaczył, znacznie odbiegało od jego wcześniejszych wyobrażeń.

Właściwie jedynym pozytywnym wyjątkiem okazał się redaktor Wiewiórka. Był po prostu równym facetem. Już podczas drugiego spotkania, kiedy negocjowano klauzulę Konkordatu dotyczącą wspólnego zbierania abonamentu telewizyjnego i podatku na Instytucję, Prawik opowiedział mu o swojej szkolnej przygodzie.

Tomasz Wiewiórka wcale nie był demonem, jego portrety kreślone grubą kreską resentymentu w rozdawanych na rogach ulic gazetkach Monarchistów nie miały nic wspólnego z oryginałem. Wręcz przeciwnie, Redaktor był człowiekiem, z którym nie sposób było się nie zaprzyjaźnić. Pierwszy wyciągał rękę do zgody, obejmował ramieniem nawet tych, którzy wcześniej coś złego o nim powiedzieli i spodziewali się z jego strony brutalnej riposty.

Niewielu spośród nich udało się później wyswobodzić z jego mocnego, męskiego uścisku.

Także Prawik zaprzyjaźnił się z Redaktorem Wiewiórką. Móc rozmawiać z historyczną postacią, z dożywotnim reprezentantem Opinii Publicznej Süssenlandu... W dodatku ich poglądy aż tak bardzo się nie różniły. Obaj akceptowali Medialną Demokrację, obaj dostrzegali w niej wady, które trzeba było korygować, pamiętając, że nigdy nie da się ich usunąć do końca.

W bezpośredniej rozmowie Wiewiórka był o wiele bardziej przekonujący niż wtedy, kiedy pisał albo występował przed kamerami którejs z swoich telewizji. Nie był agresywny, wręcz przeciwnie, śmiejąc się tym swoim szczerym i ośmielającym śmiechem, zachęcał rozmówcę do wygłaszania polemicznych uwag na swój własny temat.

Autorytarne skłonności zdradzało właściwie tylko to jego zamiłowanie do powtarzanych w nieskończoność sentencji.

* * *

Stylizowane brukowe kamienie stawały się coraz bardziej wyboiste, w miarę jak zbliżał się do Wedelskiego Wzgórza. Znow się potknął i zaklął pod nosem. Wcześniej nigdy nie przeklinał, nie dlatego, że się powstrzymywał. W przeciwieństwie do kolegów z wyższego seminarium nie musiał udawać przed przełożonymi czystości. Naprawdę był niewinnym chłopcem, żadnych wulgarności, żadnych wycieczek na dziewczynki, żadnego całowania po pubach. Wielka rzadkość we współczesnym Cukierkowie, gdzie do uprawiania seksu przyznawali się w mediach holdingu nawet ci, którzy nie mieli na ten seks najmniejszej ochoty.

„Prawik”, to przezwisko z wyższego seminarium ciągnęło się za nim po wszystkich stopniach jego błyskawicznej kariery.

„Poza instytucjami nie ma zbawienia, bo poza instytucjami nie ma istnienia”. Tym zdaniem kończyła się jego praca dyplomowa, która zwróciła na niego uwagę starego Kanclerza. Wybaczone mu nawet liczbę mnogą, w końcu tych „instytucji” nie było w Cukierkowie znowu aż tak wiele. A poza tym czasy miały się ku ekumenii.

Kontynuował wędrówkę po stromym zboczu Wedelskiego Wzgórza. Dawni królowie Süssenlandu wybrali to miejsce na mauzoleum z powodu spoczywającego na samym szczycie czakramu. Był to jeden z siedmiu świętych kamieni, których obecność wyznaczała położenie wszystkich wielkich cywilizacji planety. Cywilizacji, tak jak czakramów, było na planecie siedem: Słona, Cierpka, Gorzka, Kwaśna, Pikantna oraz Nieco Mdła.

No i süssenlandzka, tyle że tutejsza cywilizacja właściwie się nie rozwinęła, a jeśli nawet, to jej złota epoka dawno przeszła do historii.

„Zmarnowany czakram”, tak dowcipkowały na temat świętego kamienia Populistki nieznoszące narodowych tabu. Legenda głosiła, że jeden z monarchów odłupał kiedyś mały jego kawałek, aby umieścić go w murze swojej nowo wybudowanej letniej rezydencji. Chciał, by magiczna moc czakramu towarzyszyła mu także podczas królewskich wakacji.

Szybko okazało się, jak wielki był jego błąd. Kilka miesięcy później został w swojej letniej rezydencji zdradziecko otruty. Po jego nagłej, bezpotomnej śmierci w historii Süssenlandu rozpoczął się trwający przez cztery stulecia okres wielkiej smuty. Potem przyszedł rozbiory, a po nich to, do czego wszyscy byli już przyzwyczajeni, codzienność Medialnej Demokracji.

O sens ojczystej historii z Populistkami spierali się teraz wyłącznie Monarchiści. Ich zdaniem dotyczące kraj nieszczęścia były bezpośrednim wynikiem ingerencji w życie narodu Istoty Najśłodszej. Kiedy historia wreszcie się zakończy – a fakt ten zostanie wyraźnie zaznaczony przez krótką, gwałtowną apokalipsę – w dziejach Süssenlandu rozpocznie się epoka nieskończonej słodyczy.

Od czasu, kiedy przed pięćdziesięciu laty tutejsze życie polityczne podzieliło się, podobnie jak w innych krajach świata, z grubsza według kryterium płci, zarówno Populistki, jak też Monarchiści nie mieli na nie najmniejszego wpływu. Zwolennicy obu ruchów spotykali się już tylko przy zmarnowanym czakramie, każda narodowa rocznica stawała się dla nich okazją do hałaśliwych manifestacji. Kłócili się wtedy, a czasami nawet bili między sobą o wszystko. Ale ich spory nie miały większego znaczenia, i to niezależnie od tego, o co im akurat chodziło.

„Istota Najśłodsza jest stuprocentowym mężczyzną!” – to było najbardziej radykalne hasło Monarchistów. Słyszac je, widzowie satyrycznych programów Telewizji Fruktis zaśmiewali się tak samo głośno jak przy tym, które wbijało w dumę Populistki: „Mamy prawo do własnej macicy!”.

Każdy przecież wiedział, że macice pozostają własnością Opinii Publicznej Süssenlandu, to ona miała do nich prawo, mogła z nimi zrobić praktycznie wszystko, w tę albo w tamtą stronę. Wiedziało o tym każde dziecko, od rana do wieczora powtarzały tę prawdę wszystkie media holdingu. Tak samo jak inną, równie dobrze znaną, że Istota Najśłodsza jest stuprocentową kobietą. Ale dzięki Monarchistom i Populistkom życie codzienne w Medialnej Demokracji Süssenlandu nie było przynajmniej tak piekielnie nudne.

* * *

Prawik nie wiedział, dlaczego po opuszczeniu budynku Kurii wyruszył ulicą Goplańską w kierunku Wedelskiego Wzgórza. To był przypadek, równie dobrze mógł pójść w przeciwną stronę i wpaść pod tramwaj, którego wesół dzwonek dobiegał teraz do jego uszu od strony Placu Marcepana.

To, dokąd szedł, nie miało żadnego znaczenia. Ciągle miał przed oczami scenę, która parę minut wcześniej rozegrała się w reprezentacyjnej komnacie Kurii. Pamiętał zmieniającą kolory twarz starego Kanclerza, a w jego głowie rozbrzmiewały pożegnalne słowa redaktora Wiewiórki: „Prawik zawsze pozostanie prawikiem...”. A chwilę wcześniej: „...tylko ci się wydaje, że nic na ciebie nie mamy. Jeśli choć kłapniesz dziobem, zgnoimy cię, prawiczku pierdolony”.

Nie zamierzał wcale kłapać dziobem. Kiedy opuszczał budynek Kurii, był innym człowiekiem, niż kiedy tam wchodził. Nie złożył też swojego podpisu pod dokumentem, którego poszczególne klauzule żmudnie negocjował przez ostatni rok.

Podpis pod Konkordatem otworzyłby przed nim drogę na szczyt, byłby najmłodszym spośród tych, którzy go złożyli. Za trzy lata zostałby pewnie najmłodszym w historii Kanclerzem. Obecny skończy wtedy siedemdziesiąt pięć lat, a Prawika, jako negocjatora Konkordatu, popartyby wszystkie media holdingu „Cukry proste”. W ślad za nimi także Prezydent i zdecydowana większość Synodu.

Wrogowie dokumentu, nad którego kształtem pracował razem z redaktorem Wiewiórką, od jakiegoś czasu stanowili w Synodzie zdecydowaną mniejszość. Doskonale pamiętał, jak przeredzały się ich liczne na początku szeregi, dziesiątkowane przez media holdingu. Odbywało się to dyskretnie, tylko w nielicznych przypadkach posuwano się do upublicznienia przecieków. Większość delikwentów wycofywała się już po pierwszym, nieoficjalnym jeszcze ostrzeżeniu. Prawik nie gustował w takich metodach, choć jako najmłodszy w historii sekretarz Synodu, z całego serca popierający ideę Konkordatu, bez większych skrupułów wprowadził pod obrady sprawę biskupa Skowronka. Dzień wcześniej Telewizja Fruktis pokazała, jak biskup bawi się ze swoimi dziećmi. Miał ich tylko dwoje, z jedną kobietą, ale to i tak znacznie wykraczało poza granice obowiązującego Instytutu celibatu.

Następnie sprawa kardynała Pustułki i jego nieszczęśliwy romans z klerykiem, w wyniku którego kardynał przeżył samobójczą próbę, zatajona przed opinią publiczną. Ten fakt pozostał tajemnicą do dnia, w którym Pustułka zagłosował przeciwko Konkordatowi. Było to pierwsze głosowanie, kiedy za podpisaniem dokumentu negocjowanego z takim trudem przez młodego sekretarza Synodu opowiedziała się jeszcze zdecydowana mniejszość biskupów. Już nazajutrz kolorowe zdjęcia kardynała Pustułki i tamtego kleryka ozdobiły okładkę „Samej słodczy”. Na rozkładówce w środku numeru znalazły się nawet fotografie ze szpitala, w którym ratowano kardynała po „akcydentalnym zadziergnięciu”.

Czterdziestu czterech hierarchów skompromitowanych pomiędzy pierwszym i ostatnim głosowaniem. Zaledwie w trzy miesiące. Takie tempo powinno go poważnie zastanowić. Oczywiście zwrócił na to uwagę, ale przez cały ten czas sądził, że „są koszty, które warto ponieść, jeśli sprawa jest słuszna”.

Tak powiedział redaktor Wiewiórka, kiedy Prawik w czasie jednego z negocjacyjnych spotkań odciągnął go na bok i poprosił o przerwanie przynajmniej na jakiś czas „akcji prześwietlania Synodu”. Tak to nazywano, „akcją prześwietlania” albo „lustracją”.

„Skończ już z tym, Tomaszu (Tomaszu? Czemu nie jak zwykle, Tomku? – przerywał mu kokieteryjnie redaktor Wiewiórka). Przed samą ratyfikacją trzeba uspokoić wiernych. Przeciwnicy Konkordatu i tak stanowią już w Synodzie zdecydowaną mniejszość, a Instytucja ma własne metody pozbywania się grzesznych biskupów”.

„Grzeszni biskupi”, mówił tak, jakby sam znał jakiegoś bezgrzesznego. Nie istnieli bezgrzeszni biskupi, tak samo jak nie istnieli bezgrzeszni świeccy. Właśnie to oddawało ich wszystkim w ręce Opinii Publicznej.

„Wiesz doskonale, że wasze tradycyjne metody walki z grzechem zwykle nie skutkują”, odpowiedział Redaktor, posyłając Prawikowi swój szczerzy, onieśmielający uśmiech. I właśnie wtedy powiedział mu o „kosztach, które warto ponieść, jeśli sprawa jest słuszna”. „A poza tym”, załamał dłonie i wznosił oczy ku niebu, „dobrze wiesz, że ja sam jestem tylko skromnym urzędnikiem Opinii Publicznej. Ukrywanie przed nią informacji, które do nas dotarły...”. Tu zawiesił głos, jakby nawet samo nazwanie tego występkę po imieniu było dla niego zbyt wielkim bluźnierstwem.

„Władza religijna i świecka bardzo rzadko w historii pozostawały rozdzielone, a kiedy takie pozostawały, czasy nie były spokojne”. Jeszcze parę godzin temu najmłodszy sekretarz Synodu byłby się gotów podpisać obiema rękami pod kolejną mądrością, której zdążył się nauczyć na pamięć, słuchając, jak wielokrotnie powtarza ją redaktor Wiewiórka.

„Najważniejsza jest teraz ratyfikacja Konkordatu, szybka i bez znaczących sprzeciwów. Musimy to zrobić, bo Populistki i Monarchiści rosą w siłę, a Medialna Demokracja nigdy jeszcze nie była tak słaba”.

Przez cały okres negocjacji Prawik powtarzał tę polityczną diagnozę Wiewiórki, choć tak naprawdę Medialna Demokracja nigdy nie była silniejsza. Słabi byli za to jej kontestatorzy. Zresztą kim oni byli? Od czasu kiedy zdemontowano lud, podzielono go na jednostki uwięzione w klatkach pięćdziesięciu programów Telewizji Fruktis, pozostawało do spacyfikowania jedynie paru nieudaczników.

Pisarz W., rozgoryczony faktem, że nigdy nie znalazł się pośród nominatów do nagrody Dziesięciu Muz, kompozytor L., nie niepokojony przez media holdingu od czasu, kiedy Opinia Publiczna Süssenlandu przestała się interesować jego stanowiskiem w jakiegokolwiek sprawie, skandalizująca malarka Z., publicznie ośmieszona przez satyryków Telewizji Fruktis... A w dodatku pierwszy okazał się nałogowym pijakiem, drugi miał w swojej biografii próbę gwałtu, zaś artystka była wielokrotną rozwodniczką w kraju, którego dziewięćdziesiąt procent mieszkańców akceptowało dożywotnią monogamię. Łatwo było niszczyć kontestatorów, nikt nie był czysty, w życiu każdego znalazło się coś, co pozwalało go skompromitować w oczach jego bliźnich, nawet jeśli on sam nie składał nigdy

instytucjonalnych ślubów czystości. Takich ludzi łatwo było utrzymać na niewidzialnej smyczy.

* * *

Kiedy przedstawiciele stron sygnatariuszy Konkordatu przygotowywali się już do złożenia podpisów, przez wielkie okna Kurii dobiegły ich okrzyki protestujących. Na chodniku pod Kurią stali Monarchiści ze swoimi transparentami „Viva el Rey!”. W klapach ich tanich trzyczęściowych garniturów tkwiły białe kokardy ozdobione czerwonym sercem i krzyżem. Populistki, starające się trzymać jak najdalej od swoich śmiertelnych wrogów, przyniosły ze sobą na manifestację niechlujne tekturowe kartony z napisami „Allons enfants de la Patrie!”, „Vive le Peuple!”, „Vive la Revolution!”.

Żadna ze stron nie układała swoich haseł w urzędowym narzeczu Süssenlandu. Zachowywali się tak, jakby wierzyli, że posłużenie się globalnymi językami rewolucji i kontrewolucji uczyni ich uczestnikami jakiegoś wielkiego historycznego sporu.

„Nie wystarczy, że są idiotami”, powiedział kiedyś Wiewiórka, „to jeszcze robią wszystko, żeby nikt w całym Süssenlandzie nie zrozumiał, o co im właściwie chodzi”.

Przez ogromne okno reprezentacyjnej komnaty Kurii Prawik mógł dostrzec groźny symbol gilotyny zdobiący przepocone T-shirty Populistek. Schematyczny rysunek narzędzia, za pomocą którego jakaś zapomniana rewolucja próbowała kiedyś realizować swoje zapomniane obietnice. Miał teraz przypominać zgromadzonym w Kurii, a także największym wrogom Populistek, hałasującym po przeciwnej stronie chodnika, że dawna krwawa rewolta może tu w każdej chwili powrócić, żeby wyrównać swoje rachunki ze światem.

Rzecz w tym, że żadna rewolucja nie miała tutaj szans. Hipermarkety były pełne, żywność tania, nawet skromne zasiłki socjalne chroniły tutejszych bezrobotnych przed prawdziwym głodem. A przecież nie zawsze żyło im się tak dobrze, jeszcze pół wieku temu, pod koniec Epoki Wielkich Niepokojów, głód nie był tylko surrealistycznym hasłem z transparentów obnoszonych przez Populistki podczas ich dorocznych wiosennych przemarszów ulicą Goplańską.

„Monarchiści i Populistki...”, wycedził redaktor Wiewiórka, wskazując na gromadki ludzi gromadzące się pod ogromnymi, zakratowanymi oknami Kurii. Zawsze kiedy wypowiadał te słowa, z jego twarzy znikał szczery, dobroduszny uśmiech. „Im bardziej żrą się między sobą, tym mniej z nimi problemów... a Jego Eminencja co o tym wszystkim sądzi?”, zwrócił się nagle, z pozoru grzecznie, do starego Kanclerza.

„Wydaje mi się czasami, że rozumiem ich niepokój”, odparł z godnością dostojnik, „choć oczywiście nie pochwalam agresji skierowanej przeciwko instytucjom naszej Medialnej Demokracji”. Kiedy wypowiadał te słowa, bezskutecznie szukał potwierdzenia ich słuszności na twarzy Prezydenta. Stary Kanclerz panicznie bał się Wiewiórki i właśnie dlatego próbował

teraz znaleźć moralne wsparcie u najwyższego przedstawiciela Władzy Obieralnej. Ten odwrócił jednak głowę, udając, że niczego nie słyszy. Nie był człowiekiem, na którego moralne wsparcie można by liczyć.

„Niepokoję, śmoje...”, pod bogato zdobionym sklepieniem sali Synodu znów rozległ się tubalny głos Redaktora. „Albo rządzi się samemu, albo jest się rządzonym, nie ma trzeciej drogi, nigdy jej nie było. A tak się akurat składa, że teraz rządząmy my”.

Tajemnica spowiedzi

Chwilę potem redaktor Wiewiórka rozdał wszystkim zgromadzonym tajną klauzulę Konkordatu. Nigdy wcześniej nie wspominał o niej ani słowem. O jej istnieniu nie wiedział nawet Prawik.

Prezydent od razu zaszył się w najgłębszym kącie sali, natomiast stary Kanclerz po prostu zasnął. Osunął się w swój głęboki purpurowy fotel, a Prawik wybiegł z sali, szukając pomocy.

„...Populistki i Monarchiści znowu rosną w siłę, a Medialna Demokracja nigdy jeszcze nie była tak zagrożona. Musimy mieć prawo publicznego kompromitowania jej wrogów”. Kiedy najmłodszy sekretarz w historii Synodu powrócił do komnaty z siostrą pielęgniarką, redaktor Wiewiórka kończył jeszcze swoje zaimprovizowane przemówienie.

* * *

Zdyszany Prawik widział teraz przed sobą wierzchołek Wedelskiego Wzgórza. Z odległości kilkuset metrów można było dostrzec, jak demonstranci drepczą wokół zmarnowanego czakramu. Przyszli tutaj prosto spod budynku Kurii, tą samą drogą, którą w ślad za nimi podążał Prawik.

Czy poza podpisaniem Konkordatu była dziś jeszcze jakaś inna okazja do symbolicznego protestu? Rocznica jakiejś klęski albo tryumfu nie przez wszystkich uznawanego? Zastanawiał się nad tym przez chwilę, a jego głowa, wypełniona zazwyczaj milionami bezużytecznych szczegółów, była teraz pusta. Chichoczący wiatr przeganiał po niej z kąta w kąt rozmaite imiona i daty, przed paroma godzinami jeszcze święte, teraz nieważkie i wstrętne jak stare gazety – pogniecione, pokryte plamami tłuszczu.

W końcu usłużna pamięć wykonała jednak swoją pracę. Oczywiście pięćdziesiąta rocznica przystąpienia Süssenlandu do Ligi Małych i Średnich. Obecność w Lidze miała uczynić Cukierkowo krajem ludzi szczęśliwych i wolnych, i to zanim jeszcze nadejdzie

obietnica przez Monarchistów apokalipsa, a w ślad za nią na cały kraj rozleje się nieskończona słodycz.

Jeśli wierzyć prezentowanym przez media holdingu sondażom, oczekiwania obywateli na lepszą przyszłość zostały spełnione. Sprawa, na której potknął się Prawik, nie miała nic wspólnego z przynależnością Süssenlandu do Ligi Małych i Średnich.

„Precz z Ligą!”, „Niech Liga zrobi wreszcie porządek z rodzimą reakcją!”, mógł już rozróżnić okrzyki dochodzące od strony czakramu. Populistki i Monarchiści jak zawsze spierali się nie o to, co trzeba. Ale o co właściwie należało się spierać? Nawet on, najmłodszy w dziejach sekretarz Synodu, pomimo całej swojej słynnej politycznej intuicji nie miał w tej kwestii wyrobionego zdania.

* * *

Przez cały okres negocjacji redaktor Wiewiórka zachowywał się wobec niego tak, jakby bardzo mu ufał, jakby go po prostu polubił. „Wiesz”, powiedział kiedyś do niego, „właściwie to ci zazdroszczę. Masz prawdziwy talent, znasz języki, rozumiesz się na teologii, a widzisz, ja...”, tu Redaktor zastanowił się przez chwilę, „...ja robię w ludziach, to obrzydliwe zajęcie”.

Wiewiórka często brał go na bok i żartował przy nim po swojemu. Prawikowi nie do końca podobało się to poczucie humoru, ale, mówiąc słowami jego mentora, były koszty, które warto ponieść, jeśli sprawa jest słuszna. A sprawa była przecież słuszna, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Dobrze wiedział, co zdarzyło się w krajach, w których Instytucja nie podpisała Konkordatu i nie stała się jedną z formalnych władz Medialnej Demokracji. Wszyscy biskupi süssenlandzkiego Synodu to wiedzieli. Medialne przecieki, oskarżenia o molestowanie, zwykle potwierdzone przez świadków. Kapłani i klerycy wywlekani ze świątyń na ulice, prowadzeni pośród rozbawionych tłumów. Kompromitacja opornych biskupów (może celibat rzeczywiście do tego prowadził?) i w efekcie zawsze ten sam koniec, delegalizacja i ośmieszenie. Nieprzynoszące nikomu chwały męczeństwo na pluszowym krzyżu.

Kanclerz również pamiętał o tym wszystkim. „Instytucja musi przetrwać za każdą cenę”, szeptał do ucha Prawikowi, kiedy przygotowywali się bez świadków do kolejnych negocjacyjnych spotkań, „musi pozostać legalna, nie mamy już w sobie żaru dawnych męczenników. Może zachowali ten żar fanatycy, ale przecież w ich ręce nie można złożyć losów Instytucji”.

Konsekwencje złożenia losów Instytucji w ręce fanatyków także wszyscy zdążyli już poznać. Nie tak dawno pewien mechanik samochodowy, nazywany przez swoich zwolenników Purytańskim Mesjaszem, zawładnął na kilka lat Instytucją w Gorzkiej Republice. Rozwiązał tamtejszy Synod, znów rozpałił stosy, ale i tak najgorsze było to, co

stało się na samym końcu, kiedy Purytański Mesjasz przestał już panować nad swoim coraz bardziej widocznym obłędem.

Należało zrobić wszystko, żeby Instytucja pozostała legalna, nawet gdyby miała za to zapłacić najwyższą cenę, taką, która pozwoli jej jeszcze pozostać sobą. Takie było zdanie starego Kanclerza i Prawik, najmłodszy w historii sekretarz Synodu, zgadzał się z nim.

* * *

„Instytucja musi się zgodzić na warunkowe zawieszenie tajemnicy spowiedzi”, monumentalnym tonem powtórzył redaktor Wiewiórka i zaraz dodał uspokajająco: „wyłącznie w stosunku do tych, którzy powinni zostać skompromitowani...”.

„...dla wspólnego dobra”, Wiewiórka umiał mówić językami wszystkich pięciu władz, a razem z nim posiedli tę umiejętność zatrudnieni przez niego dziennikarze.

„Nie zawsze Instytucja była w tej sprawie tak nieprzejednana”, dodał po chwili, kiedy stary Kanclerz znowu poczerwieniał, a potem pobladł i jeszcze głębiej osunął się w swój głęboki purpurowy fotel.

To, co najgorsze, miało jednak dopiero nadejść. „Wasza Eminencjo”, redaktor Wiewiórka zmienił ton swego głosu z monumentalnego na nieomal figlarny, „chciałem przypomnieć, że prywatność Waszej Eminencji także kryje w sobie pewne tajemnice”. I wtedy wyciągnął teczkę. Zrobił to gestem tak naturalnym, jakby był doświadczonym prestigiditorem, który stojąc w światłach rampy, przed tłumem wpatrzonych w niego widzów, wyciąga z cylindra wierzgającego królika.

Teczka była otwarta i kiedy rzucił ją na biurko, tuż obok przygotowanych do podpisu ozdobnych egzemplarzy Konkordatu, wysunął się z niej plik zdjęć. Prawik nie zobaczył, co było na zdjęciach. Widział tylko twarz starego Kanclerza i to, co działo się na niej, kiedy ten podniósł zdjęcia do oczu.

Długo wpatrywał się w nie z bardzo bliska. Był krótkowidzem, ale w czasie publicznych wystąpień starał się nie nosić okularów, chyba że musiał akurat coś odczytać. Tym razem nie musiał, tekst Konkordatu został wynegocjowany w najdrobniejszych szczegółach.

Prawik był oburzony, protestował głośno. Dopiero po chwili zauważył, że stary hierarcha pochylił się nad biurkiem i bez słowa złożył swój podpis na wszystkich czterech ozdobnych egzemplarzach Konkordatu.

Redaktor Wiewiórka spoglądał drwiąco na Prawika i nawet nie próbował go uciszać. Spokojnie czekał, aż wyczerpie się wątła energia młodego kapłana. Pod wysokim sklepieniem reprezentacyjnego salonu Kurii rozległy się w końcu jego słowa, wypowiedziane wyjątkowo opanowanym głosem: „...tylko ci się wydaje, że nic na ciebie nie mamy, jeśli choć raz kłapniesz dziobem, zgnoimy cię, prawiczku pierdolony”.

* * *

Gromadzący się na Wzgórzu Wedelskim demonstranci byli coraz liczniejsi. Sytuacja jak zwykle mogła się rozwinąć tylko w jeden sposób, pokłóć się między sobą albo nawet pobijać („Viva el Rey!” kontra „Vive le Peuple!”, „Morderczynie!” kontra „Nasze macice należą do nas!”). Zaraz potem pojawiają się mundurowi i cała zabawa skończy się w areszcie na Toffich.

Cywilni prowokatorzy już tu pewnie byli, przebrani za manifestantów. Jedni w tanich trzyczęściowych garniturach Monarchistów, inni w przepoconych T-shirtach Populistek. Zanadto muskularni jak na dziewczęta i z niezbyt dokładnie wygolonym zarostem... ale w podnieconym tłumie nikt nie zwracał uwagi na szczegóły.

Prawika od dawna fascynowała precyzyjna powtarzalność tego rytuału. Grupki kontestatorów schodzące się przy zmarnowanym czakramie, ich okrzyki, klótnie, czasem bijatyka, pojawienie się mundurowych, pierwsze wspólne hasła przeciwko Medialnej Demokracji i wreszcie sama interwencja.

Przebierańcy wypychali z tłumu najgłośniejszych krzykaczy prosto pod pałki plutonu interwencyjnego.

Po kilku minutach wokół zmarnowanego czakramu wszystko wracało do normy. Budy na sygnale odjeżdżały w kierunku Ronda Waniliowego, żeby tam skrócić w lewo i zatrzymać się z piskiem opon przed budynkiem aresztu.

„Medialna Demokracja”, pomyślał, „wydrażona kukła, której imię znaczy dzisiaj tyle samo co wszystkie pozostałe, co Istota Najśłodsza albo Tajemnica Spowiedzi”.

Właściwie tylko o nią poszło, o Tajemnicę Spowiedzi, gdyby nie ona, podpis Prawika widniałby teraz pod Konkordatem, a jego kariera rozwijałaby się w najlepsze. Życie nie stałoby się przeszkodą, o którą musiał się potknąć i od której teraz oddalał się wraz z każdym krokiem upartego marszu.

Im bliżej było do zmarnowanego czakramu, tym wyraźniej czuł, że traci swoje dawne zaufanie, jakim obdarzał Instytucję. Czy istniała szansa na to, że ocali choćby wiarę w Istotę Najśłodsza? Dziwne pytanie, dopiero teraz zadał je sobie po raz pierwszy. Czy Istota Najśłodsza naprawdę kiedykolwiek mu się objawiła, czy go potrzebowała? Jakie miał prawo, żeby w Nią wierzyć albo i nie wierzyć?

Niespodziewanie przypomniał sobie dzień, czy raczej noc, po której uznał, że wreszcie mu się objawiła.

Wycieczka po kwasie, którego porcję dał mu wcześniej Artur, zaraz po imprezie w Domu Harcerza, całonocne błądzenie opustoszałymi ulicami Dzielnicy Blokowisk. A właściwie pół porcji, bo drugą połowę Artur zachował dla siebie, co sprawiło, że Prawik, tak jak wiele razy wcześniej i później w swoim życiu, znalazł się na samym progu. I tam utknął.

Jak zawsze pojawił się lęk. Tym razem jednak towarzyszył mu głos: „Albo zaakceptujesz rozwiązanie i już teraz zobaczysz, co dla ciebie przygotowałam, choć ceną za to będzie

potępienie... wieczne potępienie”, nawet po kwasie głoś, który go przerażał, był znanym mu z przekazów religijnej tradycji, wysokim i wzbudzającym lęk głosem Istoty Najśłodszej, „albo poczekasz na swój czas, zachowując wolność, bo przecież twoja wolność to tylko... nieświadoma konieczność”.

Głos Istoty Najśłodszej? Czyj był naprawdę ten głos, do kogo należał? Równie dobrze mógł to być głos jego własnego panicznego strachu.

Ale Prawik miał wtedy pewność, że głos należy do Istoty Najśłodszej. Nabrał jej już rano, kiedy umierając z pragnienia, zatrzymał się przy pierwszym czynnym saturatorze i zamówił wodę z sokiem malinowym, swoim ulubionym. Wiara. Nagroda za to, że wytrwał, ścierając przez kilka godzin do krwi paznokcie i pięści na płytach chodnika. A wszystko po to, żeby tylko nie zajrzeć za zasłonę, nie przed czasem, który jest mu pisany, nie w takich okolicznościach...

Wychylił duszkiem jedną, a później drugą szklanek wody z sokiem i po raz pierwszy w życiu pomodlił się do Istoty Najśłodszej.

Tak bardzo potrzebował wtedy tego nawrócenia. Jego kontestacyjna młodość już się wypaliła, a na śmierć nie był jeszcze przygotowany. W Dzielnicy Blokowisk było wielu takich jak on, wczoraj kontestatorzy, następnego dnia neokatechumeni wiary w Istotę Najśłodsza. Niższe seminaria były ich pełne, ale Instytucja nigdy do końca im nie zaufała, właściwie tylko Prawik zrobił prawdziwą karierę. Zawrotną, można powiedzieć, przecież tylko krok dzielił go od głębokiego purpurowego fotela.

Co jednak myślał po tamtej nocy, nad ranem, kiedy wydostał się wreszcie z objęć kwasu? „Może nigdy nie będziesz wierzył naprawdę, tak jak należy, jak to robią inni. Istota Najśłodsza, o ile naprawdę istnieje, ofiarowała ci tak mało słodczy”.

„Więcej słodczy!”, błogosławieństwo Istoty Najśłodszej, to samo, którego udzieliła przed wiekami patriarsze Jakubowi, a które dla takich jak Prawik, co nie zaznali jej nigdy zbyt wiele, było najcięższym przekleństwem.

Pamiętał słowa kapłana przyjmującego jego pierwszą spowiedź. Ojciec Jacek, tylko przed nim Prawik przyznał się do psychodelicznych okoliczności swego z pozoru ortodoksyjnego Objawienia. „Głos, który do mnie mówił, był głosem Istoty Najśłodszej, jestem tego pewien...”. A wtedy ojciec Jacek powiedział mu, żeby już nigdy więcej nie brał narkotyków.

* * *

Dotarł w końcu na sam szczyt Wedelskiego Wzgórza. Szczyt był nieco płaski, jakby rozdeptany stopą nieuważnego olbrzyma. Prawik wtopił się w tłum, z którego przez cały czas rozbrzmiewały wrogie okrzyki: „Istota Najśłodsza jest stuprocentowym facetem!”, „Morderczynie!”, „Nasze macice należą do nas!”, „Viva el Rey!”, „Vive le Peuple!”, „Vive la

Revolution!”. Nie mógł znaleźć powodu, żeby krzyżeć razem z nimi, ale nie próbował się wydostać z gęstniejących szeregów.

I wtedy nagle poczuł, jak ukryci za jego plecami przebierańcy wypychają go przed krzyżących ludzi, prosto w kierunku wspinających się od strony ulicy Goplańskiej zdyszanych i wściekłych chłopców z plutonu interwencyjnego. Zanim się przewrócił, jego nogi po raz ostatni tego popołudnia zaplątały się w niepotrzebną sutannę. Był jednym z pierwszych, którzy trafili do budy.

* * *

Kilka dni później Prawik wystąpił z zakonu. Tyle jeszcze mógł zrobić dla Istoty Najśłodszej, chociaż Jej w niczym to nie mogło pomóc. Ani zaszkodzić, nie potrzebowała patetycznych gestów, była przecież źródłem nieskończonej słodyczy.

Później w jego życiu nadeszły dni wypełnione poszukiwaniem jakiejś stałej pracy. Zaczynały się i kończyły w kolejce do urzędu zatrudnienia. Trudno uwierzyć, że takie problemy miał właśnie on, człowiek kompleksowo wykształcony przez Instytucję, którego zdjęcie jeszcze nie tak dawno pojawiało się w gazetach holdingu. Zawsze opatrzone jakimś pochlebnym komentarzem, „najmłodszy w historii sekretarz Synodu”, „ten, który wynegocjował ostateczny kształt Konkordatu”.

Parę tygodni później jego zdjęcie znów miało się tam pojawić. Dlaczego redaktor Wiewiórka nie pozwolił o nim zapomnieć obywatelom Süssenlandu? Bał się go? A co takiego Prawik mógł mu teraz zrobić?

Nie na okładce, ale zawsze, duży materiał na szóstej kolumnie „Samej słodyczy”. O tym, jak pewien młody zakonnik uwierzył w Boga po kwasie.

Tu następowała opowieść, której jako jedyny wysłuchał przed laty ojciec Jacek. Prawik stał się pierwszą osobą, wobec której zastosowano tajną klauzulę Konkordatu.

Obszernemu tekstowi towarzyszyło wielkie zdjęcie jego twarzy, tym razem z dowcipnym podpisem „Xiądz wyznania psychodelicznego”.

Prawik był skończony.

Jego jedynym przyjacielem i powiernikiem stał się pewien Beż, kloszard zamieszkujący miejskie wysypisko, na którym Prawik w końcu zamieszkał, w wielkim kartonie po miętowych krówkach.

Beż każdego ranka złośliwie komentował wczorajsze wydania süssenlandzkich gazet. Ich płachty były zatłuszczone, pomięte, wyrzucone na śmietnik przez tych samych ludzi, którzy jeszcze parę godzin wcześniej wystawali po nie w długich kolejkach do kiosków z prasą.

Zajrzał Prawikowi przez ramię także tego dnia, kiedy na rozkładówce „Samej słodyczy” pojawiła się twarz byłego kapłana. Beż go rozumiał, sam był kiedyś nauczycielem, stracił

pracę po donosie złożonym na niego przez uczniów. Nie zaskarbił sobie ich sympatii, był, jak by to powiedziała filolożka z liceum Prawika, „za bardzo anachoretyczny”.

„Nic się nie martw, chłopcze”, pocieszył go, kiedy przecierając rękawem koszuli swoje potłuczone okulary, odcyfrował wreszcie podpis pod zdjęciem, „nieodwołalnie wkroczyliśmy już w wiek Kretyna”.

DZIKA GENETYCZKA

Ból w opuszcze serdecznego palca. Jasnoczerwona kropla spływa powoli po szklanych ścianach próbnika. Wszystko jest jak wtedy, w gabinecie szkolnej genetyczki, tylko że teraz ścianki naczyń są brudne. Jasnoczerwona kropla z trudem toruje sobie drogę przez ten brud.

Właściwie wszystko jest inne, nie tak naukowe. Całe to mieszkanie śmierdzi zabobonem. Tylko próbnik jest podobny, może starszy model.

Ale tamtą legalną wizytę Tadzik ma już za sobą. Jej efekt okazał się więcej niż rozczarowujący. W każdym razie rozczarował jego narzeczoną („będziesz nauczycielem polskiego?!”). To ona kazała mu odwiedzić dziką genetyczkę.

„Nauczyciel polskiego”, języka na wymarcu, no nie, ciągle nim mówią ci, którzy nie nauczyli się żadnego innego. Dziewięćdziesiąt pięć procent mieszkańców tego kraju.

Co z tego, że jest ich tyłu, liczba nie ma znaczenia, od dawna nie żyją przecież w demokracji.

Wszystko jest globalne: gospodarka, władza, nauka (trzy stały się jednym). Ale nie ma czegoś takiego jak globalny lud. Dziewięćdziesiąt pięć procent mieszkańców Ziemi zna wyłącznie swoje lokalne narzecza. Wprawdzie sieci telewizyjne produkują w nich większość swojej programowej oferty, ale jak jej odbiorcy mogliby kontrolować globalną gospodarkę, władzę, naukę; coś, czego nawet nie potrafią zrozumieć.

A w tym wszystkim on. W świecie wykluczonych będzie jednym z nich, nauczycielem polskiego. Będzie uczył wydziedziczonych ich niewykorzenialnego narzecza, żeby mogli później w tym języku negocjować ze światem wysokość swoich minimalnych wynagrodzeń. Minimalnych albo maksymalnych, co to za różnica. W świecie dziewięćdziesięciu pięciu procent jedne nie różnią się aż tak bardzo od drugich. Dopiero gdzieś wyżej rozciąga się bogata, wielowymiarowa rzeczywistość społecznych różnic, dopiero tam, na dachu ich świata, wyrastają wysokie kominy uposażeń.

Kolejne pokolenia jego uczniów będą umawiać się ze sobą w tym narzeczu, spiskować, wymyślać lokalne utopie. Właśnie dlatego język, którego ich nauczy, nie powinien być zbyt skomplikowany. Ułożone w nim proste, wręcz prostackie utopie (świat bez własności albo przeciwnie, świat drobnej własności, małych warsztatów i sklepów, rzemieślniczych i

kupieckich gildii) postawione naprzeciw skomplikowanego świata korporacji nie będą nawet musiały być ośmieszane, same osuną się w śmieszność.

* * *

W obecności kotów człowiek staje się spokojny, bardziej pogodzony z losem. Jak mawiał pewien lokalny wieszcz piszący po polsku? „Nie wiemy więcej niż koty”. Istotnie, Tadzik, jak większość Polaków, nie wie dzisiaj więcej niż one. To zabawne, nawet wychował się pośród kotów. Koty u babci i dziadka, koty w domu rodziców, to one stały się jego najbliższymi towarzyszami, w miarę jak pogłębiało się w nim rozczarowanie istotami należącymi do jego własnego gatunku. Ale tutaj, w mieszkaniu dzikiej genetyczki, nawet widok kotów go nie uspokaja. Kotłuje się ich tu chyba ze dwa tuziny, połowa chorych, niektóre ślepe, inne kulejące. Jest kilka takich, które leżą nieruchomo na podłodze, na wpół zdechłe, potrącane nosami przez bardziej żywych towarzyszy.

Spod starej, zniszczonej sofy, na której rozsiadła się tutejsza kapłanka, wylażą karaluchy. Uciekają odstraszone tupnięciem. Czasem bogini tego domu rozgniata kilka z nich. Już jednak po chwili te, które przeżyły, zapominają o zagładzie i wracają znowu. Jakby mdłe żółte światło lampy, które wywabia je spod sofy, było im naprawdę do czegoś potrzebne.

Szczyt rozczarowania do istot własnego gatunku przypadł dokładnie na dwudziesty rok życia Tadzika. Połowa studiów, kiedy po dwóch latach pogłębiania wiedzy ogólnej, w wigilię licencjatu, przychodzi czas na wybór dalszej drogi.

Słowo wybór jest tu nie na miejscu, od kiedy mieszkańcy tego świata nauczyli się dekodować własny los, złamali jego szyfr utrwalony w podwójnej spirali DNA.

* * *

Kiedy tu szedł, wszystko wydawało mu się trochę śmieszne. Dzika genetyczka to w końcu coś w rodzaju dawnej wróżki. Adres na Kazimierzu dostał od swojej dziewczyny. Jej najlepsza przyjaciółka posłała tam chłopaka, w szkolnym laboratorium dostał skierowanie do seminarium. Gra okazała się warta świeczki, druga wizja była różna od pierwszej. Sutanna okazała się mundurem i jej chłopak zostanie oficerem Straży. Oczywiście wizję, która dopadła go u dzikiej genetyczki, potwierdził test odwoławczy. Szkoła czasami przeprowadzała taki test, byli w końcu społeczeństwem otwartym.

Krępujące było już umawianie się przez telefon. „Wiesz przecież, chłopcze, że wynik mojego testu nie ma żadnej mocy...”, każdy to wiedział.

Później, kiedy już stał pod drzwiami, to, co wcześniej wydawało się śmieszne, stało się nagle upokarzające. Śmierząca klatka schodowa kamienicy, jednej z ostatnich komunalnych

na Kazimierzu. Wszystkie inne są już prywatne, znalazły się w rękach siedmiu rodzin, tych, które zmieściły się w pięciu górnych procentach.

Istnienie pięciu górnych procent zauważono najpierw w USA, później w Anglii, Kanadzie, a wreszcie tutaj. Z pokolenia na pokolenie, z dekady na dekadę pomiędzy nimi i pozostałymi dziewięćdziesięcioma pięcioma coraz szerzej otwierała się otchłań.

Dwieście lat demokratycznych złudzeń wreszcie się skończyło, skończyło się i nikomu nie chciało się ich podtrzymywać. Pieniądze, władza, kluczowe posady w mediach, wszystko gromadziło się w rękach pięciu górnych procent. Albo tak jak tutaj obsadziły je dzieci siedmiu rodzin.

Pozostali już ich nie dogonili. Nigdzie się nawet nie ruszyli, po prostu tkwili na swoich miejscach. W świecie zadekretowanego rozwoju nikt niczego przecież nie traci, to oznaczałoby dekonstrukcję i kryzys.

W takim świecie albo coś było czyjąś własnością albo pozostawało niczyje, wspólne. Pojęcie „wspólnoty”, tak samo jak pojęcie „społeczeństwa”, nie było już w cenie. Na nowy światowy porządek składały się wyłącznie jednostki. Co najwyżej rodziny, ale one były przecież emanacją jednostek. Były silne lub słabe w zależności od siły lub słabości jednostek, które je założyły (ojcowie założyciele, matki założycielki rodzin...).

„A siła jednostek kryje się w ich lędźwiach”. To taki biblijny aforyzm, a właściwie nie aforyzm, owoc negocjacji. Językowa hybryda, za pomocą której jeszcze przed pół wiekiem udało się pogodzić Zreformowany Kościół z ideą naukowego postępu, która wcześniej budziła w hierarchach zabobonny lęk.

W takim właśnie języku został napisany cały Konkordat, jakby czytało się wstępniak „The Scientist” przeredagowany przez Jahwistę albo na odwrót, Księgę Rodzaju przeredagowaną przez redaktora działu w „The Scientist”.

Siła jednostki kryła się w jej lędźwiach, w DNA, dlatego wszystko zależało od wyniku Testu. O dobry wynik Testu dla swoich dzieci modlili się rodzice. Tak, dwieście lat demokratycznych złudzeń naprawdę się skończyło i nikomu nie chciało się już dłużej kłamać w tej sprawie. Teraz kluczową rolę odgrywał dobry wynik losu. A los się dziedziczyło, tak jak dziedziczyło się błogosławieństwo. Czyż nie w tym celu Naród Wybrany wprowadził niegdyś ścisłe kryteria rasowej selekcji, czyż nie z tego powodu każda religia objawiona wyprodukowała Pismo, które wyglądało jak księga hodowli rasowego bydła?

Ludzie potrafią uświęcić wszystko, człowiek to istota wierząca. Potrafi zobaczyć Boga nawet w szeregach liczb, nawet w wynikach Testu.

Wystarczyło, że od wyniku Testu nie było odwołania, w każdym razie odrzucano 99,97 procent wniosków, a już skłonni go byli ubóstwiać na swój typowy sposób, składać mu ofiary ze swych pierwotnych.

Wszystkie dawne władze zlały się w jedną, pod patronatem świętej nauki o człowieku, Genetyki.

Każda ludzka religia obrasta jednak prędzej czy później w niewinne herezje. Skoro nie da się skorumpować Boga, można przynajmniej korumpować jego kapłanów. Albo mieć na boku jakiegoś innego Boga, pomniejszego, chociażby demona. Tak, może być i demon, jeśli ten pierwszy nic nam nie oferuje, a w każdym razie zbyt mało.

Niechaj będzie i demon, byleby tylko miał dla nas w zanadrzu jakąś obietnicę.

Genealogia dzikich genetyczek była prosta, wręcz prostacka, równie przejrzysta jak tajemnica ich popularności. Najczęściej były to dawne szkolne genetyczki przyłapane przez Straż na korupcji. Tutejszy Kodeks Karny nie jest surowy, udało się odeprzeć ataki konserwatystów na stanowienie prawa. Na odczepnego pozostawiono im ich ulubione „odwołanie do Boga”, przetrwało w preambule nowej Konstytucji, której głównym prawem i obowiązkiem obywatelskim stał się Test. Odwołanie do „Boga albo do Natury jako źródeł pochodzenia istoty ludzkiej, o której losie pełną informację zawiera jej DNA”.

Pewność egzekucji i tak jest ważniejsza od surowości kary. A egzekucja wyroków nauki jest dzisiaj powszechna, tak jak obowiązywanie jej praw.

Dawnym szkolnym genetyczkom, które nie okazały się godne, żeby egzekwować wyroki wiedzy, wolno korumpować się jawnie. Mogą przyjmować dary, tyle tylko, że wyniki przeprowadzanych przez nie testów nie nabierają przez to administracyjnej mocy.

* * *

Tadzio wstydzi się, myśląc o tym, do kogo przyszedł i po co. Wstydzi się zwitka pogniecionych banknotów, jakie przyniósł w darze. „Dar”, od niedawna państwo ściąga podatek od darów, które przyjmują od swoich klientów dzikie genetyczki. A to oznacza niemalże legalizację zawodu.

Tadzio wstydzi się, kiedy kropla jego krwi wędruje po brudnej ściance próbnika. Kiedy ostatni raz go myła, kiedy ostatnio sprzątała swoje mieszkanie w zrujnowanej komunalnej kamienicy na Kazimierzu?

Wstyd jest jego ostatnim uczuciem, kiedy przychodzi wizja.

Wizja jest skutkiem ubocznym. Kiedy wprowadzono Test, trzydzieści lat temu, nie było żadnych wizji, tylko szeregi liczb interpretowane przez panie w białych, odprasowanych kitlach. Potem wszystko zaczęło się zużywać, kitle pogniotły się i pobrudziły, a w marmurowej świątyni rozumu zakiełkowało ziarenko chaosu.

To ziarenko od samego początku leżało na zimnej posadzce, czekało tylko na swoją godzinę. Na przykład dlaczego właśnie kobiety, czemu tylko one? Intuicja, podobno ich interpretacje były dokładniejsze, sprawdzono to już na szczurach i małpach.

Genetyczki wykrywały przyszłe samce i samice alfa z dokładnością do 99 procent, wystarczył jeden rzut oka na wydruk z wynikami analizy DNA. Mężczyznom, nawet lepiej wykształconym, z większym naukowym dorobkiem, udawało się osiągnąć najwyższej

siedemdziesiąt procent. Na siedemdziesięciu procentach nie sposób zbudować społecznego ustroju. Potrzebna była większa pewność, dały ją kobiety.

Wizje pojawiły się dopiero kilka lat po wprowadzeniu Testu. Kiedy testowany widział szeregi liczb, które określały jego życie aż do końca, kiedy słuchał wygłaszanych obojętnym głosem interpretacji, wpadał w trans. Początkowo przydarzało się to nielicznym, później każdemu. W przypadku gatunku takiego jak ludzki wiara jest zakaźna.

Widziało się całe swoje przyszłe życie, najważniejsze sceny, najbardziej typowe, powtarzalne, często bez precyzji. Ale zawsze ciężar tamtej wizji spoczywał na testowanym bardziej nieodwołalnie niż suche liczby Testu. Właściwie całe późniejsze życie, dorosłe życie testowanego, stawało się poszukiwaniem fragmentów tamtej wizji, która przychodziła na niego, kiedy maszyna w gabinecie szkolnej genetyczki wypłuła już swój raport. I kiedy monotonnym głosem streszczała go dla niego kapłanka państwowej administracji.

Jakiś czas temu, kiedy Tadzik był jeszcze dzieckiem, rozeszła się plotka, że wizje przychodzą na nich za sprawą syntetycznych, odpowiednio sformatowanych halucynogenów, które podają im na swoich igłach szkolne genetyczki.

Oczywiście ta plotka miała plotką pozostać, nikt nie miał ochoty jej sprawdzać, dziennikarzy śledczych zajmowały inne sprawy. Ale w świecie takim jak ten, należącym do górnych pięciu procent, pozostałe dziewięćdziesiąt pięć nauczyło się korzystać z plotek.

Tym bardziej że to i tak niczego nie zmieniało. Nawet jeśli wizja była kłamstwem, było to kłamstwo zbawienne. Pomagało zaakceptować wynik Testu, szczególnie kiedy nie był satysfakcjonujący. A przecież trudno jest usatysfakcjonować prawie wszystkich.

Co zobaczył Tadzik, słuchając omówienia wyniku swego Testu kilka dni wcześniej, w szkolnym gabinecie?

Swoją przyszłą żonę i dzieci, twarze nie były wyraźne. Zobaczył także siebie, jak co miesiąc rejestruje spływającą na jego konto pensję etatowego pracownika budżetówki. Sobotnie wyprawy do hipermarketu wraz z całą rodziną. Hipermarket był jedynym miejscem, gdzie za swoją pensję mógł kupić naprawdę wszystko. Żona czasem narzekała na jakość, czasem narzekały dzieci. Ale to był tylko snobizm, zresztą z czasem dzieci przestały narzekać, podrosły i zaczęły wymykać się z domu. Poczul się zmęczony i stary, jego wizja dobiegała końca. Czas płynął coraz szybciej, wiek męski, wiek kłęski...

Będąc nauczycielem polskiego, znając odpowiednie cytaty, nawet takie życie potrafił zaakceptować jako część mitu. Może sam nie będzie herosem, ale także mity potrzebują statystów.

Leżąc na przykrytej białym prześcieradłem kozetce w gabinecie szkolnej genetyczki i oglądając „the best of” ze swojej biografii, dostrzegał w niej tylko te upokarzające rytuały. Były upokarzające, ale jednocześnie sprowadzały na niego spokój. Właściwie Tadzik pogodziłby się z wynikiem Testu, gdyby nie jego dziewczyna.

„Wiesz, ile zarabia dzisiaj nauczyciel polskiego?”, a potem jeszcze, kiedy nie wyczuła w nim żalu: „Polonistyka albo ja, polscy faceci, zawsze tacy sami...”. Wypowiedziała te kilka nieprzyjemnych słów, dlatego spróbował... oszukać Boga i prawo. Chciał się tylko dowiedzieć, czy warto będzie złożyć odwołanie.

* * *

Nie, jednak nie powinien był tutaj przychodzić, nie powinien grzeszyć. Los wszedł już przecież w jego ciało, a na zewnątrz nie było niczego, co mogłoby to zmienić. Żadnej przeszkody, wszystkie usunięte rękami nosicieli losu. Złudzenia, irracjonalne ambicje, sny... Wolność to nieświadomiona konieczność, ale jak długo można bronić się przed tą świadomością. Jak długo można pozostawać dzieckiem, niestrudzenie czekać na wizytę Świętego Mikołaja albo na przelot smoków w świecie, w którym na pewno ich nie ma. Został przecież przebadany aż do samych trzewi, odkurzono jego najbardziej mroczne zakamarki. W każdym z nich płonie teraz stuwatowa żarówka rozumu. W zalewającym wszystko elektrycznym świetle nie sposób dłużej się oszukiwać. Nie sposób nie dostrzec, że potwory poruszające się na ścianie jaskini to tylko cienie odpowiednio złożonych rąk.

Człowiek nie może jednak znieść ostrego światła, szczególnie kiedy przyszyto mu powieki i nie może nawet na chwilę zmrużyć oczu.

Zatem... dzikie genetyczki, dwuznaczna, niehigieniczna atmosfera, jak u dawnych wróżek, czar tajemnicy, powtórne ożywienie nadziei, która wydawała się raz na zawsze uśmiercona. Życie, nawet jeśli śmierdzi kocią szczyną i chrzęści deptanymi odwłokami owadów lęgnących się w brudzie. Nawet jeśli wygląda tak śmiesznie jak te pożółkłe numery katolickiego miesięcznika „Znak”. Upchane przez matkę czy babkę dzikiej genetyczki na wypaczonych półkach segmentu ze sklejki, mebla pochodzącego z drugiej połowy ubiegłego wieku.

„Miałeś kiedyś sny, Tadeuszu?”, pyta pochylona nad nim kobieta, „...sny, w których namawiałeś do czegoś jakichś innych ludzi?”.

Natychmiast sobie przypomniał, sen, a właściwie koszmar powracający przez całe dzieciństwo. Efekt krzyżówki oglądanych za wcześnie wojennych seriali i historycznych filmów dokumentalnych. Obóz, coś w rodzaju Auschwitz, Wielkiego Przestrzennego Pomnika Ofiar Przednaukowych Światopoglądów.

Ten pomnik znajdował się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od miasta, w którym on sam przyszedł na świat i którego do końca życia, jeśli wierzyć wizji, nie miał opuścić na dłużej.

W tamten jego koszmar wbudowany był także pejzaż, zawsze ten sam. W oddali, na horyzoncie, zaśnieżona Tajga. Kilka tysięcy ludzi stłoczonych za kolczastym drutem, wzdłuż którego przechadzają się uzbrojeni strażnicy z psami. On pośród więźniów, jest jednym z nich, tak samo jak pozostali czeka na zagładę. Los już się wypowiedział w ich sprawie.

Wszyscy zrezygnowani, tylko w nim narasta... sam nie wie co, z początku wydaje mu się, że to tylko strach. Ale później...? Także wiedza, tak, narastają w nim jednocześnie i wiedza, i strach. Na początku tylko się domyśla, a później ma już pewność. I krzyczy do nich (ale i do siebie): „To tylko sen! My tylko śnimy, nie bójcie się (nie wolno mi się bać), bo to tylko sen! Musicie (muszę) wreszcie się z niego przebudzić!”.

– Tak, miałem taki sen, psze pani. Jako dziecko miałem taki koszmar...

– Namawiałeś w nim swoich towarzyszy, żeby się...

– ...zbudzili... Wołałem też do nich w innych językach słowa, których nie rozumiałem...

– Co to były za słowa, czy je może pamiętasz?

– Erwache... reveillez vous... ale nadal nie wiem, co znaczą, ja nie znam obcych języków...

– Do tego samego przekonywałeś też siebie? Nie, ty byłeś już przekonany, w każdym razie bardziej przekonany niż oni...

Dzika genetyczka wpatruje się w niego z uwagą. Tadzio boi się tej uwagi, przez chwilę wydaje mu się nawet, że także w jej spojrzeniu pojawił się lęk.

– Widzisz – mówi genetyczka – to jest prawdziwy głos twojej krwi, ukryty niezbyt głęboko pod przypadającym ci z pozoru losem...

Potem wypowiada jeszcze kilka słów, ale Tadzik już ich nie słyszy, bo zaczyna się wizja. Jest niepodobna do pierwszej, choć z tamtą wiąże ją to samo miejsce i czas.

* * *

W świecie, w którym wiemy wszystko na swój temat, wystąpienie przeciwko tej wiedzy...

On jednak wystąpił, jeszcze na polonistyce zaczął zbierać wokół siebie niezadowolonych...

...Na początku archiwizowali tylko przykłady błędnych wyników Testu, organizowali samokształcenie, przekonywali siebie i innych, że genetyka tak naprawdę nie daje absolutnej pewności...

...potem Tadzik znalazł pisma Łysenki i Miczurina, wpadł na nie w zapomnianych zbiorach, czytał je w nieodwiedzanej przez innych studentów czytelni mikroform...

...odnalazł w nich potępione przez współczesną naukę dowody na to, że poprzez wychowanie można zmienić odziedziczony los, jeśli tylko jednostkę i zawartość jej lędźwi uzupełni się oddziaływaniem... społeczeństwa...

...”Społeczeństwo”, jeszcze jedno słowo, któremu on i jego towarzysze postanowili przywrócić jego dawny blask. Symbolem założonego przez nich ruchu stała się wierzba rodząca soczyste czerwone jabłka, w ogromnym, gęstym sadzie, pośród innych drzew...

...Potem pierwsze represje, jak zwykle spóźnione, ruch się rozwija, kolejne prześladowania już go tylko wzmocnią...

...i nagłośnią, w całym kraju pojawiają się tacy, którzy chcą mówić w imieniu dziewięćdziesięciu pięciu procent...

...Wreszcie wybucha powstanie, cały kraj zostaje wyzwolony od Testu. Tadzik urządza na Wawelu... tyle że oprócz tego kraju jest jeszcze cały ogromny świat...

...Interwencja w celu przywrócenia Testu, pod sztandarami Organizacji Zjednoczonych Ostatnio Narodów, pośród gwizdu bomb... jego szyderstwo w ostatnim transmitowanym przez radio przemówieniu do narodu, że „Polska nigdy nie zniknie w OZON-owej dziurze”...

...krąży sam pomiędzy marmurowymi grobami pechowców, którzy próbowali wcześniej, jak smakuje wolność w jednym małym kraju...

...Opuszczony przez wszystkich po krótkiej kampanii, zanim wpakuje sobie w łeb srebrną kulkę, krzyczy do swego adiutanta, zachwyconego nim spiętego chłopca w szarym harcerskim mundurze: „Wolałbym być nauczycielem polskiego niż Bogiem, ale teraz... nie mam już wyboru!”...

...srebrna kulka, pieczołowicie dopasowana do komory naboju w służbowym pistolecie Wodza, jakby sam Wódz od samego początku przeczuwał swój koniec albo jakby też uważał się za wampira, jakim go od miesięcy przedstawiano w polskojęzycznej rozgłośni OZON-u nadającej z terytorium Portugalii, w Radio Free Albemuth...

Z wizji, jak z koszmaru, budzi go ten jego własny krzyk. „Wolałbym być nauczycielem polskiego...”

* * *

Leży w fotelu z głową odchyloną do tyłu, z kącika ust ścieka mu wąska strużka śliny. Mały kanalik białej piany prowadzi ku brodzie, chłopięcej, prawie bez zarostu, z której zwisa ku ziemi coraz cięższa kropla. Gałki oczne Tadzika tańczą pod cienką, prawie różową błoną jego powiek.

Dzika genetyczka patrzy na niego bez ciekawości, zdążyła przyzwyczać się do tego widoku. Testowani zawsze wyglądają tak samo, bez względu na to, czy wizja dopada ich w aseptycznym szkolnym gabinecie czy tutaj, w mieszkaniu na Kazimierzu, dokąd ją zesłano.

Nie skupia się na Tadziku, jest myślami gdzie indziej, tam gdzie zawsze, we wnętrzu własnej wizji, o której wie, że już na zawsze pozostanie jej prywatnym więzieniem. Jej wizja to uporządkowany świat nauki, nawet jeśli ona sama, kiedy popatrzy wstecz na własne życie, czuje się tak, jakby była w tym świecie jakimś obcym ciałem.

„Wiemy o nich wszystko, już kiedy do nas przychodzą. Dostajemy ich teczek. Ta pobieżna analiza DNA jest w gruncie rzeczy tylko retorycznym chwytem. Retoryką tej władzy, każda władza ma jakąś, jest język nauki. W gruncie rzeczy zawsze chodzi tylko o to, żeby dziewięćdziesiąt pięć procent potrafiło pogodzić się ze swoim życiem”.

A nie jest to łatwe, kiedy się należy do dziewięćdziesięciu pięciu procent. Ich nie stać na nirwanę, nie są dziećmi hinduskich królów, hinduskich ani żadnych innych. Ich losem nie będą służbowe auta i władza, ta dająca poczucie spełnienia odpowiedzialność za innych. Oni nie będą odpowiadać nawet sami za siebie. Spędzą życie przed telewizorem z kubłem popcornu na kolanach, w łóżkach z żonami, które już dawno przestały myśleć o dzieci.

„Analiza DNA potwierdza tylko to, co przecież i tak wiemy o nich od zawsze. Odwieczny spór pomiędzy dziedziczeniem i wychowaniem rozstrzygnął się wreszcie, my go rozstrzygnęliśmy. Trwające od dwustu lat złudzenie wreszcie się skończyło. Emancypacja...”, zawsze przy tym słowie dzika genetyczka uśmiecha się drwiąco, szczególnie kiedy wypowiada je w myślach. Słowo jest wtedy nieme, zdradza je tylko epifenomen jej krzywego uśmiešku. „...Sami jesteśmy naszą wolnością, nie przerastamy jej nawet o centymetr ani nie musimy do niej dorastać. Jesteśmy naszym losem i nic nie stoi nam już na przeszkodzie. Jednak zamiast godzić się na to...”

Zawsze za dużo myślała, a już zwłaszcza wtedy, kiedy była młoda. Ale kiedy to było... Teraz była stara, jej młodość nie przetrwała procesu.

Falszowała wyniki, nawet nie za pieniądze. Jak anioł Szemkel, czarny i nerwowy, także ona próbowała przemycić do lepszego świata... nie, nie dusze, ale ciała, które dopiero miały zacząć żyć. Naiwna, kim się samej sobie musiała wydawać, żeby fałszować wyroki ostatecznego sądu nauki?

Krótko po dyplomie przez chwilę uwierzyła, że szkolna genetyczka to ktoś, kto ma władzę nad losem, komu wolno szmuglować ludzi przez granicę pięciu górnych procent i nikt tego nie zauważy.

Ale teraz nie jest już młoda, znów ogarnia ją złość. Rozgniała karalucha, który próbował się wspiąć na jej przydeptany pantofel. Potem jeszcze raz patrzy na Tadzia. Doskonale zna pejzaż, po którym wędrują jego oczy, wyrysowany po wewnętrznej stronie powiek. Ale ona w przeciwieństwie do tego pogrążonego w swojej wizji chłopca wie, teraz wie już na pewno, że ten pejzaż jest tylko złudzeniem. Zawsze nim był.

Wstaje i wychodzi do przedpokoju. Tam, na komodzie przykrytej poźółkłą serwetą, stoi telefon. Jest czarny, z bakelitu, dzisiaj nie robią już takich. Ten sprzęt ma współtworzyć charakter miejsca, został wybrany przez scenografów Straży.

Dzika genetyczka podnosi słuchawkę i wykręca numer. Nie musi go sprawdzać, już od dawna zna go na pamięć, a poza tym numeru, na który dzwoni, nie ma w książce telefonicznej.

– Mam dla was kogoś – mówi cicho. – Jeszcze jeden freedom fighter...

Potem odkłada słuchawkę na widelki i długo patrzy w lustro. Tam, w tafli żółtego światła, stoi pięćdziesięcioletnia blondynka ze śladami dawnej urody na twarzy. Tylko ten obwisły policzek, konsekwencja nieleczzonego zapalenia nerwu. Nabawiła się go wtedy, podczas

ciągnącego się całymi miesiącami śledztwa. Prawy kącik ust zawsze trochę niżej. Od tamtego czasu każdy jej uśmiech wygląda jak flaga państwa w żałobie, opuszczona do połowy masztu.

Dzikiem genetyczki nie stać na dobrego plastyka. Nie stać jej na żadnego, szczególnie teraz, kiedy ministerstwo finansów zdecydowało się pobierać czterdziestoczworoprocentowy podatek od darów.

Z braku forsy zmienia się także styl. Kiedyś, w młodości, nosiła czarne skórzane spódnice. Obcisłe, podkreślały jej figurę, którą też miała wtedy lepszą. Teraz jej służbowy kostium to frotowy szlafrok niedbale przewiązany paskiem. Tylko biznes women, takie z telewizji, mają jeszcze co podkreślać po pięćdziesiątce.

– Wszyscy w tym siedzimy – mówi sama do siebie – Dania jest więzieniem.

* * *

Pół godziny później Tadzio wreszcie się budzi. Przeciera załzawione oczy, a w jego głowie powoli cichnie huk wystrzałów i gwizd odrzutowców zrównujących z poziomem morza Wawelskie Wzgórze, już wcześniej niewysokie.

Ale on nadal pozostaje więźniem swojej wizji. Testowany pozostaje nim przez całe życie, tej czy tamtej, zresztą mało kto poznał tak jak on więcej niż jedną.

Nie powinien był tu przychodzić, teraz wie o tym tak samo dobrze jak dzika genetyczka. Tylko że teraz jest za późno, nic już tego nie zmieni.

Jak brzmiały słowa, które wybudziły go z jego koszmaru? „Wolałbym być nauczycielem polskiego niż Bogiem, ale... nie mam już wyboru!”

A on, teraz, kiedy skończyła się wizja, czy ma jeszcze wybór?

Nagle spotyka spojrzenie, uważne spojrzenie dzikiej genetyczki. Znowu przepływa przez niego fala zupełnie niezrozumiałego strachu. Żegna się zdawkowo. Nie chce wypić zaproponowanej mu szklanki herbaty. W przedpokoju, koło telefonu, kładzie odliczony zwitek banknotów.

– To dla pani – mówi cicho, ze wstydem. – Pięćset złotych, chyba będzie dobrze...

Kobieta wie, że nie zdoła zatrzymać go dłużej. Sprawdza godzinę na ściennym zegarze, od jej telefonu minęło dokładnie trzydzieści pięć minut.

Tadzio zdejmuje z wieszaka w przedpokoju swoją jesionkę, jest szarobeżowa, jak większość ubrań, które kupili mu rodzice.

– Do widzenia pani – przez całe życie był grzecznym chłopcem, był nim także w jednej z dwóch wizji, w tej pierwszej. – Do widzenia pani – powtarza jeszcze raz, żeby się upewnić, że ona go słyszy.

* * *

Otwiera drzwi i wchodzi w ciemność klatki schodowej. W miejscach takich jak to pod sufitem nie pozawieszano jeszcze stuwatowych żarówek rozumu. Kiedy wypuszcza z ręki klamkę zamykanych drzwi, czuje silne uderzenie w tył głowy. Do jednej ciemności ktoś dodaje drugą, jest o wiele głębsza.

Dwaj mężczyźni przerzucają bezwładne ciało Tadzika przez poręcz schodów jak worek. Worek jest ciężki, łąduje cztery piętra niżej z głuchym łoskotem. O tej porze i tak nikt nie otworzy drzwi, żeby sprawdzić, co to za hałas. Nie tutaj, gdzie od tylu lat panuje głęboka ciemność.

– Jeszcze jeden freedom fighter, kurwa jego mać... – Starszy mężczyzna, bardziej doświadczony przez życie, spluwa przez zęby prosto w mroczną sztolnię schodów. Jest emerytowanym bokserem zatrudnionym przez Straż, właściwie alkoholikiem... O swoim życiu mógłby długo opowiadać...

TELEWIZJA BABILONU

Śmierć doktor-porucznika

Bliski Wschód jesienią dwa tysiące pięćdziesiątego czwartego roku to naprawdę nie było przyjemne miejsce. Brudne bomby islamskich terrorystów i czyste bomby Tsahalu zmieniły w radioaktywną pustynię większą część regionu. Inteligentne bomby korpusu pokojowego dokonały reszty. Kolebka zachodniej cywilizacji przypominała teraz jej trumnę. Może nią zresztą była, jeśli wziąć pod uwagę koszty akcji odwetowych przeprowadzonych przez Dżihad w kilku miastach Wschodniego Wybrzeża. W gruncie rzeczy nikt nie wiedział na pewno, czy te ostatnie były dziełem Dżihadu, czy może Ravena i jego Gotów. Trudno było to ustalić w świecie, w którym każdy podszywał się pod każdego.

Tak czy inaczej, pewnego dnia wyparowała nowojorska giełda, a w ślad za nią ulotnił się wzrost gospodarczy i globalny optymizm.

Do tego turystyka. Drugi w kolejności po mediach sektor gospodarki przestał po prostu istnieć. Ludzie rzadko ruszali się sprzed telewizorów, robili to tylko wtedy, gdy prezenterzy news oper mówili im, że zagrożenie terrorystycznym atakiem obniżyło się do poziomu pomarańczowego. Ale to zdarzało się tylko w dobrze strzeżonych stolicach Zachodu, a nie na Bali, w Nairobi czy Dżakarcie, gdzie rozwrzeszczane stada małp urządziły sobie pikniki w opustoszałych pięciogwiazdkowych hotelach.

Ludzie w ogóle coraz rzadziej ruszali się sprzed telewizorów, co z kolei przynosiło krocie macherom od show-biznesu. Niestety, nawet oni nie byli w stanie przejąć rynku osieroconego przez firmy turystyczne, linie lotnicze, przez ubezpieczenia...

U Polaka, a przecież Michael Frühling ciągle nim był, Bliski Wschód nie budził przyjemnych skojarzeń także z innego powodu. Ciała czterech tysięcy żołnierzy polskiego korpusu ekspedycyjnego zostały w piaskach otaczających ruiny Babilonu. Nikt ich nie pochował, każda wyprawa na tereny, gdzie skażenie radioaktywne przez kilka następnych wieków miało znacznie utrudnić wszelkie odwiedziny, oznaczała gigantyczne koszty.

Rzeczpospolita nie miała takich pieniędzy do wydania nawet teraz, kiedy już od pół wieku była częścią zachodniego świata.

Kiedy podobni do niego archeolodzy z Uniwersytetu Warszawskiego, dorabiający do pensji na niejawnym etacie Fundacji, będą mogli wreszcie tutaj pomyszkować, metalowe znaczki identyfikacyjne, guziki z orzełkiem w koronie staną się taką samą atrakcją jak dzisiaj drobne z epoki Wespazjana. No i będzie je można bezpiecznie umieścić w gablotach tego czy innego muzeum miasta stołecznego Warszawy. O ile takie miasto będzie wtedy istniało. I o ile będą w nim jeszcze jakieś muzea.

Teraz nie warto było transportować tych guzików na żadną wystawę. Zwiedzający oprócz filcowych kapci musieliby zakładać antyradiacyjne kombinezony.

A w samym środku tego bliskowschodniego bajzlu oni, niewielka ekspedycja archeologiczna sfinansowana przez Fundację Jeden Wspólny Świat. Druga z kolei, bo pierwsza, ta, która dotarła do zwojów, zakończyła działalność wraz ze śmiercią jej szefa, doktor-porucznika Jana Potockiego.

To nawet nie Potocki wykopał te zwoje. Po prostu dzięki swoim nieprzerwanym depresjom, które przekreśliły jego karierę w warszawskich biurach Fundacji, ale tutaj, w terenie, wzbudziły do niego zaufanie u równie jak on depresyjnych semickich handlowców, zdołał domknąć łańcuch pokarmowy swoich poszukiwań. Stał się jego ostatnim ogniwem. Pierwszym był jakiś z marines generała Weisskopfa. Na suku w Jerozolimie, najmniej radioaktywnym z miast Bliskiego Wschodu, wymienił zwoje wykopane przypadkiem przez chłopców z jego kompanii podczas budowy umocnień nad Morzem Martwym na psychodeliczne syntetyki, z których sływał teraz cały region. Tabletki Rashida, hostia Mustafy... po pół wieku stacjonowania tutaj chłopców z korpusu pokojowego miejscowi nauczyli się zaspokajać wszystkie potrzeby białych ludzi.

Zresztą kilkadziesiąt lat stacjonowania w regionie wystarczyło, żeby także marines przystosowali się do tutejszych obyczajów. Czy raczej do ich braku, bo przecież z ich punktu widzenia Bliski Wschód pozostawał Sodomą i Gomorą. Ani Episkopalnego Kościoła jak u nich, w Karolinie Północnej, ani Prezydenta i Kongresu. Za to dziewczynki i chłopcy za pół darmo, wylewające się ze wszystkich zaułków dragi, a poza tym nieskończoność sekt i dziesiątki rozmaitych dżihadów. Te na co dzień nie były groźne, dziesiątkowały się wzajemnie, ale od święta, w porze Ramadanu, urządzały sobie wspólne polowania na obcych.

* * *

Dlaczego doktor-porucznik nie doprowadził do końca swojej tak efektownie rozpoczętej misji, dlaczego strzelił sobie w głowę ze służbowego pistoletu? Michael Frühling żałował, że nie zdążył wystarczająco dobrze poznać swego kolegi. Choć wcześniej uważał, że i tak zna go lepiej, niż by chciał, niż było mu to do czegokolwiek potrzebne. Kiedy Potocki przed

dwudziestu laty zaczął pracować w Fundacji Jeden Wspólny Świat, nie dopasował nawet swojego nazwiska.

Trudno się dziwić, że pozostał tylko porucznikiem, doktor-porucznikiem, podczas kiedy Frühling, dużo młodszy od niego, o wiele krócej w służbie, był już docent-kapitanem.

Michael pracował w Fundacji od siedmiu lat, został zwerbowany jeszcze na piątym roku studiów. Kiedyś nazywał się Michał Majewski, ale ze względu na specyfikę tej pracy dopasował trochę swoje nazwisko i imię. Wszyscy tak robili, no, może prawie wszyscy, szef nie będzie przecież łamał sobie języka, każąc sekretarce wezwać do siebie... „Migala?”... „Miszala?”... Magiepfisiko?”.

Frühling nigdy nie potrafił zrozumieć swojego kolegi. Po co przeciwstawiać się temu, co i tak nieuchronne. Szczególnie, jeśli nie ma się dla świata ciekawszych propozycji. O tym, że Potocki nie ma nic do zaoferowania, można się było bez trudu przekonać. Utalentowany, ale marnujący swoje zdolności na wszystkie możliwe sposoby. Specjalista od małżeństw kończących się rozwodami. Zaliczył ich cztery, co nie było dobrze widziane w neokonserwatywnej Fundacji. A w dodatku palił, niestety, nie były to papierosy z pocziwym, nieodfiltrowanym sarmackim tytoniem...

Ratowało go wyłącznie to, że poza rozwodami specjalizował się także w językach Wschodu, żywych i martwych, znał się na nich naprawdę dobrze. Ale przecież nie musiał opowiadać wszystkim w kantynie, że Asasyni byli tak naprawdę Haszyszynami i jaką rolę w funkcjonowaniu tych jednostek specjalnych dawnego świata islamskiego odgrywały dragi.

– Każda cywilizacja ma swoje używki, nasza jedzie na wódce, tytoniu i kawie, musisz się z tym pogodzić. – Taką oto złotą myślą podzielił się z nim kiedyś Michael. Chciał go tylko trochę uspokoić, Potocki miał swój kolejny odlot w kantynie Fundacji, na oczach przełożonych i podwładnych leczących kaca pomidorówką, którą podano akurat jako zupełną dnia. Jedynie doktor-porucznik nie śmierdział nieprzetrawionym alkoholem. Spuchnięte oblicza innych oficerów siedzących przy stole pozwalały nie snuć na ich temat jakichś nadmiernie skomplikowanych podejrzeń.

– Każda cywilizacja ma swoje używki, a my jesteśmy teraz częścią Zachodu, jego obrońcami, żołnierzami, strażnikami przedmurza – pouczał dalej.

– Teraz – doktor-porucznik od razu podchwycił wtedy to jedno słówko, jakby rzeczywiście w nim zamykała się wiedza o charakterze docent-kapitana Frühlinga, z którym lepiej urodzony Potocki przegrywał każde współzawodnictwo i za którym powoli, ale systematycznie pozostawał w tyle. – Teraz – powtórzył drwiąco. – Ale jeśli jutro na to wasze obrotowe przedmurze przybędzie jakiś Kublaj Chan, ciągnąc za swoją armią wielbłądy objuczone doskonałym czarnym afganem, to wtedy ty i ci twoi koledzy... – obrzucił wzrokiem skacowane twarze dookoła stołu – ...będziecie się dopiero musieli uczyć nowych dworskich manier, podczas kiedy ja znajdę się od razu na samym szczycie.

Właśnie za takie popisy nie lubiano go w Fundacji. Jakby wciąż dawał do zrozumienia, że jest kimś lepszym, podczas gdy w rzeczywistości, nawet jeśli przyjąć stosowane tutaj tolerancyjne kryteria, był kimś dużo gorszym.

* * *

Teraz jednak Michael musiał zrozumieć Jana Potockiego, swojego kolegę ze służby, którego tak naprawdę nigdy nie polubił. Rozgryźć jego chory umysł, przegniły orzeszek z nie wiadomo jakim świństwem w środku. Od tego, czy mu się uda, zależała dalsza jego kariera.

Na sporządzenie raportu pozostała mu tylko jedna noc, a właściwie poranek, bo noc już się kończyła. Tymczasem całym materiałem, jakim dysponował po dwóch tygodniach działań operacyjnych, był osobisty dziennik doktor-porucznika. No i to jego wielkie odkrycie, zwoje z tekstem apokryficznej Apokalipsy świętego Jana, które do dnia swojej śmierci doktor-porucznik zawsze trzymał przy sobie.

Potocki z nikim nie rozmawiał o swojej zdobyczy. Tuż przed samym końcem wysłał tylko do warszawskiego biura Fundacji kilka mejli, w których ostrzegał, że ujawnienie treści zwojów zachwieje „całym światowym porządkiem” i zastąpi go czymś, czego już na pewno nie będzie można nazwać porządkiem, nawet w najbardziej ironicznym sensie tego słowa.

Podwładni doktor-porucznika zdążyli nawet wysłać zbiorowy raport, w którym domagali się odwołania Potockiego do kraju. Pozytywna odpowiedź dotarła jednak z centrali dopiero, kiedy ich dowódca już nie żył.

Ciało znalazł kapelan, misjonarz werbista, frère Jacques. Był tak poczciwy, ze swoją podgoloną głową, z dobrymi radami, które miały zastąpić im psychoterapię, że wszyscy nazywali go po prostu bratem Jackiem. Zresztą tak właśnie miał kiedyś na imię, zanim zwerbowała go Fundacja, brat Jacek Wiśniewski, a nie żaden frère Jacques Cerisier.

Może właśnie dzięki prostocie brata Jacka utajniony raport ze zdarzenia, jego autorstwa, który leżał teraz na stoliku w namiocie Frühlinga, pośród innych dokumentów i dowodów rzeczowych, był taki konkretny. Czytając go po raz kolejny, Frühling znów miał wrażenie, że bierze do ręki fotografię wykonaną na miejscu zbrodni.

Zaraz po tym, jak usłyszeliśmy wystrzał, rzuciliśmy się wszyscy mimo późnej pory w stronę namiotu doktor-porucznika. Wszedłem tam pierwszy z zapaloną latarkę, inni podążali za mną. W namiocie panował porządek, ubrania i wszystkie papiery były na swoim miejscu. Nic nie pozwalało podejrzewać, że miała tu miejsce taka straszna tragedia. Dopiero w najdalszym kącie namiotu, tam gdzie stało łóżko Potockiego, zobaczyłem ten okropny widok. Doktor porucznik był odwrócony twarzą do ściany namiotu, ubrany w swój dziwaczny amarantowy szlafrok narzucony na białą wojskową bieliznę. Jego mundur, złożony w kostkę, leżał obok łóżka.

Jego głowa, oparta na dwóch poduszkach ułożonych jedna na drugiej, pozostawała w mroku. Dopiero kiedy skierowałem na nią światło latarki, zobaczyłem obraz, którego nie zapomnę do końca życia. Nachyliłem się, żeby zobaczyć twarz, ale nie pozostało z niej wiele. Strzał oddany z bliska zamienił ją w krwawą miazgę. Nienaruszony był tylko sam szczyt czaszki, z dużym fragmentem tkanki mózgowej, która jakby jeszcze lekko drżała.

Ta czaszka wyglądała jak resztki potłuczonej wazy, z której zdążyła się wylać większa część zawartości. Na ścianie namiotu, na podłodze, wszędzie dookoła nas widać było kawałki mózgu. Jeden z kolegów poślizgnął się i o mało nie zemdlął. Abominatio desolationis!!!

Zachowując przytomność umysłu, obejrzałem stolik, przy którym doktor-porucznik miał zwyczaj pracować. Nie było tam ani zwojów, ani jego dziennika. Żadnej kartki z ostatnią wolą, a tylko coś, czym musiał się zajmować do ostatniej chwili. To znalezisko przeraziło nas wszystkich bardziej niż kawałki mózgu, na których ślizgały się podeszwy naszych butów. Na stoliku leżały kartki formatu A-4 wyjęte z drukarki. Doktor porucznik do ostatniej chwili szkicował na nich ołówkiem jakieś groteskowe kształty. Były to węże, czy raczej smoki o ciałach węży. Każde z tych stworzeń wbijało zęby we własne ciało, w swój własny ogon. Niektóre z nich wyginały się przy tym, tworząc prawie regularne koło. Realizm, z jakim przedstawiono te nieistniejące przecież istoty, sprawił, że zarówno mnie, jak też innym obecnym w namiocie żołnierzom ciarki przebiegły po plecach...

Tyle nasz braciszek, pomyślał docent kapitan. Ten raport z miejsca zdarzenia był jednak precyzyjny, „ani zwojów, ani dziennika”, a więc od tego musieli zacząć przed dwoma tygodniami, od ich odzyskania. Dziennik był tam przecież na pewno w chwili jego śmierci, Potocki rzadko się z nim rozstawał. Czasem terapeutom Fundacji udawało się zajrzeć do niego bez wiedzy i zgody autora i zawsze znajdowali kolejne kłępujące wspomnienia z dzieciństwa doktor-porucznika. A każdy zapis zaczynał się od tych samych słów, „mój drogi dzienniczku...”.

Przy zwłokach nie znaleziono także zwojów. To, że oba przedmioty, których wartości Frühling nadal nie potrafił oszacować, znajdowały się teraz, po dwóch tygodniach intensywnych działań operacyjnych, na stoliku w jego namiocie, było zasługą dziewcząt i chłopców, którymi dowodził. Dwoje spośród nich przypłaciło życiem ten wątpliwy sukces, a trzeci, dzielny magister-sierżant Peter Pear (kiedyś Piotrek Grucha), będzie musiał spędzić resztę życia na wózku.

Odciski palców znalezione w namiocie Potockiego, zeznania wyciśnięte z palestyńskiej obsługi bazy, gonitwy i strzelaniny w labiryncie wąskich uliczek starej Jerozolimy. Rosyjska mafia, skretyniali fanatycy z Dżihadu, a wreszcie Alice, piękna biała gejsza z hotelu „Quatre Saisons” w Starej Jerozolimie, która okazała się Gotką przyslaną tutaj właśnie po zwoje. Frühling podejrzewał ją o to od pierwszego wejrzenia, ale sprawdzenie tego kosztowało życie magister-sierżanta Johna Blake’a, poczciwego chłopca o blond włosach i słabej głowie,

nienawykłej do wódki, który dorastał na Górnym Mokotowie. Po paru kieliszkach kazał do siebie mówić Jasiu, Jasiu Czarniecki albo po prostu Blackie.

Było tu dość materiału na scenariusz kolejnego Bonda („który to już będzie?”, zastanowił się Frühling). Ale on nie przyjechał tutaj, żeby wymyślać scenariusze kina akcji, powierzono mu ważniejsze zadanie, a czas, w którym musiał je wykonać, właśnie się kończył.

Władze Fundacji obdarzyły go zaufaniem, pokładały w nim wielkie nadzieje, doceniły jego zaangażowanie i talent. Może nie taki jak Potockiego, ale z nadwyżką uzupełniony przez wpojona mu przez rodziców samodyscyplinę i pracowitość, których to cech jego martwy kolega nigdy nie posiadał.

Zlecone Michaelowi zadanie w migowym języku firmy oznaczone zostało symbolem „zamkniętego dzioba”. Znak zamkniętego dzioba wykonywało się przy pomocy obu dłoni, jedna poruszała się jak kłapiący kaczki dziób, który druga unieruchamiała, zakładając na niego kłamrę. „Ani pary z gęby”.

Kadra oficerska używała języka migowego wzorem menedżmentu wszystkich globalnych korporacji. Od kiedy przez zachodni świat przetoczyła się epidemia dysgrafii, posługiwanie się językiem migowym stało się po prostu pewniejsze, szczególnie kiedy przekazywana informacja nie powinna była pod żadnym pozorem ulec zniekształceniu. Nie wszyscy muszą umieć pisać i czytać, skoro w użyciu są proste znaki migowe.

Potocki powiedział mu kiedyś, podczas którejś z licznych sprzeczek, że język migowy globalnych korporacji jest odpowiednikiem hieroglifów, które w podobnych celach stosowali kapłani i urzędnicy dawnego Egiptu. Frühling nie lubił takich analogii, sięgały zbyt daleko.

To dziwne, że oni dwaj, którzy wcale za sobą nie przepadali, tak bardzo lubili się kłócić. Nie umknęło to uwadze personalnych Fundacji. Właśnie tym kłótniom zawdzięczał swoją misję. Misję, która miała naprawić, zatrzeć konsekwencje katastrofy spowodowanej przez nagłą, absurdalną śmierć doktor-porucznika.

Szefowie warszawskiego biura potrafili także mówić, a nawet argumentować, szczególnie w obecności tych swoich podwładnych, którzy tak jak Frühling umieli ich słuchać. „Ani pary z gęby, kaczki dziób zatrzaśnięty kewlarową kłamrą. Dość mamy kłopotów bez tej nowej apokalipsy znad Morza Martwego. Świry z Dżihadu albo Raven i jego Goci każdy bełkot potrafią przerobić na znak dany im od Boga”.

Pouczenie, jakiego wysłuchał w dniu wyjazdu na Bliski Wschód od samego profesor-generała UrbanLubomirskiego (obie rodziny połączyły się już dawno, ale potomkowie tego mezaliansu ciągle zachowywali podwójne nazwisko), było nieprecyzyjne. O ile „świry z Dżihadu” rzeczywiście przerabiały każdy bełkot na znak dany im od Boga, to Goci Ravena interpretowali cały bełkot współczesności, szum tego czasu, jako Bożą nieobecność, a w najlepszym razie jako Boże szyderstwo. Nie można powiedzieć, żeby liczne ostatnio Objawienia specjalnie ich pociągały, żeby szukali w nich jakichś gwarancji czy wskazówek.

W przeciwieństwie do swoich przyjaciół z Dżihadu, przyjaciół, bo czasami pracowali razem, Gotów fascynowała wyłącznie teologia negatywna.

Ten, który szydzi

Tak czy inaczej, apokalipsa była teraz tematem na czasie. Zbyt aktualnym, żeby Fundacja Jeden Wspólny Świat, będąca zbrojnym ramieniem Globalnego Centrum Antykryzysowego, mogła wypuścić z ręki zwoje wykopane przez marines nad Morzem Martwym.

Apokalipsa stała się trefnym towarem, szczególnie od momentu, kiedy leitmotiwem swojej publicznej działalności uczynił ją Christopher Raven.

Kim był Raven? Człowiekiem czy całą organizacją? A może tylko mitem, maską nakładaną na twarz w razie potrzeby przez każdego psychopatę albo manipulacją dziennikarzy należących do sprawnej orkiestry Fundacji? Taki spersonalizowany wróg był potrzebny choćby po to, żeby móc przed nim bronić Jednego i Wspólnego Świata. Obrona przed chaosem, który mógłby się okazać dialektycznym cieniem światowego porządku, jego nieuznanym dzieckiem, bękartem? Zadanie sprzedane w taki sposób opinii publicznej nie byłoby warte tych wszystkich pieniędzy podatkików.

Orkiestra Fundacji? No cóż, wolne media były w tym świecie tylko mitem, tak jak sama wolność, własność czy demokratyczna kontrola światowego rządu. Media nie kontrolowały już władzy, od dawna były jej częścią. Teraz, jak same lubiły o sobie mówić, „zarządzały informacją”. Tak samo jak globalne korporacje zarządzały energią i surowcami, a Globalne Centrum Antykryzysowe zarządzało globalnym poczuciem zagrożenia.

Władza i wolność, to Raven uczynił je jednym i tym samym. Powtarzał wszystkim bez ustanku, bez względu na to, czy chcieli czy nie chcieli go słuchać, jak bardzo są ze sobą związane w tym świecie. „Żądam władzy dla ludu, władzy i wolności, ale ponieważ trudno dzisiaj znaleźć jakiś lud, udało się go zdemontować, podzielić na jednostki, które zasiadają co wieczór przed telewizorami ze swoimi sześciopakami piwa i wielkimi pudłami popcornu, dlatego jestem zmuszony domagać się władzy i wolności wyłącznie dla siebie i dla moich ludzi”.

Te i podobne słowa pochodziły z jego pojawiających się prawie codziennie posłań. Można je było znaleźć w Internecie, w niepełnej, ocenzurowanej wersji zamieszczała je prasa, czasami telewizje pokazywały strzępy obrazów, fragmenty kaset video, które im przysyłał.

Scenografia, jaką wybierał do tych nagrań, także była dziwna. O ile liderzy Dżihadu uwielbiali wygłaszać swoje posłania do bliźnich na tle wejść do górskich grot, na pustynnych ścieżkach, nieudolnie podrabiając pejzaże ograne przez dawnych proroków, to Raven nagrywał swoje kasety w wesołych miasteczkach, w gabinetach krzywych luster, przebrany

za bohaterów komiksów Marvela, tych dobrych i złych, bez różnicy, za Zielonego Goblina, Batmana, Spidermana, Hulka...

Jego posłania do bliźnich zawsze były do siebie podobne, utrzymane w tym samym stylu, choć wcale nie wynikało z tego, że ich autorem jest jeden i ten sam człowiek. No i że ich autor jest w ogóle człowiekiem. Człowiek zawsze zachowuje choćby odrobinę powagi, próbuje ocalić jedno małe miejsce w swoim świecie, chroni je przed wszechobecną zmianą, nazywa punktem oparcia. Tymczasem każdy z manifestów Ravena był stuprocentowym szyderstwem, nieoszczędzającym także tego, który szydził. Budziło to zdumienie nawet w tym świecie, gdzie już chyba niczego nie traktuje się poważnie i gdzie nic nie wywołuje zdziwienia.

Pośród słów, które utraciły najwięcej powagi, znajdowały się wszystkie najważniejsze terminy związane z emancypacją ludzkiego gatunku. Emancypacja trwała już od blisko trzech wieków i ciągle jeszcze opisywano ją dumnym terminem *Aufklärung*. Człowiek wymyślał takie słowa, a później odczuwał do nich przywiązanie. Robił to, od kiedy wyrósł ze swego dzieciństwa i zrozumiał wreszcie, że tu, na ziemi, będzie musiał polegać wyłącznie na sobie.

Wolność, równość, braterstwo, demokracja bezpośrednia, społeczeństwo obywatelskie... Nawet teraz nie zrezygnowano z tych słów, wręcz przeciwnie, to właśnie z powodu bezustannego powtarzania uległy one częściowej dewaluacji.

Na przykład demokracja bezpośrednia oznaczała teraz możliwość wybrania co roku najpiękniejszego Eurochippendalesa, spośród dwudziestu siedmiu finalistów wytypowanych wcześniej przez ekspertów od muskulatury. Nawet ona, demokracja bezpośrednia, miała ograniczenia. Nie była populizmem, znała swoje granice, odwoływała się do autorytetu fachowców.

Równość oznaczała z kolei, że w plebiscytach takich jak ten każdy mógł tylko raz przycisnąć interaktywnego pilota. Jeżeli oczywiście miał opłacony roczny abonament portalowo-telewizyjny. Technologia stworzyła gwarancje równości, interaktywny pilot rozpoznawał odcisk palca. Były oczywiście próby nadużyć, ale karano je w sposób przykładowy. Najpiękniejszy Eurochippendales musiał ucieleśniać oczekiwania realnej większości.

Spółeczeństwo obywatelskie... ono także miało jakieś tam właściwe sobie znaczenie, tyle że bardziej skomplikowane, interpretowali je bezustannie profesorowie socjologii z paru najpoważniejszych uniwersytetów i felietoniści kilku wpływowych gazet.

Odkrycie Ravena, które uczyniło go groźniejszym od innych, było naprawdę przełomowe. On pierwszy zrozumiał, że apokaliptyczny nastrój, który przepełniał śmiertelnie znudzony świat drugiej połowy dwudziestego pierwszego wieku, można uczynić jeszcze jednym źródłem entertainmentu.

Jego kampanie zniszczenia przybierały formę odcinkowych telewizyjnych sag i nie ustępowały swoim dramatyzmem hollywoodzkim superprodukcjom.

Jeśli jednego dnia skażona została elektrownia atomowa dostarczająca energię elektryczną dla Los Angeles, to można się było założyć, że następnego dnia wysiadzie światło w całym Teksasie. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, a Globalny Sztab Antykryzysowy w szczególności, były dla Ravena ulubionym partnerem jego okrutnych zabaw. Okrutnych, bo w czasie tych igraszek naprawdę ginęli ludzie, wielu ludzi.

Choć nawet w to można było zwątpić, oglądając telewizyjne news opery. Katastrofy spowodowane przez Ravena były tam przedstawiane w identyczny sposób jak te, które kilka minut później albo wcześniej pokazywano w absolutnie fikcyjnych katastroficznych soapach. Podobieństwo stało się szczególnie uderzające, od kiedy scenarzyści soapów zaczęli pastiszować realistyczną formułę news opery, łącznie z planszami Breaking News. O tym, czy oglądają fikcję, czy fakty, widzowie mogli się przekonać wyłącznie dzięki omówieniom programów zamieszczanym w cotygodniowych telewizyjnych dodatkach. Choć także i to zaczynało się ostatnio zmieniać.

Pewien znany francuski filozof napisał książkę, w której dowodził, że Raven nie istnieje naprawdę, że jest tylko wytworem amerykańskiego show-biznesu. Dokładnie w drugą rocznicę wydania tego bestselleru znaleziono ciało autora w bocznej uliczce odchodzącej od rue Saint-Denis, przed jednym z paryskich klubów sado-maso, które tak lubił odwiedzać. W wywiadach dla mediów mówił, że to właśnie tam, w środowisku paryskiego SM, prowadzi swoje badania nad istotą wolności i władzy we współczesnym świecie.

Przyczyną śmierci filozofa było zadzierzgnięcie. Można by to uznać za wypadek, nie takie rzeczy przydarzały się bywalcom tych klubów, gdyby nie list znaleziony w kieszeni czarnego lateksowego kombinezonu okrywającego nagie ciało filozofa aż po czubek głowy. List zawierał kolejne posłanie od Christophera Ravena, było oznaczone numerem 1772, a Raven ściśle trzymał się numeracji swoich manifestów.

Posłanie numer 1772 stanowiło zgrabny pastisz książki filozofa. Raven pisał, że co prawda on sam rzeczywiście nie istnieje, jednak w świecie takim jak ten, który nie istnieje jeszcze bardziej od niego, jego nieistnienie gromadzi przynajmniej wokół siebie społeczną energię, „której nie potrafi już akumulować żadna wiara, żadna idea spośród tych, jakie jeszcze pozostały w obiegu”. Raven wiedział, co trzeba pisać, żeby później samo cytowanie jego posłań wprawiało w rozkoszne drzenie gocką młodzież obojga płci.

Na martwej twarzy francuskiego filozofa, której zdjęcie znalazło się natychmiast na pierwszych kolumnach prasy całego świata, zastygł grymas bezgranicznej rozkoszy Jak to po zadzierzgnięciu.

Stary światowy porządek

Głównym celem ataków Ravena, tak samo zresztą jak wszystkich międzynarodowych terrorystycznych siatek, były Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. To naturalne, jeśli zapewnia się spokój i bezpieczeństwo całemu światu, trzeba później za to płacić. A rachunek jest wysoki, skoro wystawia go cały świat.

W połowie dwudziestego pierwszego wieku Stany Zjednoczone już od dawna nie były demokracją, chyba że to słowo miało teraz inne znaczenie. Umowna władza tego czy innego prezydenta lub Izby Reprezentantów przechodziła do historii wraz z końcem kadencji. Nad tym wszystkim rozciągała się prawdziwa władza Globalnego Centrum Antykryzysowego.

Wprawdzie w Globalnym Centrum zasiadało paru emerytowanych prezydentów i kongresmanów, ale była to jedynie symboliczna nagroda za wcześniejszą lojalność. Przedostatni prezydent, wiekowy John Boo, reżyser kina akcji wystawiony przez Partię Demokratyczną (przed nim przez dwie kadencje sprawował tę funkcję stary republikański aktor kina akcji), pragnął ograniczyć tę nieformalną władzę, a przynajmniej spróbował powiedzieć narodowi o jej istnieniu.

Dobre chęci Johna Boo zaowocowały jedynie gigantycznym skandalem, przy którym wysiadała Watergate czy afera rozporkowa. Media zmusiły go do ustąpienia zaledwie w miesiąc po wygranych wyborach, nawet bez konieczności rozpoczęcia procedury impeachmentu. „New York Times”, od zawsze wspierający przecież demokratów, poinformował niespodziewanie amerykańską opinię publiczną, że stary Boo jest od pięćdziesięciu lat agentem chińskiego wywiadu. Jakby redaktorzy NYT-u wcześniej tego nie wiedzieli. Mało prawdopodobne, w końcu każdy naczelny tej wielkiej liberalnej gazety automatycznie wchodził w skład Sztabu Antykryzysowego i miał dostęp do wszystkich utajnionych informacji wywiadu, tak samo zresztą jak każdy naczelny konkurencyjnego „Washington Post”.

Właściwie dlaczego zwlekano z upublicznieniem tej informacji aż do chwili, kiedy Boo został wybrany? Można to było przecież zrobić wcześniej, bez łamania procedur, można było po cichu zmusić go do wycofania się z wyścigu do prezydentury. No cóż, władza nigdy nie była ściśle racjonalna, wiedzieli o tym nawet ci, którzy próbowali zbudować wokół niej nieprzekraczalne zasieki rozumu. To zawsze okazywało się daremne. Ludzie władzy potrzebowali do życia czegoś więcej niż tylko samej satysfakcji z faktu, że są istotami rozumnymi, a członkowie Sztabu byli przecież ludźmi. Oni także potrzebowali entertainmentu i lubili od czasu do czasu pokazać całej tej „demokracji uczestniczącej”, kto tu tak naprawdę rządzi.

W skład Sztabu Antykryzysowego poza wspomnianymi już politycznymi emerytami i szefami wpływowych mediów wchodziłi jeszcze prezesi kilku największych korporacji i banków. Nie tylko Amerykanie, bardzo dbano o to, aby zawsze znalazł się w tym gronie jakiś Anglik, a nawet Francuz, Niemiec czy Japończyk, ale tylko taki, który publicznie zdystansował się do własnego rządu.

Bo poza rządem Stanów Zjednoczonych istniały jeszcze inne rządy, rządy państw Osi, dawnej Unii Europejskiej, zaprzyjaźnionej teraz z Japonią, Chinami i Rosją.

Chociaż dziwna to była przyjaźń, wyjątkowo mało przydatna dla świata. Podczas gdy globalnym poczuciem zagrożenia zarządzało ze swego bunkra pod Kapitołem Globalne Centrum Antykryzysowe, politycy państw Osi, a nawet ich intelektualści zajmowali się wyłącznie podstawianiem nogi aktualnej władzy. Robili to tak głupio, jakby byli jakimiś nieznośnymi dzieciakami z plastikowymi pistoletami na wodę, bo przecież Osi nie stać już było na wystawienie nowoczesnej armii. Kupno jednego dobrego czołgu mogło doprowadzić do bankructwa budżet średniozamożnego państwa, szczególnie jeśli to państwo próbowało jeszcze zagwarantować swoim obywatelom jakieś resztki socjalnego bezpieczeństwa.

Biorąc pod uwagę tak znaczne rozwarstwienie bogactwa, a co za tym idzie, powszechną niemożność korzystania z nowych technologii, jedyną skuteczną bronią przeciwników Globalnego Centrum Antykryzysowego okazał się terroryzm.

Christopher Raven, pracując nad dramaturgią swoich zamachów, nie zapominał szczególnie o rocznicach. Do kalendarza współczesnego świata, z którego dawno znikły wszelkie ślady sacrum, przywrócił cały rok święty. O hierarchii świąt przesądzały liczby ofiar.

Układał epos dla świata pozbawionego heroicznego narracji, gdzie ostatnich uporządkowanych opowieści dostarczali niestrudzeni scenarzyści zamieszkujący przedmieścia L.A.

Ludzie jakimś cudem ciągle jeszcze odróżniali prawdę od fikcji. Szczególnie młodzi, którzy zaciągali się do niewidzialnej armii Christophera Ravena, jego Goci.

W świecie zadekretowanego happy endu gocka subkultura zbierała zaskakująco obfite żniwo pośród zdesocjalizowanej młodzieży. Na początku była to wyłącznie młodzież żyjąca w stolicach najwyżej rozwiniętych państw, ale ta moda błyskawicznie dotarła do ich rówieśników z peryferiów pozostawionych na pastwę niedorozwoju. Nawet Krakowskie Przedmieście wypełniały teraz chmary dziewcząt i chłopców w czarnych strojach, o twarzach, dłoniach i stopach pomalowanych na trupie kolorki. Oni także zasilali szeregi niewidzialnej armii Christophera Ravena, a w każdym razie stanowili świetną zasłonę dymną dla rzeczywistych bojowników.

Na początku drugiej połowy XXI wieku zdecydowanie było co kontestować. Zasadą zachodniego świata był od zawsze postęp, tymczasem już od jakichś pięćdziesięciu lat dreptał on w miejscu. Z roku na rok odnotowywano coraz mniej odkryć, szczególnie w obszarze badań podstawowych. I to pomimo faktu, że nakłady na te badania rosły w tempie geometrycznym. Zawsze można było ukryć tę statystykę, doliczając na przykład do listy przełomowych wynalazków pojawienie się nowego polifonicznego dzwonka do telefonów komórkowych. Nie wolno było tylko publicznie przyznawać, że postęp już się zatrzymał, wystrzegali się tego ekonomiści z niezależnych instytutów badawczych i dziennikarze „Wall

Street Journal”, wychodzącego teraz w Houston. Każdy wiedział, że byłoby to nieodpowiedzialne, nad Zachodem już od dawna krążyło widmo recesji.

Także w kulturze zdarzało się ostatnio niewiele nowego, wszędzie remaki i sample, oryginalność stała się w show-biznesie synonimem kiczu. Najwięksi artyści rocka nazywali się teraz Jagger VI albo Marilyn Manson XXIII i byli dumni, jeśli udało im się podpiąć pod seryjną ksywę.

Właśnie ten ostatni święcił gigantyczne tryumfy, czy raczej to ostatnie, bo płeć Marilyn Mansona Dwudziestego Trzeciego pozostawała pilnie strzeżoną tajemnicą kalifornijskich klinik głębokiej chirurgii plastycznej. Nie dokopali się do niej nawet dziennikarze śledczy „Newsweeka”.

Marilyn Manson starał się pozostać maksymalnie tajemniczy i kontrowersyjny. Sześćdziesięciolatek o gładkiej silikonowej twarzy, upozowany na gockiego kontestatora, który wygłaszał w wywiadach dla mediów ryzykowne pochwały Christophera Ravena.

Brulion apokalipsy

Frühling nie interesował się współczesnym rockiem. Na gockiego idola używającego pseudonimu Marilyn Manson XXIII zwrócił uwagę tylko dlatego, że wcześniej zrobił to Potocki. W odzyskanym z takim trudem dzienniku doktor-porucznika pod datą 22 lipca 2054 znajdował się zapis:

Me można się bać dostrzegania podobieństw, analogii, nawet jeśli wydaje nam się, że idę za daleko. Analogiczność jest kluczem do rozwiązania tajemnicy. Nasz świat, który nie umie zapominać, stał się już tak gęsty, że wszystko jest w nim powiązane ze wszystkim.

Potem przerwa i prawie nieczytelny, nerwowy dopisek: *Święty Jan apokryf., wers 333 i dalej, zestawień z teledyskiem Marilyn Mansona XXIII, „Mobscene 17”, 2’10” – 3’03”.*

Tak wyglądały wszystkie zapiski dotyczące zwojów. Doktor-porucznik sporządził szczegółowy wykaz opisanych w apokryfie głosów (każdy rozpoczynał się od słów „a wówczas posłyszałem...”) i wizji („a wtedy ujrzałem...”).

Autorowi apokryfu zjawiali się na przemian mały chłopiec i anioł otulony w parę białych skrzydeł. Pierwszy stawał przed nim, aby pokazywać mu obrazy z nieodległej, jak sądził autor tekstu, przyszłości, podczas gdy drugi oślepił go prewencyjnie blaskiem swojej bieli, po czym kazał słuchać głosów także dobiegających z przyszłości jego świata.

Przedstawione w tekście Objawienie było raczej mroczne, przepelniały je realistyczne obrazy okrucieństwa, ludzie płonęli żywcem, ulatywali ku niebu albo zstępowali w otchłań, przybrawszy wcześniej postać obłoków pary („...jak z rozpalonego pieca”).

Był też seks, ale nie były to obrazy par kochających się w zaciszu alkowy, ale wielkie widowiska z udziałem grup, a nawet tłumów, pośród których autor apokryfu wyróżniał wiele płci, to znowu nie był w stanie rozróżnić żadnej.

Potocki uporządkował owe objawienia w coś, co przypominało wielką księgę kodów. Po prawej stronie tabeli, przypisane do poszczególnych fragmentów apokryfu, pojawiały się tytuły programów telewizyjnych i radiowych zaopatrzone w daty, a nawet dokładne czasy emisji, określone co do sekundy. Doktor-porucznik spędził wiele dni i nocy, przeglądając elektroniczne biblioteki Fundacji, w których od kilkudziesięciu lat archiwizowano każdą sekundę programu wyemitowanego przez wszystkie stacje radiowe i telewizyjne nadające na Ziemi.

Autor zwojów twierdził, że jest tym samym człowiekiem, który towarzyszył Chrystusowi w godzinie ukrzyżowania, że to właśnie jemu Zbawiciel powierzył opiekę nad swoją matką, a później jego także ręką spisana została kanoniczna Apokalipsa świętego Jana. Tekst znaleziony nad Morzem Martwym był rozszerzoną wersją wizji z Patmos.

„Surówka, brulion Janowej Apokalipsy”, zapisał w swoim dzienniku Jan Potocki, a Frühling, tłumiając w sobie niechęć do nieformalnego stylu kolegi, musiał przyznać, że było to określenie dosyć precyzyjne.

Porównanie treści obu tekstów pozwalało stwierdzić, że autor jednego z nich znał drugi i na odwrót. „Czemu zatem”, pisał Potocki, „nie przyjąć hipotezy najbardziej ekonomicznej, że kanoniczna Apokalipsa świętego Jana i ten odnaleziony tak późno apokryf są dziełem jednej i tej samej osoby?”.

Wykonane w tutejszym laboratorium Fundacji datowanie zwojów nie pozwalało odrzucić takiej hipotezy. Potwierdzała ją także analiza frekwencyjna kluczowych słów występujących w obu tekstach i porównanie stylu. Być może jednak autor jednego z nich znalazł się, choćby na krótko, w posiadaniu drugiego i dokonał plagiatu, pastiszu, który miał na zawsze zmienić, podważyć sens oryginału?

Sam Potocki, jak dowodziły tego pozostawione przez niego notatki, bardzo długo zastanawiał się nad tą hipotezą. „To były dziwne czasy”, pisał, „pierwszy, drugi wiek Ery, którą ciągle jeszcze niesłusznie nazywamy Naszą. Rozpoczął się już wtedy powolny upadek jednego porządku, a drugi nie objawił się jeszcze zbyt wielu. Każdy podszywał się pod każdego, wszystko połączyła ze wszystkim gęsta sieć analogii. Podobieństwo, które każdy pastisz zbliża do oryginału, stawało się dla współczesnych gwarancją jego autentyczności”.

Dlaczego jednak doktor-porucznik porzucił później tę najbardziej prawdopodobną hipotezę gnostyckiego pastiszu, dlaczego od pewnego momentu przestał traktować oba teksty z chłodnym dystansem, jaki powinien go cechować jako uczonego i żołnierza Fundacji Jeden Wspólny Świat?

Frühling nie mógł znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

W każdym razie ta szalona książka kodowa, w której każda figura z antycznego tekstu znajdowała swój odpowiednik w obrazach z news oper i rockowych clipów, w przemówieniach nadawanych w połowie dwudziestego pierwszego wieku przez radio i TV, została przez Potockiego sporządzona, kiedy doktor-porucznik utracił już swój naukowy dystans.

Gorzej urodzeni

Interpretacje Potockiego stawały się z dnia na dzień, czy raczej z kartki na kartkę jego dziwnego dziennika, coraz bardziej szalone. Prowadziły do nieuchronnej pointy, do zapisu z nocy, u której kresu doktor-porucznik wypalił sobie w łeb z osobistej broni.

Jeśli moja hipoteza jest słuszna, a przecież mam na to niepodważalny dowód, wówczas cała nasza historia, historia Zachodu, przypominałaby węża wbijającego zęby jadowe w swój własny ogon. Telewizyjne obrazy emitowane przez nasze satelity, które przecież nie służą już do niczego innego, do żadnej eksploracji kosmosu, a tylko odsyłają nam zdeformowane portrety nas samych, odbite przypadkiem od zwierciadła jakiejś kosmicznej anomalii powracają na Ziemię, tyle że docierają na nią odrobinę wcześniej, niż zostały wysłane. Jakieś dwa tysiące lat wcześniej. Odbierają je „wizjonerzy”, ludzie, których wrażliwość nie ustępowała czułości najnowocześniejszego wyposażenia Fundacji. Tyle że oni potrafią z nich zrozumieć tylko to, co najbardziej wyraźne, „obrazy zepsucia”. W ten sposób „obrazy zepsucia” pochodzące ze schyłku naszej cywilizacji trafiają do jej początku i wywołują tam chorą purytańską reakcję, która z kolei w wyniku trwającego dwa tysiące lat procesu wywołuje reakcję w postaci naszego dzisiejszego zepsucia.

W ten sposób docieramy do prawdziwego kresu. Ludzkość okazuje się swoim własnym bogiem, wężem wbijającym jadowe zęby we własny ogon.

Nigdy nie chciałem w to wierzyć, nigdy nie chciała w to wierzyć moja matka. Kiedy ją znalazłem martwą po przedawkowaniu valium, leżała przy drewnianej komodzie. Doczołgała się tam w poszukiwaniu swoich świętych obrazków. Szuflada była odsunięta, a ona przyciskała do piersi pocztówkę z Matką Boską Licheńską.

Od dawna karała się za swój młodzieńczy mezalians, za który wcześniej ukarali ją inni. Tak bardzo chciała znaleźć coś, co nie przypominałoby człowieka. Koty przestały jej już wtedy wystarczać, zaczęła szukać Boga, takiego, co do którego miałaby pewność, że nie jest tylko jednym z ludzkich wyobrażeń. Zawsze zapowiadała apokalipsę na następny tydzień, kazała mi się modlić przez cały weekend i znosić do piwnicy jedzenie w słoikach, przed nadejściem poniedziałku...

Tak bardzo jej wtedy nienawidziłem, a jednak odziedziczyłem po niej wszystkie nadzieje, nawet własną śmierć...

Michael zmuszał się, żeby przeczytać dziennik Potockiego do końca. Nie lubił litować się nad nikim, nawet nad samym sobą. Uważał litość za obrzydliwe uczucie. Także teraz odczuwał tylko obrzydzenie.

Dobrze urodzona matka samobójczyni przyciskająca do piersi swój święty obrazek. Roztkliwiający się nad samym sobą utalentowany nieudacznik, który nawet mając szansę pracować dla Fundacji, dla ostatniego w tym świecie strażnika porządku, nie potrafił wykorzystać swoich wspaniałych zdolności i roztrwonił obfite dary od losu. Gdyby on, Frühling, miał taki talent do języków Wschodu, dawno już zostałby profesorem-generałem...

Czy Potocki rzeczywiście znalazł jakiś dowód? Czy właśnie to odkrycie stało się przyczyną jego samobójstwa? Nie, Michael pokręcił głową. Wszyscy w Fundacji wiedzieli, od jak dawna ich kolega szlifował małą srebrną kulkę, jak dopasowywał ją do kalibru służbowego walera. Wszystkim ją pokazywał, wszystkim o niej mówił, szukał tylko pretekstu, żeby zrobić z niej użytek, i znalazł go tutaj. Kulka była kiedyś gałką od pokrywy cukiernicy z rodowych sreber, które zostawiła mu w spadku jego matka. Zanim połknęła kilkadziesiąt tabletek valium i pozostawiła szesnastoletniego syna pod opieką wychowawców ze Szkoły Przymierza Dobrych Rodzin, najlepszej szkoły stolicy. Nie traktowano go tam specjalnie dobrze, w końcu jego własna rodzina, już wcześniej wybrakowana po odejściu ojca, stała się w konsekwencji samobójstwa matki zupełnie Niedobra.

Może właśnie wtedy, w Szkole Przymierza Dobrych Rodzin, a może wcześniej, w domu rodzinnym, narodziły się te wszystkie obsesje. Irytujące cechy charakteru, które pomimo talentu uniemożliwiły mu karierę w szeregach Fundacji, przez które zapewne by go z niej usunięto, gdyby nie potrzebowano tak bardzo jego wiedzy o językach Wschodu, żywych i martwych.

* * *

Kiedy skończył swój raport, przez grube płótno namiotu przesączało się już światło dojrzałego dnia. Od strony pustyni słychać było pobekiwanie wielbłądów. Do uszu docent-kapitana dochodził także charakterystyczny szum Świętego Miasta. Nie było to zawodzenie muezinów czy rozgwar budzących się do życia ulic, ale warkot helikopterów, które z niskiego pułapu patrolowały przeludnione arabskie przedmieścia.

Po przeczytaniu dziennika miał już stuprocentową pewność. Doktor-porucznik Jan Potocki zwariował. Dla psychologów Fundacji, którzy od dawna mieli do dyspozycji jego teczkę, tak jak teraz miał ją do dyspozycji Frühling, nie będzie to żadne zaskoczenie.

Schizofrenia bezobjawowa na podłożu traumatycznych przeżyć z dzieciństwa. „Bezobjawowa”, pomyślał Frühling, „mam wreszcie przed oczami jej najtwardszy objaw”.

Wystarczającym dowodem były ostatnie strony dziennika. Wszystko wzięło się z jego choroby. Owszem, były zabawne analogie, „wizja”, która przypominała fragment teledysku „Mobscene 17” Marylin Mansona XXIII, czy parę „audycji” układających się w cytaty z radiowych przemówień zmuszonego do ustąpienia prezydenta Boo. Ale przecież wszyscy ci wariaci, fideiści, potrafili tworzyć z niczego takie analogie.

Przepowiadali przyszłość sobie samym, uwięzieni w małych, zamkniętych kręgach własnego obłądu.

Owszem, ten apokryf znad Morza Martwego, „brulion”, czy raczej pastisz kanonicznej Apokalipsy świętego Jana, był ważnym dokumentem. Bibliści, historycy i zwyczajni wariaci będą czytali jego przekłady z wypiekami na twarzach. Wszystko to nie miało jednak nic wspólnego z zadaniem Fundacji, tym najważniejszym, którym było zarządzanie globalnym poczuciem zagrożenia.

Frühling musiał zrobić jeszcze jedno, sfotografować zwoje. Zdjęcia dotrą do warszawskiego biura razem z jego raportem, już za chwilę. On parę dni później zjawi się tam z oryginałem. Wylądował na Okęciu, żeby później stracić całą godzinę, przebijając się służbowym volvo przez zapchane tańszymi autami ulice i ronda. Miasto będzie szare, zaciągnięte drobnym kapuśniakiem, pogrążone w dymach i mgłę.

Był teraz daleko od tamtego miejsca, w bazie operacyjnej Fundacji na Zachodnim Brzegu, znajdował się na samym skraju ogromnej radioaktywnej pustyni. Rozprostowywał na stole kolejne płaszczyzny, w błyskach flesza objawiały się i znikwały wersety spisane kiedyś przez szaleńca, jednego z tak wielu.

Skopiował już połowę zwoju, miarowe rozbłyski wydobywały z szarości kolejne odsłony wizji, kiedy nagle coś zwróciło jego uwagę, jakiś niepozorny drobiazg. Był szkolony do tego, żeby zauważać ważne szczegóły, nawet jeśli objawiają się tylko przez moment, pośród wielu innych, nieistotnych rzeczy.

Pochylił się nad stołem i zapalił dodatkową lampę. Pod grubym płótnem namiotu panował upał, klimatyzacja nie dawała sobie z nim rady.

Powoli odcyfrowywał wers, z którego winy przerwał swoją pracę. Nie znał dawnej greki tak dobrze jak ten, po którego śladach tu dotarł. „A piętno bestii jest w każdym obrazie...”, przeczytał z trudem. Albo nie rozumiał wszystkiego, albo narracja się rwała. „Wszędzie widziałem piętno bestii... było tak wyraźne... przestroga dla tych, którzy mają oczy... oto piętno bestii...”

Robiło się coraz goręcej, a Frühling po raz pierwszy poczuł na sobie ten dławiący upał.

Na samym końcu chaotycznego wersetu, jakby wskazany wyciągniętym palcem, znajdował się maleńki rysunek. Nie sposób było nie rozpoznać tego znaku, nawet jeśli autor bardzo nieudolnie odrysował go z ekranu swojej świętej wizji. W samym środku apokryficznej apokalipsy znad Morza Martwego, tak samo stare jak ona, widniało charakterystyczne logo Music Television.

* * *

Kiedy Frühling odłożył zwój, coś zaczęło w nim topnieć. Opadała skorupa przystosowania. Lustrzany pancerz ketmanu, który chronił go od pierwszego dnia pracy w Fundacji, zaczął się kruszyć. Docent-kapitan przestał się bać, może po raz pierwszy w życiu.

Przestał się bać w tej samej chwili, w której odkrył, co było od dzieciństwa jego największym marzeniem. Tak samo jak Potocki, on także zawsze pragnął zobaczyć czas. Teraz jednak rozumiał coś jeszcze, coś, czego nie potrafił pojąć lepiej urodzony kolega, przytłoczony od dzieciństwa przez poczucie winy.

Matka Potockiego do samego końca mściła się na własnym synu za popełniony w młodości megaloman.

Tymczasem Michael, najambitniejszy spośród pięciorga dzieci chłopskiej rodziny spod Kutna, wiedział, że zobaczyć czas znaczy móc go zmienić. „Gdyby Potocki spróbował to zrobić”, pomyślał, „to z jego talentem...”.

Michael Frühling, który nigdy nie planował swego życia dalej niż do progu kolejnego naukowo-wojskowego stopnia, zobaczył je nagle przeświecone łuną nowej misji. Tej misji nie zleci mu szefostwo Fundacji. Zrozumiał, że jeśli połączy swoje zdyscyplinowanie z odwagą podobną do tej, jaka przypadła w udziale Janowi Potockiemu, szybko pokona kolejne stopnie kariery. W ciągu roku, najwyżej dwóch, będzie profesor-generałem. Wkrótce pokieruje warszawskim biurem i szybko zbuduje sobie wpływowe lobby w nowojorskiej centrali, a potem...? Użyje orkiestry Fundacji sprawnie manipulującej Telewizją Babilonu. Wykorzysta ją do tego, żeby posłać w przeszłość obrazy trochę inne niż te, które dościsnęły na Patmos człowieka nazwanego przez potomnych świętym Janem. I skaziły całą historię Zachodu, jakby ktoś zdetonował na samym jej początku wielką, brudną bombę.

Nikt nie będzie więcej posyłał w historię obrazów naszego „zepsucia”, będącego w istocie korektą purytańskiego obłędu naszych własnych przodków.

A jeśli tego nie zrobi, jeśli nie uda mu się wypełnić jego nowej misji? Nie miał wyboru, ostatnie linijki apokryfu zawierały precyzyjne obrazy ostatecznej zagłady świata Michaela Frühlinga.

Telewizja Babilonu nadawała do samego końca.

PUNKT ROZŁĄCZENIA

Ale jak tam naprawdę jest... no, w środku – twarz rekruta wyraża nieopanowaną ciekawość. Osiemnastoletni chłopak, który za chwilę zakosztuje prawdziwego życia w nieprawdziwym świecie. Wprowadzający go do Rzeźni weteran Marek Tabor ma dziś nadgodziny. Do biur werbunkowych zgłasza się ostatnio coraz więcej chętnych. Nie starcza ludzi ze stażem, żeby wszystkich przeszkolić, choćby najbardziej pobieżnie. Marek Tabor to jego imię kodowe, ID, prywatne konto, na którym rejestrowane są kolejne wejścia, odniesione rany, zdobyte sprawności... W normalnym życiu nazywa się Janek Wiśniewski.

W normalnym życiu? A kto powiedział, że jest normalne? Dla weteranów normalność tego lub tamtego życia pozostaje kwestią otwartą. On sam spędził w Rzeźni prawie dziesięć lat. Osiem żyć, a właściwie osiem śmierci, bo za chwilę rozpocznie swoje dziewiąte życie w grze.

Wczoraj stracił ósme, także w godzinach pracy, podczas szkolenia rekrutów. Ostatnio gra sprawiała mu coraz mniej przyjemności. Wychodziła mu już bokiem ta jego dawna pasja, „Świat 13 Grudnia”. Teraz dla takich jak on po prostu Rzeźnia.

* * *

Ostatnią śmierć zawsze pamięta się dobrze, szczególnie kiedy jest, tak jak w jego przypadku, śmiercią bohaterską.

Wpadł jak jakiś nowicjusz. Z jednej strony pluton ZOMO, wirtualny, ale przecież z ostrą amunicją. Z drugiej inni gracze, tyle że nie tacy jak on, nie weterani. I w niczym niepodobni do jego rekrutów.

Postacie w panterkach, które pojawiły się nagle u wylotu ulicy Świętego Jana, to byli „brunatni”. Zawsze zdradza ich obojętność, z jaką wybierają cele. Jest im wszystko jedno, czy strzelają do interweniujących zomowców czy do łatwiejszego obiektu, wirtualnego tłumu nieprzerwanie demonstrującego w Rzeźni od dwudziestu lat.

„Brunatni” mogli mieć sterylizatory i na pewno chcieliby je wypróbować. Szczególnie na rekrutach rozłączających się jak stado kaczek po labiryncie wąskich uliczek Starego Miasta.

Musiał wziąć ich na siebie. Jego drużyna do najbliższego wyjścia, a on prosto pod lufy zomowców, ciągnąc za sobą ogon „brunatnych”, którego aż do końca nie dał rady zgubić.

Pozostał mu tylko wybór sprawców swojej ósmej śmierci. Bez namysłu zdecydował się na wirtualnych zomowców. Oni przynajmniej nie mieli sterylizatorów. Śmierć z ich ręki była tylko jedną ze śmierci w grze. W jego przypadku przedostatnią.

Brudne mury kamienic z obłazującym tynkiem i niebo pełne nisko wiszących, ciemnoszarych chmur. Ostatni obraz, jaki zobaczył w Rzeźni.

Jeszcze stojący nad nim zomowcy. Mówili coś do siebie, a jeden nawet próbował zajrzeć mu w twarz...

Ciekawe, co myślą w takich chwilach, o ile w ogóle myślą? Są przecież tylko prostymi homeostatycznymi symulacjami ludzkich osobowości. Czy coś przychodzi im w ogóle do głowy, kiedy ich ofiara dematerializuje się na ich oczach jak garść popiołu rozsypana w powietrzu przez otwartą dłoń?

A zresztą przecież nawet on, człowiek jak najbardziej realny, nie zdażył sobie niczego pomyśleć. Wystudiowana przez grafików Rzeźni szarość miejskiego pejzażu nabiegła czerwienią i przyszedł charakterystyczny, krótki ból...

Odzyskał przytomność na podłodze tramwaju. Pochylali się nad nim spanikowani rekruci. Nie mógł przez nich oddychać, zaczął się dusić, zanim dyżurny pielęgniarz rozgonił przestraszone stadko. Podano mu tlen i jego płuca znów zaczęły pracować normalnie. Płuca karpia wyciągniętego z wody albo ponownie do niej wrzuconego. Zależy, co dla kogo jest wodą.

Atak prawdziwej astmy, której nabawił się w nieprawdziwym świecie, pałac nieistniejące Jugo i Ekstramocne bez filtra. Lepszych papierosów w Rzeźni nie było, więc jeśli już przyszło z kimś zapalić – z wirtualnym robociarzem albo wirtualną dziewczyną – no to paliło się takie. Co z tego, że nigdy nie zaciągnął się tamtym ciężkim dymem naprawdę. Astma jest chorobą psychosomatyczną.

Wirtualne dziewczyny, najczęściej studentki, były w tym samym wieku co chłopcy, pod postacią których weterani od dziesięciu lat nawiedzali Rzeźnię.

Ile lat miało jego własne ciało chwalebne? Dziewiętnaście, dwadzieścia... W ciele chłopca, które przyjmował, nawiedzając grę, czuł się trochę jak wampir. Jego umysł był starszy od tego wirtualnego ciała o blisko dwadzieścia lat.

Lata przeżyte w prawdziwym świecie i te, które spędził w Rzeźni. To zbyt duży dystans, prawdziwa otchłań, nie da się jej przeskoczyć, nawet w grze.

* * *

Jego ósma śmierć zdarzyła się wczoraj. A dzisiaj? Biuro werbunkowe „Świata 13 Grudnia” od samego rana wypełniał tłum podnieconych osiemnastolatków. Który to już raz dla niego, bo dla nich... utrata dziewictwa, pierwsze wejście do Rzeźni.

Kiedyś sam był takim chłopcem, przed dwudziestu laty. Wtedy gra przeżywała swój okres heroiczny, nie stała się jeszcze globalnym Disneylandem.

„Gra, która odmieni oblicze ziemi, tej ziemi!”, całym chłopięcym sercem uwierzył w promocyjne hasło. Podpisał się przecież pod nim sam Ojciec Założyciel „Świata 13 Grudnia”, jej pierwszy master of game, Herbert W. Herbert.

Herbert W. Herbert niczego nowego właściwie nie wymyślił. Po prostu zastosował zupełnie jeszcze świeżą technologię gier klasy „reality” do potrzeb polskiego rynku.

A kraj potrzebował wtedy wyszalni dla niespełnionych marzeń czterdziestu milionów mieszkańców. Tych, co nie wyjechali, bo była jeszcze dziesięciomilionowa diaspora. Ludzie żyjący pod zmienionymi nazwiskami, z niemieckimi, kanadyjskimi, australijskimi paszportami, których rodzice wyjechali z ojczyzny w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Oni też mieli swoje marzenia, równie niezrealizowane.

Na obczyźnie gra rozchodziła się jeszcze lepiej niż w kraju.

Kiedy Herbert W. Herbert stworzył grę, kończył właśnie czterdzieści siedem lat. Ugrzązł głęboko w smudze cienia, ale zachowywał się ciągle jak chłopiec. Knuł, zakładał rozpadające się szybko radykalne partie, pisał płomienne felietony do niszowych gazet. Dzielił się ze wszystkimi swoją radością z odzyskanego śmietnika, czy raczej jej brakiem.

Wielu podzielało wtedy jego odczucia. Szczególnie chłopcy tacy jak Marek, młodszy od Herberta W. Herberta o dwadzieścia lat, którzy przecież nie mogli pamiętać „tamtych czasów”.

Trzecia Rzeczpospolita była częścią UE już od pięciu lat, ale obiecany raj nie nadszedł. Na cuda trzeba umieć czekać, nieraz przez tysiąclecia, jak Żydzi na swego Mesjasza. Polacy tego nie potrafili. Kiedy obiecany cud nie przychodził, zaraz dopadał ich spleen.

Nie nadeszła też obiecana przez innych Apokalipsa. Po prostu wszystko zostało po staremu, i to niezależnie od wymiany pokoleń. Tak jakby płytko pod powierzchnią życia tego kraju istniał jakiś utrwalony genotyp, który sprawiał, że dzieci wysokich rodów po osiągnięciu pełnoletności, po zastąpieniu rodziców na najwyższych urządach republiki zachowywały się dokładnie tak samo jak ich tatusiowie.

Urban-Lubomirscy, Kulczyk-Kwaśniewscy, Glemp-Millerowie, Michnik-Bonieccy, Czartoryscy-Rakowscy, Passent-Gudzowaci...

W sumie trzynaście wysokich rodów pospołu rządziło Trzecią Rzeczpospolitą. Wszystkie po mezaliansach, które wyszły tylko na dobre żywotności potomków. Po zniesieniu celibatu, w 2016, pod koniec pontyfikatu Jana XXIV, do dynastycznej gry weszły także rodziny hierarchów.

Nowa magnateria w martwej republice, w której raz na zawsze zabrakło drobnej szlachty zaściankowej. Ale rządy tej magnaterii były przynajmniej sprawne. Chleba i igrzysk... Wysokie rody potrafiły dostarczyć obu ingrediencji.

Pełne hipermarkety i pięćset pięćdziesiąt polskojęzycznych kanałów dostępnych na Polskiej Zunifikowanej Platformie Radia i Telewizji. PZPRiTV, na samym początku wielu kpiło sobie z tej nazwy. Potem jednak wszyscy zaczęli korzystać z jej oferty. Ponad 99 procent obywateli płaciło abonament. Mówiono, że statystyki są zawyżane, ale jeśli nawet były, to najwyżej o kilka procent.

Oni, weterani, na pewno nie płacili abonamentu, no i młodzi rekruci. Mieli przecież grę.

Pięćset pięćdziesiąt kanałów PZPRiTV pokazujących wciąż te same filmy, seriale, reality show. Podobne do siebie jak dwie krople wody. W stylu retro promowanym przez wysokie rody, one przecież wszystkie wywodziły się z drugiej połowy ubiegłego wieku. To był ich świat, a PZPRiTV nadawało tylko to, co im przypadło do gustu. Pierwsze festiwale opolskie, recitale Ireny Santor i Bogdana Łazuki, telewizyjne pogadanki Krzysztofa Teodora Toeplitza... Prawdziwy zalew powtórek z dwudziestego wieku, przepisanych na cyfrowe nośniki, podkolorowanych, jakby zostały nagrane zaledwie przedwczoraj.

Jednym z powodów, dla których ludzie tacy jak on, weterani, uciekali codziennie do Rzeźni, była właśnie oferta pięćuset pięćdziesięciu kanałów Zunifikowanej Platformy. Przechodzili przez Punkt Rozłączenia, sami albo prowadząc tam świeżo zwerbowanych rekrutów. Byle dalej od tego wszystkiego.

Punkt Rozłączenia pochodził bezpośrednio z biografii Ojca Założyciela. 13 grudnia 1981 roku, w pierwszym dniu stanu wojennego, nieznani sprawcy zamknęli studenta drugiego roku historii Uniwersytetu Jagiellońskiego Herberta W. Herberta w męskiej ubikacji. Ktoś zaryglował od zewnątrz ciężkie metalowe drzwi toalety mieszczącej się w piwnicach średniowiecznego budynku rektoratu. Chodziło o to, żeby radykalny studencki lider nie mógł uczestniczyć w wiecu, podczas którego miano zdecydować o losie strajku.

Musiał być niezłym narcyzem, skoro zdecydował się umieścić w demo tak mało heroiczny incydent z własnej biografii.

Marek setki razy pokazywał rekrutom, na czym właściwie polega Punkt Rozłączenia. Na cyfrowej mapie Polski wyglądało to tak, jakby całe terytorium kraju zbudowane z miniaturowych puzzli wywracało się na lewą stronę. Kawałek po kawałku, począwszy od punktu w czasoprzestrzeni, w którym Herbert W. Herbert zmienił jedną wyjściową daną i poprowadził dalej swoją symulację inną ścieżką wytyczoną w historycznym czasie wirtualnym.

W demo Rzeźni nieznanymi sprawcom nie udawało się zamknąć Herberta W. Herberta w męskiej ubikacji. Wygłaszał swoje płomienne przemówienie na wiecu, a studenci Jagiellonki nie tylko utrzymali strajk, ale włamali się do studium wojskowego, skąd zarekwirowali całą zawartość zbrojowni.

Było tam wszystkiego raptem pięć kałasznikowów i kilka osobistych pistoletów należących do trepów. Treпами nazywano wtedy zawodowych żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego. Tylko dzięki Rzeźni ta ksywa przetrwała do dzisiaj.

W demo grupa uzbrojonych studentów przebija się przez opustoszały nocny Kraków, żeby przyjść z pomocą robotnikom strajkującym w Hucie imienia Lenina. Jadą trabantem i furgonetką marki „Nysa”, która w spokojniejszych czasach obsługiwała uniwersytecką stołówkę. Dzięki technologii „reality” można oglądać ich jazdę z każdej możliwej strony, a nawet kierować samemu jednym z samochodów. Kiedy docierają pod Hutę, rozpoczyna się właśnie pacyfikacja. Kryjąc się w ciemnościach, strzelają do gramolącego się przez ogrodzenie plutonu zomowców.

Oślaniający pacyfikację oddział Ludowego Wojska Polskiego, raptem dziesięć bojowych wozów piechoty, przechodzi na ich stronę. Potem następne, w wyniku czego powstają terytoria wyzwolone.

Wyzwolone na krótko, wojna partyzancka, terror trwający do dzisiaj. Tyle że dzisiaj Rzeźni było młodsze od prawdziwego dokładnie o dwadzieścia osiem lat. W „Świecie 13 Grudnia” jest dopiero rok 2001, podczas gdy tutaj, w realu, mamy rok 2029, późną jesień, zimny, deszczowy listopad.

W dni takie jak ten różnica między jednym i drugim światem prawie się zaciera. Przynajmniej jeśli chodzi o pogodę, bo w Rzeźni zawsze jest późna jesień albo mokra zima. Rzeźnia jest czarno-biała, jak obraz w telewizorach z połowy ubiegłego wieku. Kiedy na samym początku próbowano dodać do niej kolory, wieszala się raz za razem, aż w końcu przestano próbować. Kolor pojawia się w tutejszym pejzażu wyłącznie w chwili śmierci gracza i jest to kolor czerwony.

Pięć kałasznikowów wyniesionych z budynku studium wojskowego, czy wydarzenie tak marginalne mogłoby zmienić historię świata? Prawdziwego świata na pewno nie, ale Rzeźnia przecież nim nie jest. A to wydarzenie należy do Rzeźni, jest jej Punktem Rozłączenia.

Studenci ukryci pośród neoklasycystycznych kolumnad stalinowskich bloków koszą z kałasznikowów interweniujący pluton ZOMO. Kompania żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego przechodzi na ich stronę. Coś, co przecież mogło się wydarzyć naprawdę. Powinno było, jak powiedział Herbert W. Herbert, kiedy po raz pierwszy publicznie zaprezentował grę. „Pokazujemy wam coś, co powinno się było wydarzyć naprawdę. »Świat 13 Grudnia« nie jest zwyczajną grą, to gra, która zmienia oblicze ziemi, tej ziemi”.

Ojciec Założyciel znał doskonale czas i miejsce, które wybrał na Punkt Rozłączenia. Wieczorem 13 grudnia 1981 roku, kiedy strajk na uczelni został już zawieszony, jego najbliższy przyjaciel, Prezes (on także stał się dzięki Rzeźni postacią mityczną), znalazł go przypadkiem. Zaniepokojony nieobecnością przywódcy został na uczelni i usłyszawszy wrzaski dobiegające zza ciężkich drzwi, uwolnił go z męskiej toalety.

Później wraz z kilkoma innymi przyjaciółmi ze strajku pojechali pod Hutę. Przemykali się ostatnimi autobusami przez wymarły Kraków, omijając po drodze wszechobecne wojskowe patrole. Widzieli czołgi i transportery zajeżdżające pod główną bramę, zomowców wchodzących na teren zakładu i wyprowadzanych stamtąd robotników. Pewnie właśnie dlatego po prawie trzydziestu latach Herbert W. Herbert umieścił w grze samego siebie. W demo jego postać także pojawia się pod Hutą, wraz z całą paczką przyjaciół z tamtych czasów. To właśnie oni zaczynają strzelać w plecy interweniującego plutonu ZOMO, od czego pierwszy kawałek wirtualnych puzzli wywraca się na lewą stronę.

Jeden z dawnych przyjaciół procesował się później z Herbertem W. Herbertem. Zażądał wycofania z gry swojego nazwiska i całej postaci. W 2009, kiedy gra trafiła na rynek, był szefem Public Relations w Impexmetalach Spółce z o.o. Impexmetale były jedną z nielicznych polskich korporacji, które przetrwały podłączenie III RP do globalnego rynku. Przetrwały tylko dlatego, że ich udziałowcami było trzynaście wysokich rodów. Szok integracji został w tym przypadku zamortyzowany przez budżet całego państwa.

Herbert W. Herbert wycofał z gry postać przyjaciela ze studiów. Został do tego zmuszony wyrokiem niezawisłego sądu. Ale sam głośny proces wytoczony mu przez Impexmetale przyczynił się do wypromowania gry w pierwszym, najtrudniejszym okresie, kiedy władze nie musiały jeszcze ograniczać do niej dostępu.

Po prostu na samym początku nikt się nią nie interesował, co najwyżej oni, kilkudziesięciu fanów Ojca Założyciela, późniejsi weterani. Ale reszty młodych „Świat 13 Grudnia” zupełnie wtedy nie pociągał. Całe to kombatanctwo... Dopiero później, kiedy „Świat...” stał się po prostu Rzeźnią, wtedy napłynęli rekruci.

* * *

Dlaczego Rzeźnia? „Świat 13 Grudnia” jest po prostu perfekcyjnie wykonany. Właśnie dlatego stał się workiem treningowym dla całego świata. Już po kilku latach w wirtualnej Puszczy Kampinoskiej ćwiczyli chłopcy z Neue Rote Army Fraktion. Oprócz nich Rzeźnię odwiedzali także inni „turyści”, z Włoch, Anglii, Hiszpanii, a nawet z Boliwii. Ale to właśnie Neue Rote Army Fraktion stała się dla wszystkich synonimem popeliny Blond maminsynki z kolejnej Generation Golf, które w prawdziwym życiu nie odważyłyby się zaczepić policjanta kierującego ruchem pod Bramą Brandenburską. A mieszkańcy Warszawy, Wrocławia, Krakowa byli tak realni. Umierali jakby naprawdę, mężczyźni, kobiety, dzieci.

Także nacjonalbolszewicy urządzali sobie zbiorowe wycieczki do najbliższego terminalu Rzeźni za zachodnią granicą. Jeżeli oczywiście moskiewska czy petersburska organizacja partyjna zdołała zebrać dość kasy, żeby wystawić własną drużynę. Weterani nie wprowadzali „turyستów”, a wejście na czarno kosztowało drogo, po dwa, trzy tysiące euro od łebka.

Czy Herbert W. Herbert przeczuwał, że tworząc Rzeźnię, otwiera puszkę Pandory? Nie mógł tego wiedzieć, na samym początku nie domyślał się nawet, co stworzył. Dla niego był to przecież „Świat 13 Grudnia”, „gra, która zmieni oblicze ziemi, tej ziemi”.

Trudno zresztą odgadnąć, czego się domyślał Herbert W. Herbert. Od dnia prezentacji już nigdy więcej nie pokazał się w mediach. Kiedy „Świat 13 Grudnia” odniósł sukces, Ojciec Założyciel wycofał się z życia publicznego, a może w ogóle z życia. Chociaż w najnowszym wydaniu „Who is who in Poland” nadal można było znaleźć wyłącznie datę jego urodzin, rok 1962. Jeśli w ogóle żył, miał teraz sześćdziesiąt siedem lat.

* * *

Terminal Rzeźni nazywają tramwajem, bo tak właśnie wygląda. Drużyna rekrutów siedzi na plastikowych krzeselkach umieszczonych w jednym rzędzie wzdłuż ściany. A na samym przedzie, przy małym pulpicie, który do złudzenia przypomina stanowisko pracy motorniczego, siedzi ich dzielny wódz, jeden z weteranów. Tylko że w tym tramwaju nie trzęsie, a oprócz skórzanych rączek ze srebrzystej rury biegnącej nad ich głowami zwieszają się kable podłączone do serwera Rzeźni.

Weterani wprowadzają rekrutów legalnie, jeśli Rzeźnia jest akurat legalna, na czarno, jeśli koalicyjny rząd III RP zdecyduje się wprowadzić ograniczenia. Chwilowo nie ma ograniczeń, pod pokrywą kotła znowu zebrało się za dużo pary. Zaledwie przed dwoma miesiącami parlament na Wiejskiej uchwalił kolejną nowelizację Ustawy o Grze, tym razem liberalizując zasady dostępu. Wiek pierwszego wejścia obniżono ponownie do osiemnastu lat i nie trzeba przedstawiać wyników badań lekarskich. Nawet facet z padaczką może się tu teraz dostać.

Właśnie dlatego biura werbunkowe pracują pełną parą. Znowu opłaca się wynajmować lokale przy głównych ulicach. Z pozawieszanych nad wejściami megafonów dolatuje charakterystyczne „a mury runą, runą, runą i pogrzebią stary świat...”. Nieformalny hymn Rzeźni, jej reklamowy dzingiel. Marek nie może go już słuchać. Z upływem lat brzmi coraz fałszywiej, szczególnie w uszach weterana. No chyba że miałyby chodzić o mury oddzielające Rzeźnię od realnego świata, ale tych nikomu nie udało się nawet zadrapać.

Cały świat ma teraz swoje wersje Rzeźni. W Ameryce analogiczna RPG z elementami strategii nazywa się „11.09”, a w Chinach „Tienanmen” i jest nielegalna, grozi za nią obóz.

Ale i tak wszyscy prawdziwi gracze przyznają, że tylko oryginał wyzwala tyle adrenaliny. Wyjątkowy realizm, doskonała symulacja zachowania tłumów, świetne dziewczyny... No i niespotykane gdzie indziej emocje u miejscowych graczy. Szczególnie u rekrutów, bo weterani już dawno zdążyli je stracić. Nadal wchodzi jeszcze do Rzeźni, także po pracy, ale nie bardzo wiedzą, dlaczego to robią. Chociaż nie, ciągle wymyślają sobie przecież nowe misje, „żeby nie oddać Rzeźni »brunatnym«... ani »toberowcom«,,

„Brunatni” trafili do Rzeźni bardzo szybko. Żli zawsze utożsamiają się z tym, co przedstawi im się jako złe, a dobrzy z tym drugim.

Nie inaczej jest w Rzeźni. Oprócz weteranów, rekrutów i pocziwych w gruncie rzeczy „turystów” w grze pojawiali się chłopcy w kurtkach w kolorze feldgrau albo inni, w szynelach z naszywkami KGB. Sadyści, ich ulubioną rozrywką jest strzelanie do tłumu. Do wyjątkowo realistycznie przedstawionych wizerunków tłumu manifestującego od dwudziestu lat, w długich, zapętlonych cyklach, na Świdnickiej, w Rynku Głównym, na Długim Targu, w wąskich uliczkach warszawskiej Starówki...

„Wbiegam po schodach, wywalam kopem drzwi, panią domu zamykam w łazience, ją zostawiam sobie na później, a potem cekaem w okno, nóżki na parapet i tratatatata...” Tak brzmiało wyznanie, które Marek usłyszał kiedyś w odpowiedzi na pytanie: „Co cię tak, do kurwy nędzy, tu kręci?”.

Zaraz po wysłuchaniu odpowiedzi Marek wyjawiał „brunatnemu” swoją prawdziwą tożsamość. Tożsamość weterana, ideowca, dla którego „Świat 13 Grudnia” to przecież coś więcej niż Rzeźnia, coś, co miało zmienić oblicze ziemi, tej ziemi... Po czym wykasował go z gry raz na zawsze.

Poczęstował go sterylizatorem, maszynka przepalała neuroreceptor razem z otoczeniem. Wszystkie dziewięć wirtualnych żywotów delikwenta szło z dymem podsmażonej tkanki.

Hobby weteranów, oczyszczanie Rzeźni z bandyckiego elementu, ich własna, bardzo osobista ekologia głęboka. Tak, chyba tylko dlatego jeszcze tu wchodzili.

Z kolei „toberowcy” pojawili się w Rzeźni przed dziewięciu laty. Nazywano ich tak od małego Tober-Orlińskiego, ówczesnego lidera Związku Młodych Pojedynanych. Przed dziewięciu laty wysokie rody postanowiły skończyć z grą w sposób demokratyczny. Wysłały do Rzeźni własne dzieci, żeby zmontowały tam coś na podobieństwo wirtualnego Okrągłego Stołu.

Weterani polowali na nich bez miłosierdzia, „żeby Rzeźnia była Rzeźnią...”. Nie, to nie był oficjalny hymn, Marek ułożył kiedyś tę piosenkę po pijaku razem z kolegą, z którym chodził do Rzeźni od samego początku. Piosenka szybko się przyjęła, teraz śpiewali ją wszyscy rekruci.

Później ten kolega postanowił zerwać z grą raz na zawsze i spróbować jakiegoś normalnego biznesu. Nic z tego nie wyszło. Prowadzona przez niego knajpa zbankrutowała, a on wrócił do Rzeźni. Tylko że po powrocie był już jakiś złamany, wchodził tu samotnie i w końcu wykasował go jakiś „brunatny”. Wszyscy, którzy spotykali go tam przed samym końcem, mówili, że zaczął się idiotycznie wystawiać.

Weterani nie byli zbokami, ale nie byli też łagodni, tego akurat nie można było o nich powiedzieć. Gdyby byli nadmiernie wrażliwi, nie uzależniliby się przecież od takiej gry. Próbowali jednak przestrzegać pewnych zasad, kiedy na przykład dopadli wirtualnego

rzecznika rządu, nawet go nie zabili. Przestrzelili mu tylko kolana, żeby zapamiętał ich do samego końca swego świata.

To był zresztą ich błąd, wirtualny rzecznik zapamiętał ich aż za dobrze. Tylko go rozjuszyli, jego słynne konferencje prasowe stały się prawdziwymi seansami nienawiści. Herbert W. Herbert wyjątkowo dobrze popracował nad symulacją jego osobowości.

Choć z drugiej strony, to właśnie konferencje prasowe wirtualnego rzecznika nadały „Światu 13 Grudnia” jego niepowtarzalny charakter. Podnosiły adrenalinę wszystkim, którzy je oglądali, a oglądali je wszyscy. Były pierwszą rzeczą, jaką weteran pokazywał rekrutom po wejściu do Rzeźni.

Dziewięć żyć, dziewięć śmierci to było właściwie wszystko, co mogła człowiekowi ofiarować gra. Po każdej kolejnej śmierci tkanka mózgową otaczająca neurozłącze zesmażała się coraz głębiej. Dziewięć żyć, tak przynajmniej mówiono, bo możliwość określenia tolerancji ludzkiego organizmu na wstrząs towarzyszący śmierci w „Świecie 13 Grudnia” była czysto statystyczna. Ostrożni poprzestawali na szóstej, ale i to nie gwarantowało bezpieczeństwa. W Rzeźni w ogóle nie było żadnych gwarancji, w końcu nie tylko weterani mieli sterylizatory. Można je było dostać też na czarnym rynku, gdzie zaopatrywali się „brunatni”.

Po potraktowaniu sterylizatorem człowiek nie był już nigdy taki sam. Choćby w sprawach seksu, nie na darmo maszynkę nazywano „sterylizatorem”. Z każdego koguta robiła kapłona, podobnie zresztą jak utrata wszystkich dziewięciu żyć. Ośrodek przyjemności znajdował się blisko neurozłącza, o wiele za blisko.

Mimo to ciągle pojawiali się tacy, którzy chcieli ryzykować. Po prostu kochali ten świat, „Świat 13 Grudnia”, i nie chcieli żadnego innego. A już w żadnym wypadku nie tego, w którym przyszło im naprawdę żyć.

* * *

– Uwaga – krzyczy Marek do swoich rekrutów – przechodzimy przez Punkt Rozłączenia.

Bezgraniczna duma rozpiera wątle piersi chłopców pousadzanych w plastikowych krzeselkach tramwaju. To już nie demo, teraz zaczyna się ich pierwsza prawdziwa misja.

Nie tylko oni, on także ma dzisiaj do wypełnienia w Rzeźni swoje zadanie. Weterani pozostają pod ścisłą obserwacją agentów ABW, przecież gra może im się pomylić z prawdziwym światem, mogą uwierzyć, że „mury runą, runą, runą...”. Te obawy nie są bezpodstawne, Markowi i kilku jego kolegom przydarzyła się taka pomyłka. Dziewięciu weteranów z najdłuższym stażem doszło w końcu do wniosku, że ma już dosyć tego zabijania na niby. Postanowili uderzyć w realnym świecie, zaatakować i zniszczyć PZPRiTV.

Nie są potworami i w realnym świecie nie będą oczywiście nikogo zabijać. Chcą tylko nadać własny komunikat, a później wysadzić centralny przekaźnik Zunifikowanej Platformy.

To będzie sygnał dla paru setek innych weteranów, tych w służbie czynnej i wycofanych po dziewięciu śmiertciach. A także dla tysięcy rekrutów zapatrzonych w nich jak w obrazek.

Zaplanowali to wszystko dokładnie, nawet zaprojektowali własną symulację zamachu. Ćwiczyli na niej do upadłego przez ostatnie miesiące. Po pracy z jednej symulacji przechodzili w drugą.

Pierwsza trójka unieszkodliwi strażników, podczas kiedy pozostali zajmą studia nadawcze i retransmisyjne. Chyba w całym kraju nie ma dzisiaj ludzi wyszkolonych tak jak weterani. Nikt inny nie przeżył całych dziesięciu lat na polu walki. Symulatory, na których chłopcy z „Gromu” ćwiczą swoje antyterrorystyczne misje, nie umywają się do realizmu Rzeźni. Nie projektował ich Herbert W. Herbert, nie leczył przy ich pomocy swojej zastarzałej traumy.

Ale ich akcja, wyznaczona na początek najbliższego tygodnia, kompletnie się sypie. Przez kilka ostatnich dni na misjach w Rzeźni wykasowano sześciu spośród dziewięciu ochotników, którzy zgłosili się do ataku na PZPRiTV. Po potraktowaniu sterylizatorem człowiek przez dłuższy czas nadaje się do bardzo niewielu rzeczy. A już na pewno nie do akcji terrorystycznej, która ma być przeprowadzona w realnym świecie.

Marek spotka się dzisiaj w Rzeźni z kimś, kto wie o ich planach i bardzo pragnie przeszkodzić w ich realizacji. A może na odwrót, próbuje im pomóc, zaproszenie zostało sformułowane w sposób wyjątkowo niejasny. Przekazał je Robert, jeden z dziewięciu weteranów, którzy zgłosili się do ataku na PZPRiTV. Jeden z trzech ostatnich, których nie wykasowano.

Marek wie, co oznacza takie spotkanie w Rzeźni. Szczególnie dla niego, który już przeżył tam swoje osiem żywotów. To musi być pułapka, za jej uniknięcie, za wydostanie się z niej, będzie musiał słono zapłacić. Nie zaproszono go wyłącznie po to, aby mu coś powiedzieć. Chcą go ściągnąć, żeby dobić z nim targu, to będzie wymiana. Marek nie wie jednak na co, nie przypuszcza, żeby sam stanowił jakiś cenny towar.

* * *

Dzisiaj odwiedza z rekrutami wirtualny Kraków. Najpierw zbiórka w kontaktowym mieszkaniu przy ulicy Grodzkiej i rytualne oglądanie konferencji prasowej wirtualnego rzecznika rządu. Marek znów będzie musiał patrzeć, jak jego siedzących na podłodze rekrutów ogarnia niedająca się opanować wściekłość.

Przed rozpoczęciem telewizyjnej transmisji właścicielka kontaktowego mieszkania, wirtualna emerytka z AK-owską przeszłością, robi dla wszystkich gorącą herbatę.

– Rozgrzejcie się, chłopcy, na polu jest zimno – krzyczy do nich z kuchni. – A i msza święta będzie dzisiaj długa, to przecież jedenasty listopada...

Herbata jest słaba i wstrętna, ale każdy z chłopców bierze szklanekę z drżących rąk starej kobiety z takim namaszczeniem, jakby przyjmował Puchar Świętego Graala. I jakby zamiast brudnej, śmierdzącej wody z wodociągu, która w dodatku nie istnieje naprawdę, wypełniała ją najczystsza Chrystusowa krew.

Potem idą na Wawel, gdzie zawsze rozpoczyna się manifestacja. Kiedy msza się kończy, prałat wzywa zebranych do zachowania spokoju, ale spokój znika z ich serc, kiedy tylko opuszczają zimne wnętrza królewskiej kaplicy. Całe wzgórze, a także Grodzką i Planty wypełnia nieprzeliczony tłum. Marek wie, że Herbert W. Herbert umieścił tutaj trzydzieści tysięcy indywidualnych symulacji. Mężczyźni i chłopcy, dziewczyny i kobiety, staruszki i starcy w poprzecieranym ubraniu, z baretkami wojennymi odznaczonymi przypiętymi do rachitycznych piersi.

Kiedyś na ten widok w oczach Marka zawsze pojawiały się łzy. Nie mógł opanować tego odruchu, teraz już może. Jego oczy pozostają suche, zupełnie inaczej niż oczy rekrutów.

Wirtualni organizatorzy manifestacji ogłaszają, że dzisiaj, jedenastego listopada, manifestacja spróbuje się przebić pod pomnik Bitwy Grunwaldzkiej. Drużyna Marka przepycha się przez tłum w kierunku czoła pochodu. Wyjście z Grodzkiej zamyka kordon zomowców z bronią gotową do strzału. Jest załadowana ostrą amunicją, manifestacje w Rzeźni nigdy nie kończą się pokojowo. Nie wiadomo, kto zaczyna strzelać pierwszy, zomowcy, osłaniający ich żołnierze Ludowego Wojska Polskiego, „turyści”, a może „brunatni” poukrywani na poddaszach kamienic.

Wokół nich padają na bruk pierwsze postacie z tłumy, Marek przykłęka i kosi z karabinu zomowców. Jego rekruci nie są tak skuteczni. Rzeźnia to nie strzelnica, ręce im drżą, kiedy potykają się o wizerunki ciał.

Kordon sił porządkowych pęka, a oni w tłumie przedostają się na Rynek Główny. Potem jeszcze gonitwy z ZOMO na Plantach, pomiędzy czarnymi drzewami bez liści. Płonie transporter opancerzony, rozwalony z granatnika przy podejściu do Pomnika Grunwaldzkiego. Ale i tak wszystko poszło jak z płatka, nawet jeśli w Rzeźni byli dzisiaj jacyś „brunatni”, to nie uprzykrzali się zbytnio jemu i jego rekrutom.

Po manifestacji chłopcy z jego drużyny przekomarzają się z wirtualnymi studentkami. Marek zna na pamięć twarze dziewcząt będących ozdobą Rzeźni, a nawet ich ciała. Twarze są zbyt blade, sprzed epoki solariów i samoopalaczy, pokryte krzykliwymi punkowymi makijażami. Kiczowata estetyka lat osiemdziesiątych, tak jak zapamiętał ją z własnej młodości i uwiecznił w symulacjach Rzeźni Herbert W. Herbert. Jednak dla rekrutów te wynędzniałe twarze dziewcząt wyglądających z wysokich okien budynku Akademii Sztuk Pięknych pozostaną na zawsze niedoścignionym ideałem piękna. Jak oblicza księżniczek z pierwszych baśni dzieciństwa. Jeszcze nie wiedzą – myśli Marek – jak trudno będzie im się później przyzwyczaić do zdrowych, opalonych twarzy kobiet w ich realnym świecie. I do wysportowanych, jędrnych ciał po body buildingu. Po pierwszej misji, szczególnie jeśli

przebiegła tak gładko jak dzisiaj, każdy rekrut stara się wrócić do Rzeźni jak najszybciej. Znowu przeżyć w niej kilka kolejnych godzin z życia dawnych bohaterów.

Dawni bohaterowie... których nigdy nie było. Herbert W. Herbert wiedział najlepiej, jak wyglądało wtedy życie w realnym Krakowie. Nie było heroiczne, gdyby było, nie stworzyłyby Rzeźni.

* * *

Po misji, kiedy wyprowadził już swoich rekrutów, nie wyszedł razem z nimi, udał się prosto na miejsce spotkania.

Szedł przez rynek pustoszejący szybko wraz z nadchodzącym zmierzchem. Nikt nie sprzątał śniegu, przez który brnęli ostatni przechodnie. Szli ze spuszczonej głowami, patrząc uważnie pod nogi.

W 2001 roku zima w Rzeźni nadeszła wcześniej, co nie znaczyło, że utrzyma się długo. Symulacje pogodowe były najbardziej nieprzewidywalnym elementem „Świata 13 Grudnia”, jakby projektując je, Herbert W. Herbert spuścił z łańcucha całą swoją złość.

Do punktu spotkania Marek dotarł równo o piątej. Wiedział, która jest godzina, bez patrzenia na zegarek, ze wszystkich okien dobiegał charakterystyczny sygnał. Rzeźnia dorobiła się swojego Teleekspresu w wirtualnym 1996 roku.

Ulica Szeroka 7, klatka schodowa na tyłach sklepu z butami. Przed kamienicą czeka już Robert. Przeszkuje z nogi na nogę, jest cholernie zimno.

Nie patrząc Markowi w oczy, mówi:

– Trzecie piętro, lokal numer dziewięć. Sam Prezes na ciebie czeka, usłyszysz od niego różne... rewelacje.

Głos Roberta jest zblazowany, podszyty ironią. Wielu weteranów tak się nosi, ale Marek nie zwraca teraz uwagi na ton. Treść jest ważniejsza, za chwilę po raz pierwszy w życiu spotka samego Prezesa, jednego z mitycznych bohaterów Rzeźni.

Gdyby wtedy wcześniej uwolnił Herberta W. Herberta z męskiej toalety... „Świat 13 Grudnia” mógłby być dzisiaj prawdziwym światem dla każdego z nich.

Na klatce schodowej śmierdzi, światło nie chce się zapalić. Marek wspina się po omacku po skrzypiących schodach. Na trzecim piętrze drzwi z numerem sześć pomalowane łuszczącą się farbą. Źle przymocowana dziewiątka musiała się przekreślić i przez to numeracja mieszkań stała się dość groteskowa. Lokal numer osiem, potem sześć, a zaraz po nich dziesięć.

Dzwonek po prawej stronie. Po jego naciśnięciu nadal głucha cisza. Marek puka, odczekuje chwilę i puka znowu. Żadnej reakcji. Przez chwilę zastanawia się, czy nie powinien wrócić. Ale tam, na dole, czeka na niego tylko zblazowany Robert.

Ostrożnie naciska klamkę i drzwi ustępują.

Wysoki sufit w obszernym korytarzu. Kiedyś to musiało być piękne mieszkanie. Korytarz obsługiwał pewnie całe piętro. Teraz jest ciemny, tylko zza jednych, uchylonych drzwi sączy się światło.

Marek podchodzi do nich i puka.

– Proszę wejść – słyszy męski głos.

Popycha drzwi i widzi przed sobą ładnie urządzonego pokój. Szafy z książkami, parę krzeseł i ciężkie biurko, które stoi tyłem do dużego okna. Za biurkiem siedzi mężczyzna, po sześćdziesiątce, ale trzyma się świetnie. Przed nim otwarty laptop i piękna stojąca lampa. To ona napędza cały ten pokój łagodnym światłem. Gdyby w Rzeźni istniały kolory, jej światło mogłoby być w kolorze miodu. A tak jest po prostu jasne.

– Marek Tabor, jak sądzę – zwraca się do niego mężczyzna. – A może Janek Wiśniewski, nie wiem, które nazwisko pan woli. Jeśli chodzi o mnie, to tam i tutaj nazywają mnie tak samo. Jestem Prezesem.

Marek milczy przez chwilę, nie bardzo wiedząc, co mógłby powiedzieć. Przedstawić się nie musi, więc wybiera najbanalniejsze otwarcie.

– Chciał się pan ze mną spotkać, po co? – z każdym słowem jego drżący chłopięcy głos staje się pewniejszy.

– Walisz prosto z mostu, to świetnie – mówi Prezes. – Ja także będę się streszczał. Proponuję ci układ. Ja powiem ci prawdę o Rzeźni, a ty dasz sobie raz na zawsze spokój z tym zamachem. W Rzeźni możesz sobie walczyć ile wlezie, likwidować „brunatnych”, „toberowców”, sprowadzać rekrutów...

– Dobrze – Marek skraca jego wyjaśnienia. Przyjmuje konwencję pasującą do tej Role Playing Game, w której wnętrzu obaj się znajdują. Rozumie nagle, że jednak dysponuje czymś, na czym Prezesowi zależy. Może zburzyć mury oddzielające Rzeźnię od normalnego świata albo je chociaż zadrapać. Ale dlaczego Prezes miałby tego nie chcieć, akurat on, człowiek, który uwolnił Herberta W. Herberta z męskiej toalety? Fakt, że trochę za późno.

– Co to jest prawda? – zaczyna swoją opowieść Prezes. – Otóż prawda to interesy, ukryte motywacje, pochodzenie świata, w którym żyjemy, i pochodzenie nas samych. Chcesz poznać pochodzenie Rzeźni?

Marek z trudem znosi te retoryczne popisy, ale jest cierpliwy. Rzeczywiście, bardzo chciałby poznać pochodzenie Rzeźni. To w końcu także jego własne pochodzenie, poznałby nareszcie samego siebie.

– Tylko pamiętaj – ostrzega go Prezes po ojcowsku. – jeśli nawet spróbujesz to wszystko komuś powtórzyć, i tak nikt ci nie uwierzy. Jesteś przecież weteranem, osiem żyć do tyłu. Ktoś taki jak ty musi być wariatem. Zresztą sam wiesz najlepiej, że już dawno nim jesteś.

Marek zaciska dłoń na kolbie sterylizatora. To zabawne, że mógł go tutaj wnieść. Czy nikt nie obstawia Prezesa?

– Oficjalnie Ojcem Założycielem Rzeźni jest Herbert W. Herbert – mówi Prezes tonem prawie bez wyrazu. – Ale tak naprawdę to ja ją stworzyłem.

Marek patrzy na niego z niedowierzaniem, a Prezes niezrażony kontynuuje swoją opowieść.

– Wysokie rody chciały posłużyć się Rzeźnią. A ja? Od dawna jestem ich Tajnym Współpracownikiem. Byłem nim od zawsze, już na pierwszym roku studiów, kiedy zamykałem w toalecie Herberta i kiedy wygaszałem strajk.

Obronny grymas niedowierzania znika z twarzy Marka. Prezes mówi teraz beznamiętnie, w jego głosie słychać znużenie. Zupełnie jak weterani po raz nie wiadomo który zdradzający rekrutom tajniki Punktu Rozłączenia.

– Bo tamten strajk trzeba było wygasić, tak jak wszystkie inne. Przecież nie można było pozwolić, żeby ten kraj naprawdę zamienił się w Rzeźnię. To ja zaprojektowałem „Świat 13 Grudnia”, choć udział Herberta W. Herberta był tu nieodzowny. Naszkicowałem obraz, ale to on dostarczył barw, sugestywnych, nie do podrobienia. No może bez przesady z tymi barwami – Prezes wybucha krótkim, sardonycznym śmiechem – Rzeźnia musiała pozostać czarno-biała. Żeby przypadkiem nie zakochał się w niej nikt, kto naprawdę pragnie żyć normalnym życiem. Żeby odcedzała tylko tych chłopców, w których głowie Tanatos wygrał już wojnę z Erosem. Trzecia Rzeczpospolita i tak nie miałyby z nich żadnego pożytku.

Kiedy Herbert zrozumiał, czym naprawdę jest Rzeźnia, zażądał jej natychmiastowej likwidacji. Na Walnym Zgromadzeniu Właścicieli Rzeźni odrzucono jego wniosek bez najmniejszego problemu. Wystarczyło pokazać, jak szybko rośnie krzywa zysku netto z przedsięwzięcia.

– A Herbert W. Herbert? – pyta Marek. – Co z nim zrobiliście?

– Herbert zwariował – odpowiada sucho jego rozmówca. – Od szesnastu lat jest w ośrodku, na najsilniejszych znanych antydepresantach. Bez nich już dawno by ze sobą skończył. Ale nawet teraz, pomimo kuracji, trzeba go pilnować. Nie powiem ci, gdzie jest leczony, chciałbyś go „uwolnić”. Ale możesz mi wierzyć, nie ma kogo uwalniać, on już nie istnieje. Kończymy właśnie pisać jego pamiętniki...

Prezes przerywa, jakby nawet jego zmęczyła własna ironia.

– Zaskoczyło nas jedno... – podejmuje opowieść, przekrzywiając głowę i patrząc na Marka, któremu wydaje się przez chwilę, że gada do niego jakaś złośliwa papuga – ...nie przewidzieliśmy, że ciągle będzie tylu rekrutów, po tak długim czasie. Może popełniliśmy gdzieś błąd, ale koszty nie są ważne, kiedy w grę wchodzi wyższe dobro. Tak jak w tym przypadku... Poza tym prędzej czy później rekruci odkrywają to, co pozwalamy im odkryć. Tracą swoje dziewictwo. Nawet ty nie masz już teraz żadnych wątpliwości co do tego, który świat jest lepszy, „Świat 13 Grudnia” czy nasz. Zresztą oba są nasze.

Przypomnij sobie, co myślałeś, kiedy po raz pierwszy wchodziłeś do Rzeźni. Jakbyś chwycił za nogi samego Pana Boga. Musiałeś myśleć to co wszyscy inni, że uda ci się

odmienić oblicze ziemi, tej ziemi. Wiesz już, że to niemożliwe. Oblicze tej ziemi jest dokładnie takie jak trzeba. Można je odmienić tylko na jeden sposób, zdefasonować, poznać dodatkowymi szramami policzki, przestawić nos, złamać szczękę. Ale nie da się z tej ziemi zrobić żadnej Marylin Monroe. Nie ta liga, kolego...

Prezes się zapala, wygłaszając swój morał. Jakby nie tylko Marka musiał przekonać, ale także siebie. Ten jeszcze jeden raz.

– Nienajlepszy ze światów, zgoda, ale lepszy niż żaden. I na pewno lepszy niż Rzeźnia. Kto jak kto, ale ty, weteran, musisz to już wiedzieć!

Głos Prezesa milknie, tym razem na dłużej. A Marek wie wszystko. Poznał wreszcie prawdę, do której tak tęsknił. Teraz wie, kim jest i czym było całe jego życie. To spędzone w Rzeźni i to drugie...

Nie odpowiada na zadane mu przez Prezesa pytanie. Bo Prezes zadał mu jedno... „musisz to przecież widzieć...”. Pytanie jest retoryczne, a więc i z odpowiedzią Marek się nie spieszy.

Nie zalewa go krew, nie odchodzi od zmysłów. Więc nie jest już chłopcem, cokolwiek można by sądzić, patrząc na jego dwudziestoletnie ciało chwalebne.

Zamiast tego jak najbardziej spokojnym i opanowanym tonem zadaje Prezesowi ostatnie pytanie:

– Czego pan się po mnie spodziewa?

Prezes patrzy na niego z satysfakcją, nieomalże z dumą, a Marek nagle czuje, że skręcają go mdłości. Trochę takie jak wtedy, kiedy jeszcze pił. To znaczy bardzo dawno temu, kiedy był prawdziwym chłopcem, żyjącym w realnym świecie. Bo Rzeźnia wyklucza picie. Tu trzeba mieć pewną rękę i spokojny umysł.

– Pracuj z nami, jak Robert.

– Nie – odpowiedź jest odruchowa. Marek nawet nie wie, czy wypowiedział ją na głos, czy tylko pokręcił głową. Mdłości narastają, to na nich teraz się skupia.

Prezes wszystko rozumie, jest doświadczonym człowiekiem. Doświadczenia nabrał, pracując z takimi jak Marek.

– Tylko nie potraktuj mnie sterylizatorem – dodaje, patrząc na broń, którą Marek ciągle trzyma w ręku. – Zarządzam Rzeźnią, muszę stale tu tkwić, doglądać wszystkiego... Polubiłem Rzeźnię podobnie jak ty. To mój świat, jestem jego...

– Bogiem? – przerywa mu Marek.

– Che, che, che... niezły jesteś – Prezes umie się śmiać – ale to nie jest wszechmoc... – waha się przez moment, a jego brwi powolutku wędrują ku górze. Zorientował się, że słowo, które wypowiedział, nawet zaprzeczone zabrzmiało fałszywie. – To raczej świadomość, że wystrychnąłeś wszystkich innych na dudka, że tylko ty jeden wiesz, co jest tutaj grane.

Mdłości nie ustępują, są coraz silniejsze. Marek powoli podnosi sterylizator. Widzi niepokój na twarzy Prezesa, który ustępuje, kiedy Marek przystawia sobie lufę do skroni.

Teraz na twarzy Prezesa pojawia się żal. Prezes lituje się nad nim, a on, żeby dłużej na to nie patrzeć, szybko naciska na spust. Wie, że traci niewiele, i tak pozostało mu tylko jedno życie w grze. A ośrodek przyjemności? To miejsce w jego mózgu przestało istnieć już dawno.

Przez okno za plecami Prezesa Marek widzi mury kamienic z obłazącym tynkiem i niskie, ciemnoszare niebo. Ostatni obraz Rzeźni nabiega czerwienią, pojawia się ból.

Jego wizerunek rozwiewa się nad biurkiem Prezesa jak garść popiołu rozsypana przez otwartą dłoń.

* * *

Podłoga tramwaju, spłoszone twarze rekrutów, pielęgniarz z aparatem tlenowym. Marek prosi, żeby nie wzywać lekarza, choć po wykasowaniu z gry sterylizatorem medyczna obdukcja bywa pożądana.

Zakłada płaszcz i opuszcza terminal znajdujący się w samym śródmieściu Warszawy. Wędruje w dół, przez Powiśle, wiedząc, że prędzej czy później natrafi na rzekę.

W końcu wychodzi pomiędzy domów na otwartą przestrzeń. Przecina jezdnię i idzie dalej, pozostawiając za sobą klaksony samochodów. Jest wreszcie nad rzeką. Siada na podwiniętym płaszczu i patrzy, jak woda niesie pierwsze kawałki brudnobiałej kry. Zima nadeszła w tym roku wcześniej, co nie znaczy, że utrzyma się długo.